

Karin Fossum

Kto się boi dzikiej bestii

Den som frykter ulven

przełożył: Rafał Śmietana



dla Kari

Nienawidzę ludzi z tego prostego powodu, że istnieją
i bardzo im zazdroszczę, kiedy widzę, jak wędrują
po własnym kraju.

W środku lodowego bloku siedzę ja –
człowiek umysłowo chory,
szczegółowo notując wszystkie wrogie czyny,
których ludzie umyślnie dopuszczają się przeciwko mnie.
I z wnętrza ciemnej przestrzeni zemsty
pojawia się pan świata.

Elgard Jonsson

Rozdział 1

Przez korony drzew przedarł się oślepiający promień słońca.

Otworzył oczy. Nie był przygotowany na taki wstrząs. Poderwał się z łóżka. Wciąż niezupełnie rozbudzony powoli kroczył przez pograżone w półmroku wnętrza. Gdy znalazł się na schodach przed domem, przeszło go światło.

Słońce oślepiało. Podniósł dłonie, by zasłonić oczy, ale było za późno. Światło przenikało chrząstki i kości aż do najmroczniejszych zakamarków. Czaszkę rozsadzała jasność. Myśli rozbite na atomy rozbiegały się we wszystkich kierunkach. Chciał krzyknąć, ale nie mógł. Byłoby to poniżej jego godności. Stał bez ruchu na schodach, zaciskając zęby. Z jego głową działo się coś dziwnego. Skóra pokrywająca czaszkę zaczęła się naprężać, czuł narastające mrowienie. Zadrżał i zakrył twarz dłońmi. Poczuł, jak oczy rozsuwają mu się na boki, rozpychane przez nozdrza, wielkie jak dziurki od klucza. Jęknął, chciał stawić opór, ale nie mógł powstrzymać potężnej siły. Stopniowo twarz zaczęła znikać. Pozostała naga czaszka pokryta przezroczystą białą skórą.

Nie poddawał się jednak. Jęknął, próbując dotknąć twarzy, by upewnić się, że jeszcze tam jest. Nos wydał mu się miękki i wstrętny. Cofnął dłoń, bo uszkodził resztkę, która mu jeszcze została. Czuł, że tracąc kształt, nos powoli ześlizguje się z twarzy jak zgniła śliwka.

Niespodziewanie przyszła ulga. Z obawą zaczerpnął powietrza i poczuł jak twarz wraca na swoje miejsce. Mrugnął, później kilka razy otworzył i zamknął usta. Ale gdy chciał zrobić krok do przodu, poczuł ostry ból w klatce piersiowej – znalazł się w szponach niewidzialnego potwora. Zgiął się wpół, obejmując ramionami, by powstrzymać siłę, która coraz bardziej napinała mu skórę na piersiach. Brodawki zniknęły pod pachami, skóra na nagiej klatce piersiowej zrobiła się cieńsza, żyły, które nabrzmiały jak liny pokryte węzłami, pulsowały czarną krwią. Wiedział, że dłużej nie potrafi się bronić.

Gdy nagle stanął w świetle słońca, pękł jak troll, a jego trzewia zaczęły wylewać się na zewnątrz. Próbował zatrzymać je w środku, przyciskając do siebie brzegi rany, ale i tak wyciekały i prześlizgiwały się przez palce, lądując pod stopami jak flaki zwierzęcia w rzeźni. Przerażone serce, schwyte w pułapkę między żebrami, jeszcze się tłukło. Dość długo stał zgięty, bez tchu. Otworzył jedno oko i rzucił niespokojne spojrzenie na brzuch. Był pusty. Wylew zatrzymał się. Jedną dłonią niezręcznie zaczął wpychać wszystko do środka, podczas gdy drugą przytrzymywał skórę, by zapobiec ponownemu wypadnięciu zawartości na zewnątrz. Nic nie było na swoim miejscu, wszędzie miał dziwne wybrzuszenia, ale gdyby

udało mu się zamknąć ranę, nikt by ich nie zauważył. Był zbudowany inaczej niż reszta ludzi, chociaż na pierwszy rzut oka nie było tego widać. Przytrzymał skórę lewą ręką, a prawą upychał wnętrzności. W końcu udało mu się wcisnąć do środka większość tego, co wypadło. Na schodach pozostała tylko niewielka plama krwi. Ścisnął mocno brzegi rany i poczuł jak zaczyna się zasklepić. Oddychał ostrożnie, nie chcąc rozerwać świeżej blizny. Białe, ostre jak miecze promienie słońca przenikały korony drzew. Na szczęście był już cały i zdrowy. Wszystko stało się zbyt szybko. Nie powinien był wychodzić prosto z łóżka na słońce. Zawsze poruszał się w innej przestrzeni. Siłą koncentracji wytwarzał zasłonę, która łagodziła moc światła i dźwięków dochodzących z zewnątrz. Popełnił błąd. Wybiegł w nowy dzień bez przygotowania, zupełnie jak dziecko.

Kara, jaką za to poniósł, wydawała się zbyt surowa. Przyśniło mu się przed chwilą coś, co sprawiło, że poderwał się gwałtownie i popędził przed siebie bez zastanowienia. Zamknął oczy i przypomniał sobie kilka obrazów. Przyglądał się matce leżącej u stóp schodów. Z jej ust tryskała ciepła czerwona krew. Korpulentna, okrągła kobieta, ubrana w biały fartuch w duże kwiaty, przypominała mu przewrócony dzbanek, z którego wylewał się czerwony sos do pieczenia. Pamiętał jej głos, zawsze przy akompaniamencie ciemnych, aksamitnych tonów.

Potem wrócił do domu.

To jest opowieść o Errkim.

A zaczęła się tak: o godzinie trzeciej nad ranem wyszedł z zakładu dla obłąkanych.

– Nie nazywamy go zakładem dla obłąkanych, Errki, i nawet jeśli prywatnie masz prawo mówić o nim, jak sobie chcesz, powinieneś uwzględnić zdanie innych ludzi i nazywać go inaczej. To sprawa dobrego wychowania. Albo taktu, jeśli wolisz. Czy kiedykolwiek o czymś takim słyszałeś?

Była tak elokwentna. Boże wspomóż! Słowa wyciekały z niej jak olej. Towarzyszył im przenikliwy dźwięk, przypominający barwę organy elektryczne.

– Nazywa się Wzgórze – powiedział i uśmiechnął się kwaśno. – My tutaj na Wzgórze jesteśmy jedną wielką rodziną. Telefon dzwoni: „Czy mogę rozmawiać ze Wzgórzem? Czy ktoś mógłby odebrać pocztę na Wzgórze?”.

– No właśnie. To wszystko kwestia przyzwyczajenia. Każdy musi okazać innym trochę szacunku.

– Nie ja – odpowiedział ponurym tonem. – Zamknięto mnie wbrew mojej woli, z piątego paragrafu. Niebezpieczny dla siebie i potencjalnie groźny dla otoczenia. – Pochylił się

do przodu i szepnął jej do ucha. – Dzięki mnie możesz się objąć w dwudziestej siódmej grupie zaszeregowania.

Pielęgniarka wzdygnęła się. O tej porze czuła się najbardziej bezbronna. Ten szmat ziemi niczyjej pomiędzy nocą a rankiem – szara próżnia, kiedy ptaki przestawały śpiewać i nikt nie był pewien, czy jeszcze kiedyś się odezwą – wtedy wszystko mogło się zdarzyć, a ona jeszcze o tym nie wiedziała. Przysiadła na krześle, bo zrobiło jej się słabo. Nie miała siły oglądać jego bólu, pamiętać, kim jest, i na dodatek opiekować się nim. Uważała, że jest odpychający, pochłonięty sobą i w ogóle okropny.

– Wiem o tym – burknęła. – Ale jesteś tutaj od czterech miesięcy i wcale nie odniosłam wrażenia, że ci się u nas nie podoba.

Gdy wypowiadała te słowa, jej wargi ułożyły się jak dziób kury. Zabrzmiał ostry akord na organach.

Wyszedł więc. To wcale nie było trudne. Noc była ciepła, a okno uchylone. Co prawda blokował je stalowy pręt, ale udało mu się go usunąć za pomocą sprzączki od paska. Budynek miał ponad sto lat i śruby wyszły gładko z butwiejącego drewna. Jego pokój znajdował się na pierwszym piętrze. Wyskoczył przez okno lekko jak ptak i wylądował na trawniku.

Nie skierował się w stronę parkingu, ale ruszył przez las ku małemu jezioru, które nazywali Stawem. Nie miało znaczenia, którą drogę wybierze. Nie miał ochoty już dłużej pozostawać na Wzgórzu.

Staw był piękny. Nie puszył się, tylko leżał sobie, spokojny i bez zmarszczek, na tle otwartego, nieruchomego krajobrazu. Nie odpychał, nie wabił ku sobie. Nie poruszał go. Po prostu tam był. Zakładu dla obłąkanych, choć oddalonego o rzut kamieniem, nie było widać zza drzew. Nestor poprosił, żeby zatrzymał się na chwilę, więc się zatrzymał. Czarne lustro wody przywiodło mu na myśl Tormoda, którego znaleziono tam pływającego na brzuchu i, jak zawsze, w gumowych rękawiczkach. Jego blond włosy jaśniały na falach zielonkawoczarnej wody. Nie wyglądał zbyt dobrze, ale przecież nigdy dobrze nie wyglądał. Był gruby i niemrawy, z bezbarwnymi oczyma, a na dodatek głupi. Obrzydliwy gość – jak legumina – który przeprosza wszystkich, obawiając się, że ich czymś zarazi albo że im przeszkadza, przestraszony, że ktoś zauważy jego nieświeży oddech. Teraz biedak był już u Boga. Może rozparł się wygodnie na chmurze, wreszcie uwolniony od swoich oślizgłych rękawic. Może spotkał tam w niebie matkę Errkiego, może nawet unosiła się na chmurze obok niego? Errki kochał swoją matkę. Myśl o Tormodzie, który mrugał powiekami o rzesach

w kolorze blond sprawiła, że ciężko przełknął ślinę. Kilka razy z irytacją wzruszył chudymi ramionami. Nie zatrzymywał się.

Na tle jasnozielonych liści ciemna sylwetka odcinała się dość wyraźnie, ale nikt go nie zauważył. Wszyscy spali. Po samobójstwie Tormod został zredukowany do przedmiotu, na które pojawiło się zapotrzebowanie: do pustego łóżka. Zdziwiająca transformacja. Tormod nie był już Tormodem, był pustym łóżkiem. On też stanie się pustym łóżkiem z prześcieradłem podwiniętym pod materac. Przez chwilę nasłuchiwał wewnętrznego głosu i energicznie skinął głową. Potem ruszył dalej, niespiesznie zagłębiając się w gęsty las. Zanim pielęgniarka zajrzała do jego pokoju, już od ponad dwóch godzin był w drodze. Nie śmiała powtórzyć ich rozmowy. „Nie, nie zauważyłam niczego niezwykłego, zachowywał się tak samo jak zwykle”. Słońce zaświeciło jej w twarz przez okno w pokoju dla personelu, w którym odbywały się poranne spotkania. Słowa paliły ją w gardło jak kwas.

Minął ośrodek jazdy konnej. Usłyszał, jak duże zwierzęta ciemnej maści niespokojnie stukały kopytami. Jedno z nich głośno prychnęło na jego widok. Spojrzał na nie kątem oka i poczuł głębokie pragnienie, by pozostać z nimi, by być jak one. Nikt nie podchodzi do konia i nie pyta: kim jesteś? Koń musi nosić wszystkie ciężary, jakie się nań nałoży, a później wolno mu odpoczywać. Koń, który nie potrafi nic robić, dostaje kulkę w łeb. Dzień za dniem, po kolei. Chodzić po padoku z dzieckiem na grzbiecie. Pić ze starej balii do kąpieli. Spać na stojąco z opadającą głową. Opędzać się od owadów. Aż do końca swoich dni.

Wyszedł na drogę. Ludzie wkrótce zaczną wypelzać spod prześcieradeł i kołder. Wygramolą się z dziur i mrowisk. Wyczuwał tę porę jako wibrację w powietrzu. Wkrótce zacznie się ruch na drogach. Errki przyspieszył kroku. Lepiej wrócić do lasu. Co jakiś czas podnosił głowę. Lubił szelest liści na drzewach, migotanie światła pomiędzy nimi i zapach trawy w nozdrzach. Chrzęst gałązek i wrzosów pod stopami. Szare i suche drzewa stały zakotwiczone w ziemi. Chwycił za paproć, wyciągnął ją z korzeniami, podniósł do oczu i mruknął:

– Korzeń, łodyga i liść. Korzeń, łodyga i liść.

Po jakimś czasie zaczął odczuwać zmęczenie. W oddali zauważył stromą skałę, a poniżej jej cień. Kiedy do niego dotarł, zwinął się w trawie, słuchając przez cały czas głosu, który dochodził z jego wnętrza. Buczał nieprzerwanie, jak transformator w elektrowni. W kieszeni miał niewielką zakręcaną fiolkę z lekarstwami. „Sen to brat śmierci” – pomyślał, zamykając oczy.

Znalazł się na skraju polany.

Tylko Errki chodził w ten sposób: stawiał ciężko kroki, powłócząc nogami jak wrona z podciętymi skrzydłami. Mimo to poruszał się szybko. Wszystko na nim wisiało: długie włosy, rozpięta kurtka i workowate spodnie, których od dawna nie zdejmował – stare spodnie z poliestru, obrzydliwie cuchnące potem i moczem. Szedł z pochyloną głową, jakby z powodu skurczu ścięgien w szyi. Rzadko spoglądał w górę. Oczy miał zwykle utkwione w ziemię, oglądał więc własne, mozolnie przemieszczające się stopy. Poruszały się same. Nie potrzebowały miejsca przeznaczenia, mogły sunąć przed siebie całymi godzinami i nie zmęczyć się. Maszerował niezmordowanie jak nakręcana zabawka z kluczykiem w plecach.

Miał dwadzieścia cztery lata, wąskie ramiona, ale zaskakująco szerokie biodra. Urodził się z wadą stawów i musiał nimi kołysać, jeśli chciał zmusić nogi do współpracy. Denerwujący ruch, zupełnie jakby nosił na plecach coś odrażającego, co chciał z siebie strząsnąć. Dlatego inni ludzie uważali, że chodzi jak kobieta. Szyję też miał chudsza i dłuższą niż inni mężczyźni, prawie tak cienką, że wydawało się niemożliwe, by mogła unieść ciężar jego głowy. Ta nie była szczególnie duża, ale jej zawartość z pewnością była cięższa niż u większości ludzi.

Ważył zaledwie sześćdziesiąt kilo, bo jadł niewiele. Nie potrafił zdecydować, co mu bardziej smakuje. Chleb czy płatki kukurydziane? Kiełbasa czy hamburger? Jabłko czy banan? Jak inni ludzie radzili sobie z dokonywaniem tych wszystkich wyborów, których wymagało życie? I skąd wiedzieli, czy wybrali właściwie?

W kieszeni miał małą, zakręcaną fiolkę. Zawierała wszystko, czego potrzebował, by doprowadzić myśli do porządku, by nakazać nogom posłuszeństwo – na korytarzach szpitala, w autobusie, w pociągu albo podczas leśnej wędrówki.

Kiedy nigdzie nie chodził, leżał bez ruchu i odpoczywał. Miał długie, szorstkie czarne włosy. Zasłaniały mu twarz jak brudne frędzle. Skórę pokrywał trądzik. Krosty pojawiły się, gdy skończył trzynaście lat i zaczynały przypominać małe wulkany. Gdy traktował je wodą z mydłem, wyglądały znacznie gorzej, więc przestał się myć. Nie rzucały się tak bardzo w oczy, gdy brud i tłuszcz zlepiły się na skórze w grubą warstwę.

Pod sztywnymi jak druty włosami od czasu do czasu można było dojrzeć długą, wąską twarz z ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi i cieniutkimi czarnymi brwiami. Miał głęboko osadzone oczy, zwykle spuszczone, by uniknąć wszelkiego kontaktu wzrokowego. Ale gdy skrzyżował z kimś spojrzenie, oczy roziskrzały się bladą poświatą. Z powodu długich włosów i ubrania, jakie nosił, nawet latem miał białą skórę. Podtrzymywane skórzanym paskiem spodnie zsuwały mu się z bioder. Sprzączka była w kształcie mosiężnego orła z

rozwiniętymi skrzydłami i z zakrzywionym dziobem. Ptak miał drobne emaliowane oczy, które gapiły się w dół na niewidzialną zdobycz, być może na skromne genitalia Errkiego ukryte w brudnych spodniach. Jego penis był mały jak na mężczyznę w tym wieku, i nigdy nie był we wnętrzu kobiety. Nikt o tym nie wiedział, nawet Errki nie zwracał na to uwagi, skupiając się na ważniejszych sprawach. Wystarczyło, że imponujący ptak na pasku poruszał się w rytm kołysania bioder. Być może dzięki temu ludzie pomyślały, że natura hojnie go obdarzyła.

Było spokojnie i gorąco. Żółte pola po obu stronach drogi ciągnęły się jak okiem sięgnąć. W przeciwną stronę szła dziewczyna, prowadząc dziecinnie wózek. Zobaczyła w oddali ciemną, poruszającą się ociężałą sylwetkę mężczyzny i zdała sobie sprawę, że będzie musiała przejść obok niego. Wyglądał dziwnie, a w miarę jak się zbliżał, czuła, że jej ciało się napina, a kroki stają się sztywniejsze. Kołysząc się i wyginając, postać podążała naprzód. Było w niej jednocześnie coś nieśmiałego i agresywnego. Przyszło jej do głowy, że nie powinna patrzeć mężczyźnie w oczy, lecz szybko go minąć z obojętnym i wyniosłym wyrazem twarzy. Nie może pokazać, że się go obawia, bo miała wrażenie, że gdyby poczuł zapach jej strachu, zaatakowałby jak niegodny zaufania pies.

Dziewczyna była tak jasnowłosa i ładna, jak Errki ciemnowłosa i brzydki. Nawet przez zasłonę zbliżała się ku niemu jak ostry promień światła. Trzymała kurczowo wózek, pchając go do przodu jak tarczę, jakby była gotowa poświęcić jego zawartość dla uratowania własnej skóry. Przynajmniej takie wrażenie odniósł Errki. Siedział od dłuższego czasu, pograżony w myślach. Teraz na obrzeżach swojego pola widzenia zauważył sylwetkę, zmierzającą ku niemu drobnymi kroczkami. Wyglądała na szczupłą, jak kawałek drżącej białej kartki. Nie podniósł głowy. Spośród wszystkich obiektów w świetle percepcji Errkiego, dziewczyna z wózkiem była najbardziej żalosna. Nie mógł zrozumieć, dlaczego urodzenie dziecka nadaje kobieciej twarzy ten głupkowaty wyraz rozkoszy. Mimo istnienia miliardów zawodzących mieszkańców ziemi, urodzenie dziecka zmieniało cały kobiecej światopogląd. Przekraczało to zdolność pojmowania Errkiego. Jednak obrzucił dziewczynę spojrzeniem i zadał sobie pytanie: złe zamiary czy absolutnie żadne? Nigdy nie doświadczył dobrych zamiarów. Ale nigdy nie pozwalał nikomu dać się nabrać. Nie można było rozpoznać wroga z zewnątrz, wyłącznie po wyglądzie. Pod dziecinnym kocem mogła ukrywać nóż. Wyobraził sobie haczykowato zakończone i wyszczerbione ostrze. Nigdy nic nie wiadomo.

Minęli się. W tej chwili Errki usłyszał ostry brzęk szkła. Dziewczyna zacisnęła dłoń na rączce wózka. Na krótką chwilę podniosła wzrok. Ku swojemu przerażeniu dostrzegła dziwny blask w jego oczach, a między polami rozpiętej kurtki przeczytała napis na jego T-

shircie: ZABIJAJ INNYCH.

Ten napis wrył się jej w pamięć. Tak stała się jedną z wielu osób, które później zeznały na policji, że widziały poszukiwanego mężczyznę tamtego dnia dokładnie w tamtym miejscu.

Inni zawsze czegoś od niego chcieli. Nie tylko jego spustoszonego, wyniszczonego ciała z wszystkimi organami w beładzie albo twardego jak kamień serca, które trzepotało w klatce z kości. *Chcieli wkraść się do jego wnętrza.* Do sekretnego miejsca z błyszczącymi lampami. Ubierali złe zamiary w gładkie słowa, robili mu na złość, błogosławiąc otaczającą rzeczywistość i rzucając śmiało wyzwania społeczności. Nie mógł tego znieść.

A jeżeli nie chciał?

Myśli wymknęły mu się spod kontroli, zaburzając poczucie czasu. Chwiejnym krokiem wrócił do pokoju i ciężko usiadł na brudnym materacu. Cieszył się, że uciekł z dusznego zakładu, zadowolony, że znalazł porzuconą chatę. Położył się na boku, zwinął się w kłębek, zgiął kolana, dłonie ukrył pomiędzy nogami, a policzek przycisnął do cuchnącego stęchlizną materaca. Zaglądał w głąb siebie, do ciemnej, zakurzonej piwnicy, gdzie właśnie otworzyła się wąska dziura w suficie, wpuszczając promień bladego światła, rozlewający się okrągłą plamą na kamiennej podłodze. Siedział na niej Nestor, a obok – obszarpany Płaszcz. Ten ostatni wyglądał zupełnie niewinnie, jak wyrzucony na śmietnik łach, lecz Errki wiedział lepiej. Długo leżał bez ruchu, czekając, a potem znów zapadł w sen. Potrzeba było czasu, żeby rana się zabiłżniła. Ona się zrastała, a on śnił. Po karze zawsze dostawał coś na pocieszenie. Taka była umowa. Była godzina 6.03 rano, 4 lipca, i z nieba zaczął się już sączyć żar.

Chata pojawiła się niespodziewanie, ukryta w gęstej kępie drzew. Była stara, niezamieszкана od kilkudziesięciu lat, lecz jeszcze w dobrym stanie, chociaż większą część wyposażenia dawno temu zniszczyli włóczędzy. Przez lata sporo ludzi tego pokroju zatrzymywało się w niej na krótko, pozostawiając po sobie puste butelki i ślady w zniszczonych pokojach.

Stał w zagajniku przez jakiś czas i gapił się. Drewniana chata, a przed nią małe podwórko z bujnym trawnikiem. Z wahaniem przyłożył dłoń do drzwi i pchnął, a potem zatrzymał się na chwilę, wachając uwiecznione wewnątrz powietrze. W środku znalazł kuchnię, pokój dzienny i dwie sypialnie. Na jednym z łóżek leżał stary materac w prążki. Przechodził na palcach z pokoju do pokoju, rozglądając się, wdychając woń starego drewna. Tutaj Errki

znajdował się bliżej swoich przodków, niż mogło mu się wydawać. Trafił do starego domku letniskowego zbudowanego na zmurszałych fundamentach jednej z wielu fińskich zagród z siedemnastego wieku. Przechadzając się po wnętrzu, słuchał niemych ścian. Miał wrażenie, że coś tu się wydarzyło. W ścianach osadziła się wściekłość. Z głębokich nacięć na grubych balach sterczały drzazgi, zupełnie jakby ktoś poharatał je siekierą. Ani jedna szyba nie pozostała nietknięta. W pogruchotanych ramach dojrzał tylko kilka kawałków szkła. Pomyślał o trzech albo czterech rzeczach naraz. Nie można było tu dojechać samochodem i chyba nikt go nie widział, kiedy zaczął przedzierać się przez gęste zarośla. Nie miał zegarka, ale wiedział, że po zejściu z drogi szedł dokładnie trzydzieści minut. Nie przejmował się tym, że nie ma nic do jedzenia ani ubrania na zmianę, chciało mu się tylko pić. Zacisnął zęby, chcąc zebrać trochę śliny, i zaczął poruszać językiem w ustach.

Wszedł do pomieszczenia, które kiedyś było kuchnią, i zaczął po kolei otwierać szuflady. Gałek nie było, musiał je więc podważać długimi paznokciami. Znalazł widelec, któremu brakowało zębów i pudełko świec. Okruchy i pajęczyny. Kapsle od butelek. Pudełko po zapalkach. Pod rozbitym kuchennym oknem leżały resztki firanki, ale kiedy ją podniósł, zetlały materiał rozpadł mu się w palcach. Wrócił do salonu. Jedno okno wychodziło na podwórze przed domem, a przez drugie, w przeciwległej ścianie, widać było staw. Pod ścianą zobaczył stary tapczan obity szorstkim, zielonym materiałem. Naprzeciw niego stała wielka szafa. Otworzył ją i zajrzał do środka. Była pusta. Drewnianą, chropowatą podłogę pokrywały plamy. Przysiadł na tapczanie. Sprężyny jęknęły, a z wytartej tkaniny uniosła się chmura pyłu. Zmienił zdanie i poszedł do sypialni z łóżkiem i materacem. Zdjął kurtkę, T-shirt i położył się. Zniknął na całą wieczność. Kiedy się zbudził, nie pamiętał, gdzie jest. Poza tym, coś mu się przyśniło. Dlatego popełnił poważny błąd, gdy wyszedł bez zastanowienia na światło słoneczne. Co za upokorzenie, zbierać własne flaki ze schodów, słuchając złośliwego śmiechu Nestora, gdy jelita prześlizgiwały się między palcami, jak małe węże.

Obudził się po raz drugi, bardzo powoli usiadł i rozglądał się po pokoju, gładząc dłonią klatkę piersiową, by upewnić się, czy jest cała. Została tylko czerwona blizna o nieregularnych brzegach. Biegła od środka klatki piersiowej na sam dół, aż do pępka. Wstał z łóżka. Słońce stało teraz wyżej. Pokój był pusty, nie było w nim nic oprócz prostej szafki nocnej, która w rzeczywistości była tylko skrzynką. Niespiesznie wyprostował się, podszedł do stolika i wysunął szufladę. Wpatrując się w nią, z roztargnieniem rozmasowywał obolałe biodro. Leżał na czymś twardym. Wrócił do łóżka, spojrzął na materac i zaczął go naciskać palcami centymetr po centymetrze. Wyczuł coś wąskiego i twardego. Z trudem podniósł go i

przewrócił na drugą stronę. W miejscu, z którego usunięto trochę pianki, znalazł sporych rozmiarów dziurę w pasiastym obiciu. Wetknął dłoń do środka i szukał, aż natrafił na coś zimnego. Wyciągnął przedmiot i gapił się w zdumieniu, nie wierząc własnym oczom. W zaniedbanej, opuszczonej chacie, w spleśniałym starym materacu znalazł rewolwer. Ujął go ostrożnie obiema dłońmi i zajrzał do lufy. Początkowo sprawiał wrażenie obcego ciała, ale kiedy chwycił go prawą ręką i położył palce na spuście, poczuł, że leży jak ulał. Emanował mocą. Całą potęgą nieba i ziemi. Bryzą, wichrem i burzą. Wiedziony ciekawością przesunął rygiel i otworzył bębenek. W komorze był jeden nabój. Z przejęciem wyciągnął go i przyjrzał mu się uważnie. Był długi, błyszczący, miał dziwnie zaokrąglony czubek. Wcisnął go z powrotem do komory, zadowolony, że tak dobrze pasuje. To kazało mu się rozejrzeć dookoła. Ktoś spędził tutaj noc i zostawił broń. Dziwne. Może nie miał czasu jej zabrać, bo ktoś go zaskoczył? A może czekał gdzieś w pobliżu, aż będzie mógł wrócić i ją odzyskać? Musiała być bardzo droga. Errki niewiele wiedział o broni palnej, ale miał wrażenie, że to wysokiej jakości rewolwer dużego kalibru. Odczytał drobne litery na kolbie: Colt.

– Co o tym myślisz, Nestorze? – mruknął cicho, obracając broń w tę i we w tę. Nagle przerwał i odrzucił ją. Rewolwer z trzaskiem upadł na podłogę. Wybiegł do kuchni i stał tam przez chwilę, trzymając się lawy. Powinien był się domyślić, że Nestor wypalił z jakąś obrzydliwą propozycją. Słyszał ich, jak tam na dole, w ciemnej piwnicy aż tarzali się ze śmiechu. Wrócił i dość długo przyglądał się broni. Po pewnym czasie włożył ją z powrotem do materaca. Nie potrzebował jej, miał inną. Wędrował po domu, z kuchni do salonu i z powrotem, nie spuszczać wzroku z brudnych desek podłogowych. Nie przestawały skrzypieć w zmieniających się tonacjach. Wkrótce z wędrowki po pokojach stworzył całą melodię. Jego czarne włosy, kurtka i spodnie drżały z entuzjazmu. Rozpostarł sztywno ręce i poruszał palcami w rytmie skrzypiących desek. Rytm pochłonął go bez reszty. Chodził i chodził, nie mogąc się zatrzymać, nie chcąc się zatrzymać. W powtarzalności dźwięków odnajdywał spokój. Nie miał żadnego innego celu, niż chodzić tam i z powrotem, stawiając miarowe kroki, z rozczapierzonymi palcami. Skrzyp, skrzyp, Errki idzie, tam i z powrotem, raz po raz, z pokoju do pokoju, tup, tup.

Nie wiedział, jak długo tak chodził, ale wreszcie zebrał się na odwagę, zatrzymał się i stanął w drzwiach wejściowych. Otworzył je z wahaniem. Polana skąpana była w jasnym świetle słonecznym. Opuścił głowę, ostrożnie stanął na kamiennych schodach, a potem zaczął brnąć przez głęboką trawę. Zatrzymał się i wciągnął w nozdrza zapach sosnowych szyszek, paproci i orlic. Korzeń, łodyga i liść. Na koniec znów ruszył przed siebie, chociaż nie wiedział, dokąd idzie ani co będzie robił. Nestor kierował jego krokami w dół, przez zarośla,

ku cywilizacji.

Było jeszcze wcześniej. Tylko ranne ptaszki zdążyły wstać z łóżka. Rozsuwali zasłony i popatrywali na rozpromieniony dzień. Gorąco. Jasno. Migocząca zieleń. Snuli optymistyczne plany na nadchodzący dzień, chcąc jak najlepiej wykorzystać krótki czas pięknej letniej pogody. Jedną z tych osób była Halldis Horn. Mieszkała samotnie w małej zagrodzie niedaleko starej fińskiej chaty. Gdy Errki stawiał pierwsze kroki w trawie, właśnie ściągała przez głowę nocną koszulę.

Rozdział 2

Zarówno pierwsza, jak i druga młodość Halldis dawno już minęła, poza tym kobieta ważyła o wiele za dużo, lecz kilka bezstronnych dusz nadal uważało ją za bardzo urodziwą. Była wysoka i pulchna, miała pełne piersi i siwy warkocz, który zwisał jej na plecach jak gruba żelazna lina. Twarz okrągłą, o zdrowej karnacji, policzki jak czerwone róże, a oczy, mimo wieku, nadal promieniały migotliwą jasnością.

Minęła salon i kuchnię i otworzyła drzwi na podwórze. Przymykając powieki, podniosła twarz do słońca. Stała na jednym ze schodków ubrana w kraciasty fartuch i drewniane chodaki. Miała na sobie brązowe podkolanówki – nie z powodu chłodu, ale dlatego że uważała, iż kobiety w jej wieku nie powinny pokazywać zbyt wiele gołego ciała. Nie odwiedzał jej nikt, oprócz właściciela sklepu spożywczego raz w tygodniu, ale istniał przecież Nasz Pan i Jego wiecznie obecne spojrzenie. Na dobre i na złe, mówiąc bez ogródek, bo chociaż była osobą wierzącą, słała Mu czasem gniewne myśli i nigdy nie prosiła o przebaczenie. Teraz patrzyła na inwazję dmuchawców. Całe podwórze było ich pełne. Wydawały się rozprzestrzeniać jak wysypka, psując wygląd całego ogrodu, który tak starannie pielęgnowała. Każdego lata dwukrotnie wykopywała je z korzeniami, zadając wściekle ciosy motyką. Lubiła pracować, jednak od czasu do czasu skarżyła się – po to żeby przypomnieć swojemu świętej pamięci mężowi, w jakie wpędził ją tarapaty, gdy padł martwy za kierownicą traktora na skutek skrzepu wielkości ziarnka ryżu, który zablokował jakąś tętnicę. Nie mogła pojąć, jak coś takiego mogło ściąć z nóg jej zahartowanego, silnego męża, istną górę mięśni, mimo że lekarz próbował jej wszystko wyjaśnić. Wydarzenie to było dla niej tak samo niewiarygodne jak fakt, że samoloty latają albo że może zadzwonić do swojej siostry, Helgi, mieszkającej daleko na północy w Hammerfest, i tak wyraźnie usłyszeć jej płaczliwy głos.

Lepiej zacząć, zanim zrobi się zbyt gorąco. Odnalazła motykę i zaniósła ją do ogródka. Oslaniając oczy dłonią, przyjrzała się trawnikowi, by zaplanować pracę. Postanowiła zacząć od schodów i posuwać się zakosami ku studni, i dalej, aż do samej szopy. W korytarzu znalazła wiadro i grabie. Zaczęła pracę w szybkim rytmie, wałąc miarowo po chwastach, dopóki się nie zmęczyła. Zadawała każdej roślinie dwa albo trzy ciosy, potem zmieniała rytm, napełniała wiadro i opróżniała je na stercie kompostu za domem. „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz” – myślała, uderzając energicznie w dno wiadra. Potem wracała do kopania. Jej szerokie biodra unosiły się ku niebu i poruszały w rytm uderzeń

motyki. Czerwone i zielone kratki fartucha trzepotały łagodnie na wietrze. Brwi miała wilgotne od potu, a zwisający z ramienia warkocz kołysał się miarowo. Zwykle upinała go na głowie, zwinięty w kłębek jak błyszczący wąż, ale robiła to dopiero po wykonaniu porannych obowiązków.

Lubiła odgłosy, które towarzyszyły wykopywaniu chwastów. Motyka była ostra jak siekiera, bo sama niedawno ją naostrzyła. Od czasu do czasu trafiała na kamień i krzywiła się na myśl o tym, co stanie się z błyszczącym, cienkim jak brzytwa ostrzem. W miarę jak torowała sobie drogę naprzód, chwasty padały jak żołnierze na polu bitwy. Nie śpiewała ani nie nuciła. I bez tego miała dość pracy, poza tym Stwórca mógłby sobie pomyśleć, że wiedzie się jej zbyt dobrze, a dla Halldis byłaby to przesada. W myślach nakrywała do stołu. Chleb domowego wypieku i własny wędzony ser zrobiony z koziego mleka.

Wyprostowała się. Stado ptaków rozwrzeszczało się wysoko nad koronami drzew. Miała wrażenie, że słyszy świst, a potem szelest czegoś spadającego przez liście. Potem zaległa cisza. Przerwała na chwilę i patrzyła, kradnąc kilka chwil odpoczynku. Pozwoliła spojrzeniu prześliznąć się po lasach, w których знаła każde drzewo z osobna. Wydało jej się, że wśród znajomych konturów czarnych pni dostrzega coś ciemnego. Coś, czego przedtem nie było. Jakąś nieprawidłowość.

Zmrużyła oczy i przyglądała się uważnie, ale skoro nic się nie ruszało, potraktowała to jak złudzenie. Zatrzymała wzrok na studni. Trawa dookoła pompy była wysoka i zaniedbana. Powinna ją później skosić. Zgięła się znów do pracy, tym razem odwrócona plecami do drzwi frontowych. Słońce paliło coraz silniej, mimo że było dość wcześnie. Jej szerokie biodra rozgrzały się w słońcu, a pot szczypał, spływając wewnętrzną stroną ud. Tak wyglądało życie Halldis Horn. Rozwiązywanie jednego problemu, potem następnego, po kolei, bez narzekania. Była osobą, która nigdy nie kwestionowała porządku świata ani sensu życia. Tego się nie robiło. Poza tym obawiała się odpowiedzi. Nadal kopała zawzięcie, aż trzęsły się jej biodra. W górze, na stoku, ukryty za drzewem, stał Errki i patrzył.

Kobieta zafascynowała go. Wyrastała z ziemi jak ogromne świerki. Słyszał dźwięk, jaki wydawała – samotny, majestatyczny puzon. Długo stał i pożerał ją wzrokiem: okrągłe ramiona, łopocząca spódnica. Widywał tę kobietę wcześniej. Wiedział, że mieszka samotnie. Rzadko się odzywała i słuchała tylko wiatru albo skrzeczenia srok. Gdy zrobił parę kroków naprzód, pod jego stopami trzasnęły gałązki. Odgłos motyki był coraz mocniejszy. Utkwił wzrok w jej dłoniach, w grubych palcach i nadgarstkach. Ostrze wcinało się w ziemię z przerażającą siłą, w której nie było nic kobiecego. Gdy znów się poruszył, już bezszelestnie,

stwierdził, że kobieta stopniowo uświadamia sobie, iż zbliża się do niej jakieś żywe stworzenie. U mieszkających samotnie ludzi rozwija się wyostrzona świadomość otoczenia. Rytm jej pracy zmienił się – najpierw zwolniła, a potem przyspieszyła, jakby chciała odegnąć od siebie przecucie, że za chwilę coś się wydarzy. Wyprostowała się. Nagle spostrzegła go i zeszytniała. Wyprężyła się. Jej klatka piersiowa falowała. W powietrzu między nimi pojawił się strach. Zaciśnęła dłonie na trzonku motyki. Najpierw szeroko otworzyła oczy, a potem je zmrużyła. Obawiała się niewiele rzeczy na świecie, ale właśnie w tej chwili poczuła się nieswojo.

Zatrzymał się nagle, pragnąc, by kontynuowała pracę. Chciał tylko obserwować, jak wykopuje dmuchawce, przyglądać się rytmicznym wymachom i rozkołysanym biodrom. Lecz Halldis zaniepokoiła się. Errki odebrał wszystkie wyraźne sygnały wysyłane przez nią i stanął jak wryty z zaciśniętymi pięściami. Spojrzenie Halldis trafiło go jak deszcz strzał.

Słońce nadal wspinało się po niebie, zawzięcie prażąc ludzi, zwierzęta i wysuszony na pieprz las. Posterunkowy Robert Gurvin siedział samotnie, pogrążony w myślach. Rozpiął guzik koszuli i dmuchnął na klatkę piersiową. Strużka potu ciekła mu po szyi. Próbował odsunąć kosmyk włosów z czoła, ale ten nie miał ochoty zostać na nowym miejscu. Posterunkowy poddał się i dla odmiany spróbował zwolnić tętno siłą woli. Słyszał, że starzy Indianie potrafili robić coś takiego, ale z całej tej koncentracji wynikło tylko tyle, że zaczął się pocić jeszcze bardziej.

Na zewnątrz rozległy się kroki. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł zziębnięty, tegi chłopiec w wieku około dwunastu lat. Bez tchu stanął na środku pokoju. W jednej dłoni trzymał popielaty futerał, przypominający dziwnie ukształtowaną walizkę. Może w środku znajdował się jakiś instrument muzyczny w kształcie liry? „Chłopiec nie wygląda, jakby umiał grać na lirze”, pomyślał Gurvin. Przyjrzał mu się dokładnie. Był niesamowicie otyły. Ręce i nogi sterczały mu z tułowia pod kątem, jakby był napompowany do pełna helem i właśnie miał się wznieść w powietrze. Brązowe przetłuszczone włosy lepiły mu się do głowy cienkimi pasmami. Był boso. Nosił poprzecierane, obcięte dżinsy i brudny podkoszulek. Usta miał otwarte z podniecenia.

– Słucham.

Posterunkowy Gurvin odgarnął na bok papiery. Tamtego dnia nie miał zbyt wiele do roboty, poza tym lubił, gdy ktoś go odwiedzał. Właśnie teraz napawał się niewiarygodnym widokiem.

– Co się stało, chłopcze?

Przybysz zrobił krok naprzód. Nie przestawał dyszeć. Było widać, że musi szybko zrzucić z serca jakiś ciężar. Pewnie chce zgłosić kradzież roweru albo coś w tym rodzaju. Oczy mu błyszczały i trząsł się tak bardzo, że Gurwinowi od razu nasunęło się skojarzenie z ciepłym sufletem w piekarniku, tuż zanim się zapadnie.

– Halldis Horn nie żyje!

Jego głos balansował gdzieś pomiędzy dyszkantem dziecka a niższym tembrem głosu mężczyzny, którym miał się stać. Zaczął nisko, ale kiedy doszedł do słów „nie żyje”, mówił już falsetem.

Gurvin przestał się uśmiechać. Zdumiony spojrział na stojące przed nim stworzenie, niepewny, czy dobrze usłyszał. Mrugnął i położył sobie dłoń na karku.

– Co powiedziałeś?

– Halldis nie żyje. Leży na schodach przed domem!

Wyglądał jak bohaterski żołnierz, który wrócił samotnie do obozu, żeby zameldować o tym, że cały jego pluton zginął w akcji. Poruszony do głębi duszy, ale mimo to niepozobawiony godności. Stawał przed dowódcą i meldował, że zakończył misję.

– Siadaj, młody człowieku! – powiedział Gurvin władczo i skinął głową w stronę krzesła. Chłopiec pozostał jednak nieporuszony. – Chodzi ci o tę kobietę, która ma małe gospodarstwo w Finnemarce?

– Tak.

– I przychodzisz prosto stamtąd?

– Szedłem obok jej domu. Leży na schodach.

– Jesteś pewny, że nie żyje?

– Tak.

Gurvin zmarszczył brwi. Upał dawał się wszystkim we znaki.

– Sprawdziłeś to?

Chłopiec spojrział na niego z niedowierzaniem, jakby na samą myśl o tym miał zasłabnąć. Pokręcił przecząco głową, a jego monstrualne ciało zafalowało.

– Nie dotykałeś jej w ogóle?

– Nie.

– No to skąd wiesz, że nie żyje?

– Jestem pewien – wydyszał chłopiec.

Gurvin wyjął pióro z kieszeni koszuli i coś zanotował.

– Podaj mi swoje nazwisko.

– Snellingen. Kannick Snellingen.

Oficer mrugnął oczami. Imię i nazwisko były tak samo osobliwe jak chłopiec, ale pasowały do niego. Zapisał je w notesie, opanowując mimikę, by nie okazać dezaprobaty dla decyzji rodziców o wyborze imienia dla chłopca.

– Tak cię ochrzczili, Kannick? To na pewno nie przezwisko? Albo skrót od Karla Henrika?

– Nie, Kannick. Pisze się przez „c-k”.

Gurvin zamasyście zanotował dane.

– Nie codziennie spotyka się takie imię – powiedział uprzejmie. – Ile masz lat?

– Dwanaście.

– I chcesz mi powiedzieć, że Halldis Horn nie żyje?

Chłopiec skinął głową, nadal ciężko dysząc i smutnie przestępując z nogi na nogę. Na podłodze blisko siebie postawił walizkę. Była pokryta nalepkami. Gurvin zauważył serce, jabłko i parę imion.

– Nie nabierasz mnie przypadkiem, co?

– Nie!

– Tak czy inaczej, myślę, że powinienem do niej zadzwonić. Sprawdzę, czy odbierze telefon – stwierdził Gurvin.

– Niech pan sobie dzwoni. I tak nikt nie odbierze!

– Siadaj wreszcie – powiedział Gurvin. Po raz drugi wskazał głową krzesło, ale chłopiec wciąż stał. Gurvin podejrzewał, że gdyby usiadł, pewnie nie dałby rady się podnieść. Numer znalazł w książce telefonicznej pod nazwiskiem Thorvald Horn. Wybrał i czekał. Halldis miała swoje lata, ale poruszała się jeszcze całkiem żwawo. Żeby się upewnić, czekał dość długo. Pogoda była wspaniała. Może kobieta wyszła do ogrodu? Chłopiec wpatrywał się w niego, oblizując usta. Gurvin zauważył, że czoło chłopca jest bielsze niż policzki, bo ocieniała je gęsta czupryna. T-shirt miał trochę za krótki i część ogromnego brzucha wylewała się znad szortów.

– Opowiedziałem panu o wszystkim – powiedział bez tchu. – Teraz mogę już iść?

– Nie. Obawiam się, że nie – odparł policjant, odkładając słuchawkę. – Nikt nie odpowiada. Muszę wiedzieć, kiedy u niej byłś. Muszę napisać raport, a to może być ważne.

– Ważne? Przecież ona nie żyje!

– Muszę wiedzieć, kiedy to się mniej więcej stało – przemówił łagodnie Gurvin.

– Nie mam zegarka. I nie wiem, jak długo idzie się tu z jej zagrody.

– Powiedziałbyś, że jakieś trzydzieści minut?

– Biegłem prawie przez całą drogę.

– No to powiedzmy dwadzieścia pięć.

Gurvin spojrział na zegarek i zrobił kolejną notatkę. Nie sądził, żeby tak gruby dzieciak szybko biegał, zwłaszcza że miał ze sobą bagaż. Znowu wybrał numer Halldis. Odczekał długą chwilę, zanim odłożył słuchawkę. Był zadowolony. Trafiła się długo wyczekiwana odmiana w rutynie codziennych zajęć. Była mu bardzo potrzebna.

– Czy mogę teraz pójść do domu?

– Podaj mi swój numer telefonu.

Chłopiec zaskrzeczał piskliwym głosem. Podwójny podbródek zadrżał na pulchnej twarzy, a dolna warga zadrżała. Policjant zaczął mu współczuć. Wyglądało na to, że rzeczywiście coś się stało.

– Mam zatelefonować po twoją matkę? – zapytał łagodnie. – Może przyjąć po ciebie?

Kannick pociągnął nosem.

– Mieszkam w Guttebakken.

Ta informacja kazała Gurvinowi przyjrzeć się chłopcu z zainteresowaniem. Kannick miał wrażenie, że oczy policjanta zasnuwa błona, i natychmiast zrozumiał, że dorosły właśnie włożył go do nowej teczki z adnotacją „niewiarygodny”.

– Na pewno?

Gurvin nie spieszył się, strzelając knykciami każdego palca z osobna.

– Czy mam w takim razie tam zatelefonować i poprosić, żeby ktoś po ciebie przyszedł?

– Brakuje im ludzi. Na dyżurze została tylko Margunn.

Chłopiec znowu przestąpił z nogi na nogę i nie przestawał pociągać nosem.

Policjant przemówił łagodniej.

– Halldis Horn była w podeszłym wieku – mówił. – A tacy ludzie umierają. Takie jest życie. Nigdy wcześniej nie widziałeś zmarłego, prawda?

– Właśnie że widziałem!

Gurvin uśmiechnął się.

– Tacy ludzie zwykle umierają we śnie albo siedząc w bujanym fotelu. Nie ma się czego bać. Nie musisz w nocy leżeć, nie spać i rozmyślać o tym. Obiecujesz, że nie będziesz sobie tym zaprzętał głowy?

– Ktoś tam był – wyrzucił z siebie chłopiec.

– W jej zagrodzie?

– Errki Johrma – chłopak wyszeptał te słowa jak przekleństwo.

Gurvin popatrzał na niego z zaskoczeniem.

– Stał za drzewem, obok szopy, ale wyraźnie go widziałem. A potem poszedł do lasu.
– Errki Johrma? Coś mi tu nie gra. – Gurvin potrząsnął głową. – Od kilku miesięcy jest w zakładzie.

– Pewnie uciekł.

– Zaraz się o tym przekonamy – stwierdził policjant spokojnie, ale przygryzł wargę. –
Rozmawiałeś z nim?

– Czy pan zwariował?!

– Zajmę się tym. Ale najpierw sprawdzę, co się dzieje z Halldis.

Pozwolił, by wieść o Errkim dotarła do jego świadomości. Nie był przesądny, ale zaczął rozumieć, dlaczego inni tak reagowali. Errki Johrma czający się w okolicznych lasach i martwa Halldis. Albo przynajmniej nieprzytomna. Miał wrażenie, że słyszał to już wcześniej. Historia powtarzała się.

Coś przyszło mu do głowy.

– Dlaczego wleciesz ze sobą tę walizę? Nie masz chyba próby orkiestry w samym środku lasu, prawda?

– Nie – odparł chłopiec, stawiając stopy po obu stronach bagażu, jakby obawiał się, że zostanie on skonfiskowany. – To parę drobiazków, które zawsze noszę ze sobą. Lubię chodzić po lesie.

Policjant obrzucił go przenikliwym wzrokiem. Chłopiec wyglądał na bezczelnego, ale jego głos zdradzał, że coś przestraszyło go nie na żarty. Gurvin zatelefonował do Guttebakken – domu dla chłopców z problemami wychowawczymi – i poprosił o połączenie z kierowniczką. Zwięźle wyjaśnił jej sytuację.

– Halldis Horn? Nie żyje? Na schodach przed domem?

Mówiła głosem pełnym powątpiewania i obawy.

– Trudno powiedzieć, czy kłamie – odpowiedziała kobieta. – Wszyscy kłamią, kiedy im to pasuje, ale może się w tym kryć ziarno prawdy. W każdym razie mnie już dzisiaj raz oszukał, bo na pewno wziął ze sobą łuk, chociaż doskonale wie, że wolno mu go używać tylko pod nadzorem dorosłych.

– Łuk? – Gurvin nie zrozumiał.

– Czy ma z sobą futerał?

Policjant spojrzał na chłopca i na to, co leżało między jego nogami.

– Tak, ma.

Kannick zrozumiał, o czym mowa, i zsunął swoje grube nogi.

– To łuk z włókna szklanego i dziewięć strzał. Włóczy się po lasach i strzela do wron.

Z tonu jej głosu Gurvin domyślił się, że nie jest zirytowana, bardziej zmartwiona. Wykonał jeszcze jeden telefon, tym razem do szpitala, w którym przebywał Errki Johrma. Albo raczej powinien przebywać, bo okazało się, że faktycznie uciekł. Spróbował umniejszyć znaczenie tego epizodu. Wieść o Errkim była wystarczająco niepokojąca. O Halldis nie wspominał ani słowem.

Kannick stawał się coraz bardziej niespokojny. Spojrzał na drzwi. „Co się stało? – zastanawiał się Gurvin. – Na miłość boską, chyba nie ustrzelił jej z tego swojego łuku?”

– No cóż, przynajmniej Halldis umarła pięknego dnia – powiedział, rzucając chłopcu zachęcające spojrzenie. – Poza tym miała już swoje lata. O takiej śmierci wszyscy marzymy. Przynajmniej ci z nas, którzy nie urodzili się wczoraj.

Kannick Snellingen nie odpowiedział. Pokręcił głową i stał bez ruchu z futerałem między nogami. Dorosłym zawsze się wydaje, że wszystko wie. A Gurvin wkrótce się dowie, jak jest naprawdę.

Rozdział 3

Jechał powoli pod górę ku zagrodzie Halldis. Od ostatniej wizyty minęło sporo czasu, może nawet rok. W jego piersi jakby wirował szaleńczo wyszczerbiony kamień. Teraz, gdy był sam w samochodzie, poczuł, że cały dygocze. *Co właściwie widział ten chłopiec?*

Kannick upierał się, że pójdzie do Guttebakken na piechotę. posterunku do zakładu było około dwóch kilometrów. Margunn obiecała, że wyjdzie po niego. Na tyle, na ile Gurvin znał kierowniczkę, wiedział, że będzie czekała na chłopca z sokiem, słodkimi bułeczkami i opieprzem, a potem czule pogłodzi go po włosach. Mniejsza o to, co powiedzą inni. Margunn dobrze wiedziała, czego chłopcu potrzeba. Kannick uspokoił się trochę i gdy wychodził, wyraz jego twarzy zdradzał większą pewność siebie.

Subaru pokonywało lesisty stok z zajądlnością teriera. Wszyscy w okolicy mieli samochody z napędem na cztery koła. Przydawały się w zimie z powodu śniegu i wiosną z powodu błota. Stoki były strome i jechało się dość trudno nawet suchą, wybrukowaną drogą. Myślał o Errkim Johrmie. W szpitalu potwierdzili, że bez problemu uciekł przez otwarte okno, a potem skierował się tam, gdzie każdy go znał. Dokąd miał iść? Przecież czuł się tu jak w domu. Wyglądało na to, że Kannick nie kłamie. Jak większość ludzi, Gurvin miał się na baczności z powodu wszystkich plotek, tak samo nieprzyjemnych, jak sam Errki. Nieszczęście podążało za nim krok w krok. Był jak zły omen, który zostawiał za sobą lęk i przerażenie. Dopiero po przymusowym skierowaniu na leczenie do zakładu zamkniętego ludzie zaczęli okazywać mu trochę współczucia. Przecież biedak jest chory, mówili, lepiej, że mu tam pomogą. Chodziły pogłoski, że próbował zagłodzić się na śmierć, że znaleziono go na oddziale wycieńczonego jak jeniec wojenny. Leżał na łóżku, gapił się w sufit i monotonicznie recytował: „groch, wołowina, wieprzowina, groch, wołowina, wieprzowina”. I tak setki razy.

Gurvin przypomniał sobie coś, co zdarzyło się dawno temu. Wyglądał przez boczne szyby. Miał nadzieję, że Errki się nie pojawi. Był tak niesamowicie dziwny. Ponury, odpychający i zaniedbany. Zamiast oczu miał dwie wąskie szparki i nigdy nie otwierał ich szeroko, dlatego czasami zastanawiano się, czy przypadkiem nie kryje się za nimi tylko bezdenne otchłań, przez którą można zajrzeć w sam środek jego pokręconego umysłu.

Gurvinowi trudno było uwierzyć, że Halldis nie żyje. Znał ją i Thorvalda od dziecka, z tym że to ona zawsze wydawała się nieśmiertelna. Nie potrafił sobie wyobrazić tego małego gospodarstwa w górach bez nich. Ono było tam od zawsze. Kannick na pewno widział coś innego, czego nie zrozumiał, i to go przestraszyło. Może Errkiego Johrmę groźnie

spoglądającego zza drzewa? Samo to wystarczyłoby, żeby przestraszyć człowieka i zrobić mu mętlik w głowie. Zwłaszcza znerwicowanego chłopca, który i bez tego miał kłopoty. Opuścił obie przednie szyby auta, lecz mimo to pocił się obficie. Już dojeżdżał na miejsce i widział szopę w gospodarstwie Halldis. Nie mieściło mu się w głowie, że kobieta w jej wieku potrafi wszędzie utrzymać porządek. Chyba nigdy nie przestawała pieścić podwórka grabiami i kosą. Potem pojawił się ogród – bujny i zielony mimo panującej suszy. We wszystkich innych miejscach trawniki dawno pożółkły. Tylko Halldis potrafiła stawić czoła siłom natury. Chyba że wbrew zakazowi podlewała trawę. Skręcił od razu, by przyjrzeć się domowi. Niski biały budynek z czerwonymi wykończeniami. Drzwi frontowe otwarte. Tu przyszedł pierwszy wstrząs: na schodach przed domem zauważył głowę i rękę. Przerażony, zahamował i zgasił silnik. Chociaż z tego miejsca widział niewiele więcej, od razu wiedział, że kobieta nie żyje. Cholera, a jednak chłopak mówił prawdę! Niechętnie otworzył drzwi samochodu. To prawda, że wszyscy zmierzali do tego samego celu drogą życia, że Halldis była starą kobietą, lecz nagle stanął sam na sam ze śmiercią.

Gurvin nie po raz pierwszy znajdował martwe ciało, ale zdążył zapomnieć, jak dziwne jest to niezgłębione uczucie samotności – samotności, która wtedy najbardziej dawała się we znaki. Być tym *jedynym*. Wysiadł z samochodu i zbliżał się powoli, jakby chciał odłożyć tę chwilę na później, tak długo, jak to możliwe. Spojrzał przez ramię, nie mogąc się powstrzymać. Niewiele mógł zrobić. Tylko podejść i schylić się, przyłożyć palec do gardła i potwierdzić, że rzeczywiście nie żyje. Nie miał żadnych wątpliwości. Nie pozwalał na nie kąś ułożenia głowy w odniesieniu do poblądłej ręki i rozczapierzone palce. Ale wszystko trzeba sprawdzić. Wtedy będzie mógł usiąść w samochodzie, wezwać karetkę, zwinąć sobie skręta i czekać, słuchając jakiejś muzyki w radiu. Nie było sensu sprawdzać niczego w środku. Zgon nastąpił z przyczyn naturalnych, dlatego nie widział żadnego powodu, by robić cokolwiek innego. Znalazł się przy martwym ciele i nagle się zatrzymał. Coś szarego, przypominającego konsystencją mleko, płynęło po schodach. Może coś niosła i upuściła, kiedy upadła? Ostatnie metry pokonał z bijącym sercem.

To, co zobaczył, podziało na niego jak cios obuchem w głowę. Stał i gapił się bez tchu przez kilka sekund, zanim zdołał zrozumieć, na co patrzy. Leżała na plecach z rozłożonymi nogami. W jej pulchnej twarzy tkwiła motyka, wbita głęboko w lewy oczodół. Widać było niewielką część błyszczącego ostrza. Usta miała otwarte, a proteza górnej szczęki wysunęła się, nadając nieprzyjemny grymas twarzy, którą tak dobrze znał. Zatoczył się do tyłu i z trudem chwycił powietrze. Chciał natychmiast wyciągnąć ostrze z jej twarzy, ale nie mógł. Odwrócił się na pięcie i udało mu się dojść do trawnika, zanim zawartość jego żołądka

znalazła się na zewnątrz. Wymiotując, myślał o Errkim. Halldis nie żyje, a Errki krąży w pobliżu. Może był jeszcze wyżej, w lesie, ukrywał się za drzewem i obserwował go? W tej chwili Gurvinowi zabrzmiały w uszach własne słowa: „O takiej śmierci wszyscy marzymy. Przynajmniej ci z nas, którzy nie urodzili się wczoraj”.

W niecałą godzinę później w zagrodzie Halldis zaroilo się od ludzi.

Główny inspektor Konrad Sejer wpatrywał się w drugie, nietknięte oko martwej kobiety. Twarz ofiary miała przebarwienia z powodu wewnętrznego krwotoku. Policjant nie zdradzał żadnych emocji. Wszedł do domu, zdziwiony panującym wszędzie porządkiem i spokojem. Zajrzał do maleńkiej kuchni, w której nic nie zwróciło jego uwagi. Przejrzał korespondencję kobiety, wybrał jeden z listów i coś zanotował. Długo stał i patrzył. Wydawało się, że wszystko jest na swoim miejscu.

Większość z obecnych miała jasno określone zadania. Starali się najlepiej, jak mogli, skoncentrować na swoich obowiązkach. Ale wszyscy wiedzieli, że kiedyś, trochę później, w złe dni przypomną sobie te wydarzenia. Kilku z nich nie było w stanie zabrać się od razu do roboty, odwrócili się plecami do schodów i zapalili papierosy. Później starannie pochowali zgaszone niedopałki do pudełek. Uważaj, gdzie stawiasz kroki i czego dotykasz. Zachowaj spokój, zrób miejsce dla fotografa, to jest tylko kolejna sprawa, będą inne, przecież jej nie znałeś. Inni będą się martwić. Miejmy taką nadzieję.

Gurvin stał przy studni i zaciągał się dymem papierosa. Odkąd przybyły radiowozy, palił jednego za drugim. Teraz rozglądał się dookoła i obserwował ludzi. Słyszał ich głosy: przyciszone, energiczne, poważne, niepozabawione szacunku dla niej, dla Halldis. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek myślała o sobie, jak, jego zdaniem, czyniły starsze osoby, gdy dobiegały osiemdziesiątki i kresu życia. Czy przypuszczała, że kiedyś będzie leżeć w otwartej trumnie, w ślicznej sukience, ze złożonymi dłońmi? Z dyskretnym różem na policzkach, nałożonym przez uczynną osobę, której zadaniem jest sprawić, by wyglądała możliwie najpiękniej, zanim uda się na spotkanie ze Stwórcą. Stało się jednak inaczej. Nie była piękna. Pół głowy zmiażdżył cios motyką i żaden człowiek tego nie ukryje. Zapalił kolejnego papierosa i przyłapał się na tym, że spogląda w górę, na lasy, jakby miał wrażenie, że Errki nadal obserwuje ich płonącymi oczyma. „Dlaczego?”, pomyślał Gurvin. Taka stara kobieta. Czy w jakiś sposób mu zagrażała, czy też każdy, kogo spotkał, był jego wrogiem? Co takiego powiedziała mu albo zrobiła, że przeraził się i musiał ją zabić? Gurvin potrafił zrozumieć powody, dla których popełniano większość przestępstw, przynajmniej kiedy się dobrze postarał. Rozumiał szesnastoletnich chłopców, którzy snuli się wieczorami po ulicach w

poszukiwaniu emocji. Spinali kable i pruli przez miasto bryką, pociągając alkohol z butelki. Szybkość. Pęd. Świadomość, że ktoś ich ściga, że ktoś wreszcie zwraca na nich uwagę. Rozumiał, że można dokonać gwałtu. Wściekłość, impotencja w obliczu płci przeciwnej, kobieta jako niepojęta tajemnica, którą mężczyzna musi odkryć. W mrocznych chwilach rozumiał nawet mężczyzn bijących kobiety. Ale tego nie mógł pojąć. Jak coś tak straszego mogło zakiełkować i urosnąć w czyjejś głowie, rozprzestrzeniając się powoli jak trucizna? Wymazać wszelkie naturalne zahamowania i zmienić człowieka w dzikie zwierzę? Tacy ludzie później często niczego nie pamiętali. Morderstwo było jak zły sen, nigdy zupełnie realne. Nawet wtedy, gdy wbrew wszelkim oczekiwaniom odzyskiwali zdrowie. Gdy osiągnęli pewien poziom jasności umysłu, mówiono im: zrobiliście coś straszego, ale wtedy byliście chorzy. Gurvin patrzył na inspektora, który nie ujawniał swych uczuć – chociaż co jakiś czas przyglądał dłonią włosy, jakby chcąc wszystko utrzymać w ryzach. W równych odstępach czasu wydawał rozkazy albo formułował pytania – wszystko z naturalnym autorytetem, który jakby emanował z jego wnętrza. Imponująco głęboki głos wydobywał się z wysokości prawie dwóch metrów. Gurvin podniósł głowę właśnie w chwili, gdy ciało Halldis zniknęło w foliowym worku na zwłoki. Został po niej tylko dom z szeroko otwartymi oknami i drzwiami. Pewnie zostanie sprzedany jakiemuś głupkowi z miasta, który marzy o posiadaniu małego gospodarstwa w lesie. Może po raz pierwszy pojawią się tu dzieci, a rodzice zainstalują huśtawkę i piaskownicę? Kolorowe plastikowe zabawki rozsypią się po trawniku. Młodzi ludzie noszący oburzająco skąpe ubrania – dobrze, że Halldis ich nie zobaczy. Wszystko będzie w porządku. Ale coś gryzło go od środka, coś, czego nie mógł zignorować.

5 lipca. Upał.

Głównego inspektora Konrada Sejera tknęło dziwne przecucie. Odwrócił się i niespiesznym krokiem wszedł do baru w Park Hotelu. Nigdy nie chodził do barów. Zorientował się, że ostatni raz wpadł do niego przed śmiercią Elise. W środku oświetlenie było nastrojowo przyćmione, a temperatura dużo niższa niż na ulicy. Grube dywany tłumili odgłos jego kroków, a panujący w pomieszczeniu półmrok umożliwiał szerokie otwarcie oczu.

Wewnątrz było prawie pusto, lecz przy barze siedziała samotna kobieta. Wyróżniała się po części dlatego, że była sama, a po części dlatego, że miała na sobie rzucającą się w oczy czerwoną sukienkę. Bardzo piękną, cienką, z miękkiego materiału w maki. Miała blond włosy, opadające za uszami na szyję. Widział jej profil. Szukała czegoś w torebce. Kiedy podniosła głowę i uśmiechnęła się, nie był na to przygotowany i odskoczył się sztywno.

Wyglądała znajomo. Przypominała młodą policjantkę z komisariatu, której imienia nigdy nie mógł zapamiętać. Nie miała przed sobą drinka. Widocznie jeszcze nie zdążyła zamówić. A może szukała pieniędzy?

– Dzień dobry – zagadnął, kierując się ku barowi. – Ale dzisiaj gorąco. Czy mogę pani postawić drinka?

Słowa po prostu wyrwały mu się z ust. Oparł się śmiało na barze, trochę zaskoczony swoją zuchwałością. Może to z powodu ciepła? Albo wieku, który czasami mu dokuczał. Miał pięćdziesiąt lat, a stąd było już z górki ku tajemniczej ciemności.

Jednak ona skinęła głową i uśmiechnęła się. Teraz ujrzał ją z przodu. Co za piersi! Podobnie jak obojczyk – prosty i smukły, wyraźnie zarysowany pod skórą. Poczul zakłopotanie. Przecież to nie policjantka, tylko Astrid Brenningen, recepcjonistka z Ministerstwa Sprawiedliwości. Jak mógł być takim idiotą?! Była dwadzieścia lat starsza od policjantki i z wyglądu zupełnie jej nie przypominała. Wszystko przez to przyćmione oświetlenie.

– Poproszę campari. Dziękuję. – Posłała mu przekorny uśmiech, a on zaczął gmerać w tylnej kieszeni w poszukiwaniu portfela, starając się sprawiać wrażenie, że jest opanowany. Nie spodziewał się zastać jej tu samej, bez towarzystwa. Ale, na litość boską, dlaczego Astrid nie miałyby wyjść na miasto i napić się drinka, i dlaczego on nie miałby go jej postawić? Przecież można uznać, że są kolegami. Nie rozmawiali dotąd zbyt wiele, a to dlatego, że nigdy nie miał czasu zatrzymać się i pogawędzić. Zawsze dokądś pędził, żeby zrobić coś ważnego, i nie miał czasu na plotki w holu. Poza tym nigdy nie flirtował. Nie miał pojęcia, co go napadło.

Z wdziękiem popijała campari i uśmiechała się w dziwnie znajomy sposób. Poczul ukłucie w karku i musiał przytrzymać się baru, żeby nie upaść. Nogi się pod nim ugięły, a serce załomotało gwałtownie. To nie była Astrid Brenningen. To była jego Elise!

Zaczął się pocić. Nie miał pojęcia, jak to możliwe, że siedzi tutaj, tuż obok, po tylu latach, uśmiechając się, jakby nic się nie wydarzyło.

– Co u ciebie? – wyjąkał, ścierając pot z brwi grzbietem dłoni. W tej chwili zauważył własną rękę. Znowu o mało nie zemdlał. Nie miał koszuli! Stał przy barze w Park Hotelu z nagim torsem! Rozpaczliwie przewrócił się na bok i podciągnął kołdrę. Otworzył oczy i przez chwilę zdezorientowany mrugał oczami, broniąc się przed światłem. Jego pies, Kollberg, siedział obok łóżka i gapił się na niego. Była szósta rano.

Duże oczy Kollberga błyszcząły jak wypolerowane kasztany. Teraz zwierzę pochyliło głowę ku niemu w ujmujący sposób. Ciężki ogon poruszył się dwukrotnie z optymizmem.

Sejer spróbował wziąć się w garść po tym, co mu się przyśniło.

– Zaczynasz siwieć – powiedział szorstko, patrząc na psi pysk, gdzie sierść nabrała tego samego odcienia, co jego włosy.

– Zostań dzisiaj w domu. Pilnuj.

Słowa zabrzmiały bardziej surowo, niż chciał, jakby ukrywając zakłopotanie wywołane snem. Wygramolił się z łóżka. Obrażony Kollberg zaskomlał i osunął się ciężko na podłogę. Rzucił panu urażone spojrzenie. Sejera zawsze zdumiewało to rozdzierające serce spojrzenie i to, jak zwierzę ważące sześćdziesiąt kilogramów, z mózgiem wielkości klopsika może wywołać w nim takie uczucia.

Przygnębiony, stał pod prysznicem dłużej niż zwykle. Odwrócił się plecami do drzwi, by podkreślić, kto tu rządzi.

Nie znosił upałów. O wiele bardziej wolał pochmurną i bezwietrzną pogodę, czternaście, piętnaście stopni w sierpniu albo we wrześniu, z przyjemnymi ciemnymi wieczorami i nocami.

Tego rana nie spieszył się. Uważnie przeczytał gazetę, od początku do końca. Morderstwo w Finnemarce znalazło się na pierwszej stronie. Informację o nim podano też w radiu na samym początku wiadomości. Tą tragedią będzie żył przez kilka następnych tygodni. Jedząc śniadanie, słuchał wywiadu z posterunkowym Gurvinem. Potem wyprowadził psa na spacer. Następnie uchylił okno w kuchni, spuścił okiennice i sprawdził, czy zapasowy klucz jest na swoim miejscu w dzbanie za drzwiami. Poprosi sąsiada, żeby wyszedł z psem, na wypadek gdyby coś zatrzymało go na dłużej poza domem.

Zanim ruszył w drogę do pracy, była ósma. Nie zdążył się uspokoić po śnie. Jakaś dłoń chwyciła go za serce i ścisnęła je. Nadal bolało. Elise odeszła. Nie – więcej niż odeszła, już w ogóle nie istniała. A on tu był, już dziewiąty rok włókł się samotnie przez życie. Nogi niosły go przed siebie, miarowo i spokojnie. Mył się i ubierał, jadł i pracował, nawet mu to służyło. Przeważnie czuł się dobrze. Czy takie stwierdzenie to przesada? Uczucie bezsilności pojawiała się tylko co jakiś czas, tak jak tego ranka. Albo kiedy siadywał samotnie wieczorami i słuchał muzyki. Muzyki, którą lubiła, której słuchali razem. Eartha Kitt. Billie Holiday.

Ulicą płynął nieprzerwany potok ludzi w letnich ubraniach. Był piątek. Przed nimi długi weekend i marzenia o tym, co z sobą przyniesie, to biło ze wszystkich twarzy. Sejer nie miał żadnych planów. Na urlop wybierał się dopiero w połowie sierpnia, a w letnie miesiące bywało zwykle spokojnie, chyba że zrobi się tak gorąco, że ludzie zaczną szaleć. Na razie upał trwał trzy tygodnie, a o godzinie 8.13 rano termometr na dachu domu towarowego

wskazywał już dwadzieścia sześć stopni.

Ponieważ komenda główna była położona poza centrum miasta, poczuł się trochę jak ryba płynąca pod prąd, unikając pieszych na zatłoczonej ulicy. Miał wrażenie, że wszyscy poza nim zdążają w przeciwną stronę, kierując się do biur i sklepów położonych wokół rynku. Spojrzał na bezchmurne niebo. Jaskrawa, pastelowa barwa sprawiła, że zmrużył oczy. Za cienką warstwą światła ziała monstualna, zimna ciemność. Dlaczego akurat teraz musiał o tym pomyśleć?

Szybkim spojrzeniem obrzucał twarze w tłumie. Przez ułamek sekundy krzyżował z nimi wzrok. Wszyscy robili to samo: patrzyli na niego przez chwilę, a potem spuszczaali wzrok. Widzieli wysokiego, żylastego, siwego mężczyznę z długimi nogami. Zapytani, pewnie odpowiedzieliby, że piastuje wysokie stanowisko. Przystojny, nie wyróżniał się strojem. Spodnie w kolorze khaki, niebieskawo-popielata koszula i wąski granatowy krawat z drobnymi czerwonymi kropkami.

W jednej dłoni niósł ciemną skórzaną aktówkę z mosiężnym zamkiem i z inicjałami K. S. Pasowała do czarnych butów wyglansowanych na wysoki połysk. Spod srebrzących się włosów spoglądały docieklive i niebywale ciemne oczy. Jednak niczego więcej nie dało się zauważyć z zewnątrz. Przyszedł na świat w pięknej Danii, a jego narodziny były trudnym przeżyciem, zarówno dla niego, jak i dla jego matki. Nawet dzisiaj, po pięćdziesięciu latach, miał małe wgłębienie przy linii włosów – ślad po porodzie kleszczowym. Często drapał się w to miejsce, jakby sprowokowany mglistym wspomnieniem. Osoby mijające go na ulicy nie wiedziały, że ma egzemę i że pod świeżo wyprasowaną koszulą kryje się kilka płatów łuskowatej skóry. Albo że jego ciałem co jakiś czas wstrząsa niepokój, który przychodzi i odchodzi. W głębi jego prywatnego wszechświata istniał słaby punkt. Nigdy nie otrząsnął się z żalu z powodu utraty Elise. Uczucie to stawało się coraz silniejsze, aż nagle implodowało, tworząc czarną dziurę, która co jakiś czas wsysała go.

Ponownie skoncentrował się na tłumie ludzi idących w przeciwną stronę. Wśród wszystkich jasnych, przewiewnych, letnich ubrań, wyróżniała się jedna sylwetka. Mężczyzna, musiał mieć chyba niewiele ponad dwadzieścia lat, przemieszczał się szybkim krokiem w pobliżu ścian budynków. Mimo upału miał na sobie ciężkie ubranie – ciemne spodnie i czarny sweter. Na nogach nosił brązowe, skórzane sznurowane buty, a także – co najdziwniejsze w lipcowym upale – długi, prążkowany szalik, kilka razy owinięty luźno wokół szyi. Lecz to nie strój najbardziej wyróżniał go spośród ludzi na zatłoczonej ulicy. Mężczyzna ani razu nie podniósł głowy. Szybki, zdecydowany krok i oczy wbite w chodnik zmuszały wszystkich innych do odsuwania się na bok. Sejer spostrzegł go, kiedy dzieliło ich zaledwie piętnaście

albo dwadzieścia metrów. Nerwowość i dziwny wyraz twarzy wzbudziły podejrzenia inspektora. Mijając Fokus Bank, usłyszał delikatne elektroniczne kliknięcie, po którym poznał, że placówka właśnie została otwarta. Szał mógł pełnić funkcję kaptura, który mężczyzna jednym ruchem zarzucił sobie na głowę, pozostawiając tylko szczelinę na oczy. Miał też torbę na ramię, co więcej, torba była otwarta, a mężczyzna chował w niej prawą rękę. Lewą trzymał w kieszeni. Nie było widać, czy ma rękawiczki.

Sejer nie zatrzymywał się. W przeciągu paru sekund mężczyzna zbliżył się do niego na kilka kroków. Wiedziony nagłym impulsem inspektor podszedł bliżej ściany i ze wzrokiem utkwionym w chodniku zaczął naśladować sposób poruszania się mężczyzny. Chciał się przekonać, czy odsunie się na bok, czy też się zderzą. Był trochę rozbawiony tym kaprysem i przyszło mu do głowy, że być może za długo pracuje w policji. Jednocześnie w zachowaniu mężczyzny zauważył coś, co go zaniepokoiło. Przyspieszył i bardziej wyczuł, niż zobaczył, majaczącą przed nim ciemną postać. Tak jak przeczuwał, nie zderzyli się. W ostatniej chwili mężczyzna zmienił kierunek, zszedł na bok i ominął go. Nie był więc zupełnie pograżony we myślach. Uważał. Być może szedł w ten sposób, by nikt nie zapamiętał jego twarzy. Ale Sejer ją zapamiętał. Szeroka, pełna, z okrągłym podbródkiem, okolona kędzierzawymi blond włosami. Proste brwi. Krótki, szeroki nos.

Mężczyzna minął Sejera, wrócił na swoją ścieżkę przy ścianie i przyspieszył kroku. Inspektor zmrużył oczy, by lepiej widzieć, i poczuł na grzbiecie ciarki, gdy tamten zniknął w bramie wiodącej do Fokus Banku. Nie minęło więcej niż trzydzieści sekund, odkąd usłyszał kliknięcie zamka. W myślach analizował rozkład wnętrza banku, który prowadził jego rachunek oszczędnościowy. Pamiętał, że klienci przez szklane drzwi wchodziłi do wąskiego korytarza, który skręcał w lewo. To oznaczało, że wnętrza nie było widać z ulicy. Okienka kasjerów znajdowały się po lewej stronie, lada z formularzami wpłat i różnymi innymi – tuż obok wyjścia, a po prawej stało kilka krzeseł dla klientów. Za kontuarem były miejsca dla kasjerów – maksymalnie pięciu, jeżeli w banku panował ruch. Ale teraz najprawdopodobniej był tylko jeden. Po zakończeniu transakcji klient mógł wyjść drzwiami wprost na rynek. Rabuś mógłby, na przykład, zaparkować tam samochód, zostawić klucz w stacyjce i obejść budynek, dostać się do środka przez szklane drzwi, a potem obrabować bank i zniknąć w kilka sekund. Nie można było zaparkować samochodu na ulicy, nie zwracając na siebie uwagi. Lecz od strony rynku bank miał dla swych klientów cztery miejsca parkingowe z parkometrami.

Sejer stał i patrzył. Nie mógł opanować zaniepokojenia. Z rezygnacją wzruszył ramionami i zdecydowanym krokiem zawrócił. Przecież nie musi nikomu o tym mówić.

Otworzył drzwi, z trudem przecisnął się przez wąski korytarz i wyszedł obok kas. Stali tam dwaj klienci. Mężczyzna z torbą i młoda dziewczyna. Pracownica banku właśnie włożyła okulary i pochyliła się nad klawiaturą komputera. Mężczyzna stał odwrócony plecami do wejścia, wypełniając jakiś druk. Nie podniósł głowy, gdy wszedł Sejer. Sprawiał wrażenie, że się spieszy.

Zdezorientowany Sejer rozejrzał się dookoła. Dla zachowania pozorów, wziął z gabloty na ścianie broszurę o funduszach emerytalnych, a potem wyszedł. „Kiedyś trzeba sobie powiedzieć – dosyć” – upomniał się surowo. Poza tym był już o kilka minut spóźniony, a nie miał w zwyczaju przychodzić do pracy, jako ostatni. Wrócił na zatłoczoną ulicę i szybkim krokiem ruszył ku komendzie głównej. Minął sklep jubilerski z reklamą informującą o wyprzedaży, kwiaciarnię Brunnera i Pino Pino, gdzie Elise zwykle kupowała swoje ubrania. Również tamtą czerwoną sukienkę. Kilka minut później dostrzegł najwyższe piętra budynku komisariatu i w tej samej chwili usłyszał strzał. Padł w pewnej odległości od niego, ale mimo to był całkiem wyraźny. Potem ktoś zaczął krzyżeć.

Rozdział 4

Niemal wszyscy ludzie, którzy usłyszeli wystrzał, stanęli jak wryci. Tylko kilkoro nie zatrzymało się, rzucając za siebie jedynie ukradkowe spojrzenia. Inni stłoczyli się pod ścianami budynków stojących naprzeciw banku. Matka opiekuńczo objęła dziecko. Starszy mężczyzna, chyba niedosłyszający, rozglądał się oszołomiony, zastanawiając się, dlaczego wszyscy stanęli. Z otwartymi ustami gapił się na Sejera, który pędził, energicznie wywijając aktówką. Biegł szybko, lecz aktówka wybijała go z rytmu, wyglądało jakby kulał. Z banku chwiejnym krokiem wyszła kobieta. Oparła się o ścianę i ukryła twarz w dłoniach. Rozpoznał w niej kasjerkę. Za chwilę osunęła się na ziemię i przysiadła na chodniku.

– Policja – powiedział bez tchu. – Co się stało? Są ranni?

– Policja? – spojrzała na niego zdumiona. – Był napad na bank – z trudem chwytając powietrze. – Mężczyzna obrabował bank, a potem wybiegł na rynek. Uciekł... odjechał białym samochodem.

Sejer otworzył szeroko oczy, kiedy usłyszał resztę historii.

– Zabrał ze sobą dziewczynę.

– Co pani mówi?

– Zabrał ją ze sobą. Wyprowadził z banku, a potem wsadził do samochodu.

– Zakładniczka?

– Groził jej bronią!

Sejer rozejrzał się po placu. Fontanna tryskała cienkim strumieniem wody, a gołębie spokojnie dziobały okruchy chleba. Zostawił kasjerkę i podszedł do dwóch młodych mężczyzn, którzy żywo o czymś dyskutowali. Stali przy fontannie, musieli więc dobrze widzieć i bank, i główną ulicę.

– Czy widzieliście, którądy odjechał?

Umilkli i spojrzeli na niego.

– Policja – dodał, kładąc aktówkę na ziemi.

– Superszybka robota! – zawołał jeden z młodych ludzi, chudy jak szczapa. Okulary przeciwsłoneczne miał zsunięte na czubek głowy. Pojedyncze jaśniejsze pasemko kontrastowało z grzywą czarnych włosów. Odwrócił się i wskazał na główną ulicę, która zakręcała za budynkiem straży pożarnej i restauracją Diamond, a potem prowadziła ku wyjazdowi z miasta.

– Dziewczynę popędzał przed sobą, a potem wepchnął ją do samochodu.

– Co to był za samochód? – spytał szybko inspektor, nerwowo szarpiąc za pasek, żeby odczepić telefon komórkowy.

– Jakiś mały biały. Może renault...

– Zostańcie tutaj – polecił Sejer.

– Powinniśmy już być w pracy – zaproponował drugi młodzieniec. – Poza tym, moim zdaniem to nie był renault. Mnie bardziej przypominał peugeota.

– Dzisiaj się trochę spóźnicie – rzucił szorstko Sejer. – Coś takiego może się przytrafić najlepszym. Czy miał kominiarkę?

– Tak.

– Czarny pulower i sztruksy? Wiecie, kto to jest?

– Nie.

– Możemy pojechać na komisariat?

– Dlaczego nie?

"A jeżeli z góry wszystko to ukartowali?", pomyślał nagle. Oboje mogli być w to zamieszani. Może to jego dziewczyna? Falszywa zakładniczka. Dwoje ludzi w banku trzydzieści sekund po otwarciu? Cóż za zbieg okoliczności. Przestępcy stają się coraz bardziej pomysłowi.

Małe grupki ludzi stopniowo się rozchodziły, ale kilka osób ociągało się, mając może nadzieję, że policja ich też poprosi o złożenie zeznań. Nic więcej się nie działo. Mężczyzna zniknął. Po kilku sekundach wszystko się skończyło. Niektórzy pomyśleli, że wszystko poszło bardzo łatwo. Dysponując szybkim samochodem i znając teren, przestępca w pół godziny mógł pokonać spory kawał drogi.

Chłopak z fryzurą borsuka zsunął na nos okulary przeciwsłoneczne.

– Macie wszystko na wideo, prawda?

– Chyba tak – mruknął Sejer. Jego doświadczenia z monitoringiem tego rodzaju były różne. Odwrócił się właśnie w chwili, gdy na plac wjeżdżał radiowóz. Wskoczył z niego Goren Soot, na którego widok Sejer zmarszczył brwi, jednak zaraz po nim pojawił się Karlsen, co z kolei wywołało u inspektora westchnienie ulgi.

– Wziął zakładniczkę. Młoda kobieta. Broń była naładowana. Wystrzelił w banku.

Karlsen bez skrępowania gapił się na chłopaka z fryzurą borsuka.

– Weźcie tych dwóch, żeby mogli złożyć zeznania. Widzieli złodzieja i samochód. I przejrzyjcie taśmę wideo najszybciej, jak się da. Musimy się dowiedzieć, kim jest zakładniczka. Zorganizujcie blokadę dróg E18 i E76. Użyjcie naszego pasma radiowego. To

mały biały samochód, prawdopodobnie francuski.

– Dużo zgarnął? – Karlsen zajrzał przez drzwi do banku.

– Nie mamy jeszcze informacji. Ilu ludzi możemy zebrać?

– Niewielu. Skarrego wysłałem, żeby porozmawiał z Gurvinem, czterech ludzi wyjechało na kurs, a czterech innych jest na urlopie.

– Będziemy musieli poprosić o posiłki. Teraz koncentrujemy się tylko na zakładnicze.

– Miejmy nadzieję, że zostawi ją gdzieś po drodze.

– Nie można tracić nadziei – mruknął ponuro Sejer. – Lepiej pomówmy z kasjerką.

Dwaj młodzi ludzie musieli poczekać na tylnym siedzeniu radiowożu, jednak nie mieli nic przeciwko temu. Sejer i Karlsen weszli do banku. Kasjerka siedziała na jednym z krzeseł pod oknem. Towarzyszył jej dyrektor banku, który podczas napadu był w skarbcu i nie miał pojęcia, co się stało, dopóki nie usłyszał strzału, a wtedy nie ośmielił się wyjść, aż nie dotarło do jego uszu wycie syren alarmowych.

Sejer spokojnie obserwował młodą kobietę, która wykonywała polecenia bandyty. Była blada jak prześcieradło. Krople potu wystąpiły jej na czoło, ale nie była ranna. Przeniosła tylko kilka paczek banknotów z półki na ladę, ale było oczywiste, że od teraz jej życie nie będzie już takie samo. Może spisze testament? Najprawdopodobniej niewiele miała do zapisania, ale pewnie zechce to zrobić, póki jeszcze ma czas. Usiadł obok niej i zapytał łagodnym głosem:

– Czy nic się pani nie stało?

Zaczęła płakać.

– Nic – odpowiedziała, próbując się opanować. – Nic mi nie jest. Ale kiedy pomyślę o tej dziewczynie, którą porwał... szkoda, że pan nie słyszał, co mówił. Nie chcę nawet myśleć, co z nią zrobi.

– Spokojnie – powiedział Sejer. – Nie wybiegajmy myślami tak daleko. Zabrał ją, żeby nikt mu nie przeszkadzał w ucieczce. Czy widziała ją pani kiedyś?

– Nigdy.

– Może mi pani powiedzieć, co powiedział, kiedy stanął przy ladzie?

– Powiem panu dokładnie, co mówił – odparła. – Nigdy tego nie zapomnę. Zszedł ją od tyłu. Najpierw chwycił ręką za szyję i odciągnął od lady, a potem przewrócił na podłogę i położył jej nogę na głowie. Do mnie krzyknął: „Jedna chwila wahania, a rozwalę dziewczynie łeb!”. Potem strzelił. Znaczący, strzelił w sufit. Płytki na suficie popękały i poleciały na wszystkie strony. We włosach mam pełno gipsu.

Otarła pot z czoła rękawem bluzki, a Sejer przerwał na chwilę przesłuchiwanie, żeby przyjrzeć się Karlsenowi, który zdejmował kamerę z sufitu i wyciągał z niej kasetę wideo.

– Mówił po norwesku?

– Tak.

– Bez akcentu?

– Bez. Miał wysoki głos. Może trochę ochrypły.

– A dziewczyna – mówiła coś w ogóle?

– Ani słowa. Była śmiertelnie wystraszona. Bandyta wiedział, co robi. Pogarda dla wszystkiego i wszystkich. Jestem pewna, że ma już na koncie napady z bronią.

– Zobaczymy – Sejer przerwał kobiecie i wziął taśmę. – Mam nadzieję, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu, żeby pojechać z nami na komisariat i obejrzeć taśmę.

– Muszę zatelefonować.

– Możemy to załatwić.

Karlsen popatrzył na nią.

– Czy da się mniej więcej oszacować, ile dała mu pani pieniędzy?

– Dałam? – krzyknęła, patrząc na niego, jakby zwariował. – Jak może pan tak mówić? Niczego mu nie dałam, on mi je ukradł!

Sejer mrugnął i spojrzał w górę na sufit.

– Przykro mi – powiedział Karlsen. – Czy wie pani, ile pieniędzy zabrał?

– Dzisiaj jest piątek – mówiła urażonym tonem. – W kasie mogłam mieć jakieś sto tysięcy.

Sejer wyjrzał przez otwarte drzwi.

– Porozmawiajmy z tymi na zewnątrz, którzy ich widzieli. Było kilkoro świadków. Może przynajmniej dostaniemy jakiś przydatny rysopis.

Westchnął ciężko, wypowiadając te słowa. Sam widział bandytę z odległości kilku kroków. Ciekawe, jak wiele będzie mógł sobie przypomnieć?

– Samochód był biały i wyglądał na nowy. Raczej mały – dodała. – Poza tym nie zauważyłam nic specjalnego. Był otwarty, a kluczyki musiały być w środku, bo ruszył, jeszcze zanim zamknął drzwi. Przez rynek, między klombami i dalej do głównej ulicy.

– Nie można wykluczyć, że ten samochód ukradł, a własny zaparkował gdzieś indziej. Może być niebezpieczny. Musiał wziąć zakładnika powodowany impulsem. To znaczy, jeżeli rzeczywiście tak zrobił. Pewnie nie sądził, że jakiś klient przyjdzie tutaj zaraz po otwarciu. A ona... czy weszła do banku drugimi drzwiami?

– Tak.

Sejer spojrział w górę na dziurę ziejącą w suficie i zmarszczył brwi.

– Szybko podejmuje decyzje. Albo jest zdesperowany.

Kolejny wóz patrolowy zatrzymał się przed bankiem i dwaj technicy kryminalistyczni w kombinezonach weszli do środka. Ich uwagę natychmiast przykuła dziura po kuli w suficie.

– Ciekawe, ile mu jeszcze zostało – powiedział jeden z nich.

– Nawet nie chcę o tym myśleć – mruknął ponuro Sejer. – Ale bez dwóch zdań, to twarde. Najpierw bierze zakładnika, a potem strzela na postrach w godzinach porannego szczytu.

– Bardzo skuteczny – przyznał technik. – Wszyscy stoją bez ruchu. Myśli tylko o jednym, o tym, żeby się szybko ze wszystkim uporać. Nie marnować czasu, cała naprzód. Nosił rękawiczki?

Kasjerka skinęła potwierdzająco głową.

– Cienkie.

Sejer przeklął się w myślach za to, że nie został dłużej w banku i nie udaremniał planów bandyty. Jednak wtedy mężczyzna poczekałby, aż on wyjdzie, albo wrócił innego dnia. Po raz kolejny spojrział na kasjerkę. Oczy kobiety lśniły tym szczególnym blaskiem, który zdradzał, że jej dotychczasowe życie się skończyło. Zrozumiał, niczego nie rozumiejąc.

– W porządku – stwierdził. – Mamy masę roboty. Ruszajmy.

Oddychał ciężko. Pochylił się na siedzeniu, jakby chciał zmusić samochód do szybszego wyjazdu z miasta. Planował wszystko od bardzo dawna, w myślach wiele razy analizował napad, przewidując szczegóły, i zastanawiał się, jak mu się to wszystko uda. A jednak pomylił się. Wydarzenia rozegrały się z zawrotną szybkością. Miał pieniądze, ta część poszła zgodnie z planem, ale jedno się nie zgadzało. W samochodzie na miejscu pasażera ktoś siedział.

Ulice były pełne ludzi. Żaden z nich nawet nie spojrział na biały samochód. Wcisnął sprzęgło i minął skrzyżowanie, wpatrując się z tłumioną wściekłością w drogę przed sobą. Wypuścił gorące powietrze z płuc. Po piętnastu minutach ściągnął kaptur, chociaż natychmiast poczuł się nagi. Jednak nie odwrócił się, żeby popatrzeć na zakładniczkę. Nie miał wyboru, nie mógł jechać dalej z kapturem na głowie. Zbliżający się kierowcy zobaczyliby go i zapamiętali kierunek jazdy, samochód i numer rejestracyjny. Zakładniczka siedziała obok nieruchomo ze zwieszoną głową. Minęli sklep z artykułami weselnymi. Zwolnił, pozwalając mercedesowi się wyprzedzić, i skupił się na utrzymaniu wzroku przed sobą. Dopiero teraz, po kilku minutach, gdy jego tętno trochę zwolniło, uświadomił sobie, jak

dziwnie cicho jest w samochodzie. Kątem oka zerknął na pasażerkę. Coś było nie tak. Poczł mdłości, a z mdłościami przyszła obawa, a wraz z obawą przyszło przerażenie na myśl o tym, że mógłby zdobyć się na coś złego – coś znacznie gorszego niż wszystko to, co dotąd.

Co, do cholery, ma zrobić z zakładniczką?

Na taką ewentualność nie był przygotowany. Skoncentrował się na możliwie najszybszej ucieczce, żeby nikt go nie obezwładnił i nie rzucił na ziemię. O takich rzeczach czytał w prasie. O ludziach, którzy próbowali odgrywać bohaterów.

– Widziałas moją twarz – rzucił szorstko. Jego głos był dość wysoki jak na tak muskularne ciało. – I co my z tym zrobimy?

W tej samej chwili minęli dom pogrzebowy. W oczy rzuciła mu się biała trumna stojąca na wystawie. Mosiężne uchwyty. Wieniec czerwonych i białych kwiatów na wieku. Tkwiała tam od lat, pewnie zrobiona z plastiku. Wyglądała, jakby miała za chwilę roztopić się w upale, tak samo jak on. Sweter kleił mu się do ciała, a sztruksy niemal parowały. Zmienił bieg i przyhamował przed ciężarówką z prawej strony. Zakładniczka nie odpowiadała, ale zaczęła dygotać, jakby wreszcie miała zareagować. To byłaby ulga. Poczł potrzebę jakiegoś odprężenia po całym tym stresie. Jakiegoś cholernego odreagowania, jak wrzask z półotwartego okna. Zadrżał i opanował się.

– Pytałem, co myślisz, że powinniśmy z tym zrobić?

Słowa zabrzmiały żałośnie. Przerażenie sprawiło, że wypowiedział je piskliwym, ostrym tonem. Poczł dojmującą potrzebę samotności, ale teraz nie mógł się zatrzymać. Najpierw muszą się wydostać poza miasto, w jakieś ustronne miejsce, gdzie wypchnie tę niepotrzebną osobę z samochodu. Tego świadka. Nie odzywała się. Denerwował się coraz bardziej. Zaczł odczuwać skutki wielu tygodni planowania, bezsennych nocy, niepokoju i zwątpienia. Zwykle był tylko kierowcą i nie ponosił żadnej odpowiedzialności za planowanie skoków. Tym zajmowali się inni. On czekał na zewnątrz, w samochodzie z pracującym silnikiem. Nie był nawet uzbrojony. Kiedyś złożył obietnicę i teraz jej dotrzymał. Ale wziął zakładniczkę. W pierwszej chwili wydało mu się to mądrym posunięciem. Pod bankiem ludzie stali jak sparaliżowani, nawet nie kiwnęli palcem, przestraszeni, że broń wypali, a mózg zakładniczki na ich oczach rozprysnie się na kawałki. Teraz nie miał pojęcia, co robić. I nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. Milczenie było zupełne.

– Są tylko dwie możliwości – powiedział, odchrząkując.

Nie mógł tego dłużej wytrzymać.

– Albo zostajesz ze mną, albo wyrzucam cię gdzieś po drodze, ale w takim stanie, że nie odezwiesz się ani słowem.

Pasażerka milczała.

– Co ty, do diabła, robiłaś w banku tak wcześnie rano? Co?

Znów nie otrzymał żadnej odpowiedzi, opuścił więc szybę jeszcze niżej i poczuł, jak przeciąg owiewa mu rozpaloną twarz. Mijały ich samochody. Nie powinien pokazywać swojej twarzy, nie powinien się nawet odzywać, ale nie oczekiwał tak wielkiej fali emocji wzbierającej w jego wnętrzu. Tego uczucia, że coś w nim wrze. Bardzo długo czekał. Był sam przez całą wieczność, był tylko sznurkiem, który lada chwila miał trzasnąć. Teraz, na domiar złego, obok niego siedział ktoś, kto wszystko widział.

Za szpitalem, wziął ostry zakręt w lewo przy Instytucie Ortopedii, pojechał główną ulicą i znalazł się na Ovre Storgate, a potem minął porzuconą aptekę i garaże. Znów skręcił w lewo i przejechał przez stary most, potem dalej wzdłuż południowego brzegu przez dzielnicę przemysłową. Dojechał do torów kolejowych w momencie, gdy światła zmieniały się na czerwone. Przez chwilę zastanowił się nad przyspieszeniem, ale zmienił zdanie. Tym zwróciłby na siebie uwagę. Warknął przez zaciśnięte zęby:

– Siedz spokojnie i trzymaj mordę na kłódkę. Mam cię na muszce.

Wysilał się niepotrzebnie. Zakładniczka i tak nie odzywała się ani słowem. W lusterku wstecznym zauważył, jak zwalnia i zatrzymuje się za nim czerwone volvo. Kierowca auta bębnił palcami po kierownicy. Ich oczy spotkały się w lusterku. Odwrócił głowę ku torom, by popatrzeć na pociąg i usłyszał, jak turkocze w oddali. Na krótką chwilę zagłuszyło to bicie jego serca. Zakładniczka siedziała bez ruchu, gapiąc się przez okno. Pociąg minął ich z łoskotem, ale szlaban pozostał spuszczone. Włączył bieg i czekał. Samochód z tyłu przysunął się trochę bliżej, prawie dotykając jego zderzaka. Po drugiej stronie stał zielony citroen. Pot zalewał oczy bandyty, ale szlaban był nadal nieruchomy. Przez pełną napięcia chwilę pomyślał, że policja specjalnie go tam ustawiła, żeby zablokować mu drogę, że lada sekunda zatrzymają się przy nim, wezmą na cel i zaaresztują. Znalazł się w pułapce. Nie miał dość miejsca, żeby zawrócić. Dlaczego, do diabła, szlaban się nie podnosi?! Pociąg dawno już przejechał. Mężczyzna w volvo zaczął dodawać gazu. Podniósł dłoń, tę, w której trzymał rewolwer, i otarł brwi. W tej samej chwili przypomniał sobie zielonego citroena po drugiej stronie torów, pomyślał, że jego kierowca musiał zauważyć broń. Wreszcie szlaban uniósł się, powoli i niechętnie. Nie rozglądając się, przejechał przez tory. Volvo skręciło w prawo i zniknęło. Miał zamiar przejechać przez rzekę, mijając w drodze powrotnej rynek pełen policji i tłum ludzi zebranych pod bankiem. Gdy będą zajęci przesłuchiwaniami świadków, przejedzie obok nich w odległości niecałych trzydziestu metrów. Zaimponował sobie tym nowym planem. Problem stanowiła zakładniczka. Bez ostrzeżenia nacisnął pedał hamulca i zatrzymał

się. Zaparkował za wywrotką w pobliżu dworca autobusowego i zaciągnął ręczny hamulec.

– Zastanawiałem się – zapytał, odchrząkując – co, do cholery, robiłaś w banku tak wcześnie?

Cisza.

– Jesteś głucha, czy co? Nie słyszysz?

Zakładniczka podniosła głowę. Po raz pierwszy rabuś spojrział w migoczące zielone oczy dziewczyny. W samochodzie było cicho i robiło się coraz goręcej. Spróbował odczytać coś z wyrazu jej bladej twarzy. W oddali usłyszał wycie syreny. Zaczęło się cicho, potem narastało coraz głośniejsze i głośniejsze, aż nagle umilkło z lekkim bulgotem. Ogarnęło go dziwne uczucie – wrażenie, że wcale nie obrabował banku, że to wszystko było snem pozbawionym logiki, w którym dziwne postaci przychodziły i odchodziły, a on nie mógł zrozumieć, jakie role grają.

– W porządku – powiedział, szturchając zakładniczkę lufą broni. – Nawet głusi słyszą, kiedy poklepać ich po ramieniu.

Włączył bieg, minął most i zbliżał się do banku. Postanowił nawet nie patrzeć w tamtą stronę, ale nie mógł się powstrzymać. Ukradkiem zerknął w lewo. Nieliczny tłum zebrał się wokół wejścia. Jedna osoba górowała wzrostem nad resztą – wysoki mężczyzna z krótkimi srebrzystymi włosami.

Rozdział 5

Powinien zajmować się morderstwem w Finnemarce. Tymczasem siedział za biurkiem, wpatrując się w czysty arkusz papieru. Gdy zamknął oczy, widział przed sobą twarz bandyty, zupełnie jak na fotografii. Problem polegał na tym, jak go opisać mężczyźnie po drugiej stronie stołu.

Wiele osób siedziało na tym samym miejscu, pocąc się ze zdenerwowania i starając przypomnieć sobie wszystkie szczegóły: jakieś charakterystyczne znamię, kolor oczu, długość i kształt nosa. Był pewien, że ma dobrą pamięć i uważał się za spostrzegawczego. Mimo to, teraz zaczynał mieć wątpliwości. Był przekonany, że mężczyzna miał jasne włosy, jednak teraz przyszło mu do głowy, że to słońce mogło im nadać złoty połysk. Poza tym mężczyzna miał na sobie ciemne ubranie, co mogło sprawić, że jego włosy wydawały się jaśniejsze, niż były w rzeczywistości. Usta miał małe, tego był pewien. Wydawał się opalony, może nawet lekko poparzony. Zapamiętał jego ubranie. Był dość dobrze umięśniony, niewątpliwie w dobrej kondycji, ale nie tak wysoki jak Sejer. Jak na mężczyznę, wcale nie był wysoki.

Sejer spojrział na policyjnego rysownika – ilustratora gazetowego, który trafił do tej pracy przypadkiem i okazał się dość utalentowany, zwłaszcza jeśli chodzi o podejście psychologiczne.

– Najpierw postarasz się, żebym się odprężył – zaczął Sejer z uśmiechem. – Chcesz nawiązać nić porozumienia, prawda? Zademonstrujesz mi, że mnie słuchasz i że mi wierzysz.

Artysta posłał mu kpiarski uśmiech.

– Konrad, nie bój się, że sprawa wymyka ci się spod kontroli – odparł. – Teraz nie jesteś szefem. Jesteś tylko świadkiem.

Sejer podniósł dłoń w przepaszającym geście.

– Chciałbym – powiedział rysownik – żebyś najpierw zapomniał o twarzy tamtego mężczyzny.

Inspektor spojrział na niego z zaskoczeniem.

– Zapomnij o wszystkich szczegółach. Zamknij oczy. Spróbuj zobaczyć jego sylwetkę przed sobą i skoncentrować się na wrażeniu, jakie w tobie wywołuje. Jakie sygnały wysyła? Idzie w twoją stronę tą samą ulicą w biały dzień i z jakiegoś powodu zwracasz na niego uwagę. Dlaczego?

– Wydawał się bardzo spięty. Jakby naładowany jakąś dziwną energią.

Sejer posłuchał. Zamknął oczy i wyobraził sobie mężczyznę. Teraz twarz była tylko

jasną, zamgloną plamą w jego pamięci.

– Szedł szybkim i zdecydowanym krokiem. Postura lekko przygarbiona. Połączenie strachu i determinacji. Przerazenie, czające się tuż pod skórą. Tak się bał, że nie śmiał spojrzeć do góry ani popatrzeć na nikogo, nawet przez chwilę. Raczej nie zawodowiec. Zbyt zdesperowany.

Artysta skinął głową i zrobił notatkę u dołu kartki.

– Spróbuj opisać jego sylwetkę. Co się z nią działo, gdy szedł.

– Tułów prawie w ogóle się nie poruszał. Krótkie, urywane ruchy kończyn. Żadnego wymachiwania ramionami, żadnego kołysania biodrami ani powłóczenia nogami. Prosto przed siebie. Sztywne nogi. Sztywne barki.

– Zastanów się teraz nad proporcjami – kontynuował rysownik. – Ramiona i nogi w proporcji do torsu. Wielkość głowy. Długość szyi. Numer buta.

– Ręce i nogi normalne, raczej krótkie. Jedną dłoń trzymał w torbie, a drugą w kieszeni. Krótka, gruba szyja. Stopy niezbyt duże. Mniejsze niż moje, a ja noszę dziesiątkę. Miał na sobie luźne ubranie, ale ciało robiło wrażenie umięśnionego, nabitego.

Rysownik kiwał głową. Ołówek dotknął papieru po raz pierwszy i Sejer usłyszał skrobanie grafitu o kartkę. Był to ogólny szkic, który nadawał postaci wrażenie dynamizmu.

– A barki? Szerokie czy wąskie?

– Szerokie. Okrągłe. Jak od podnoszenia ciężarów. W niczym nie przypominają moich – dodał.

– Przecież ty jesteś bardzo szeroki w barach.

– Ale moje nie są tak wypukłe jak jego. Ja mam bardziej płaskie i kościste, sam wiesz.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Rysownik miał na imię Riste, ale przezywano go „Szkicownik”. Był niski, korpulentny i łysy. Nosił okulary o małych owalnych szklach i miał długie cienkie palce.

– Głowa?

– Duża. Okrągła. Wydatne policzki, kluskowate. Zaokrąglony podbródek. Nie był ostry ani mocno zarysowany. Żadnego dołka ani nic w tym rodzaju.

– Jak opisałbyś głowę w stosunku do reszty ciała? Wiesz, o co mi chodzi.

– Jakby wciśnięta w ramiona i wysunięta do przodu. Jak u dziecka, które stroi fochy.

– Doskonale. To ważne – powiedział rysownik. – A linia włosów?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Tak, ma. Linia włosów wiele mówi o twarzy człowieka. Przyjrzyj się swojej twarzy. Masz prawie doskonałą linię włosów. Prosta i równa, przebiegająca w poprzek czoła, z

foremnymi łukami przy skroniach. Poza tym włosy masz tak samo gęste na całej głowie. Spotyka się to dość rzadko.

– Naprawdę? – Pokręcił głową. Nie był próżny, w każdym razie już nie, a ostatnią rzeczą, na którą zwracał uwagę, była linia włosów. Przerwał na chwilę, żeby się zastanowić.

– Wygięta, nie prosta. Jakby z dwu stron zbiegała się ku środkowi czoła. Włosy miał krótko ścięte, dlatego widziałem dość wyraźnie.

Metoda dochodzenia do prawdziwych rysów twarzy małymi krokami sprawiła, że wygląd mężczyzny stał się wyraźniejszy niż kiedykolwiek. Policyjny rysownik na pewno znał się na swoim fachu. Zafascynowany Sejer gapił się na kartkę papieru i patrzył, jak stopniowo wynurza się z niej postać mężczyzny, jak odbitka w ciemni.

– Teraz włosy.

Kontynuował szkicowanie lekkimi kreskami, dodając nowe pociągnięcia u góry albo po bokach. Nie używał gumki. Dziesiątki cienkich linii budziły postać do życia.

– Gęste i kręte, prawie jak afro. Wyrastały prosto z głowy, ale były ścięte bardzo krótko. Tak jak moje.

Przygładził włosy dłonią, krótkie i sztywne jak szczotka.

– Kolor?

– Blond. Chyba lekko rozjaśniane, ale nie jestem pewien na sto procent. Wiesz, czasami włosy wyglądają, jakby były bardzo jasne, ale kiedy są mokre – ciemnieją. Wszystko zależy od światła. Nie jestem pewien. Może trochę podobne do twoich?

– Do moich? – Szkicownik podniósł głowę. – Przecież ja jestem łysy.

– Do takich, jakie miałeś kiedyś.

– Skąd wiesz, jakie miałem włosy?

Sejer zawahał się. Nie wiedział, czy uraził kolegę, czy tylko się wygłupił.

– Nie wiem – odpowiedział. – Domyślam się tylko.

– Dobrze trafiłeś. Moje włosy są, to znaczy, były jasnoblond. Jesteś bardzo spostrzegawczy.

– Z twojego szkicu coś się zaczyna wyłaniać.

– Teraz przechodzimy do oczu.

– Z tym będzie trudniej. Nie widziałem ich. Miał wzrok wbity w ziemię, a w banku stał odwrócony do mnie plecami.

– Szkoda. Na szczęście widziała je kasjerka, a ona jest następna w kolejce.

– Więcej niż szkoda. To katastrofa, że nie zatrzymałem się w banku chwilę dłużej. Mam swoje lata i powinienem poważnie traktować swoje przecucia.

- Wiesz, że nie da się zawsze wszystkiego zrobić dobrze. A nos?
- Krótki i dość szeroki. Trochę afrykański z wyglądu.
- Usta?
- Małe, wydęte.
- Brwi?
- Ciemniejsze niż włosy. Proste. Szerokie. Prawie zrosnięte na środku czoła.
- Kości policzkowe?
- Nie wystawały. Twarz miał zbyt pełną.
- Jakies znamiona na skórze?
- Zupełnie nic. Zdrowa, gładka cera. Nie miał zarostu, przynajmniej nie zauważyłem.

Nawet cienia na górnej wardze. Niedawno się golił.

- Albo ma bardzo jasny zarost. Coś charakterystycznego w ubraniu?
- Nie pamiętam. Chociaż właściwie tak, zauważyłem coś takiego.
- Co?

– Wyglądał, jakby się przebrał w nie swoje ciuchy. Na pewno zwykle się tak nie ubiera. Miałem wrażenie, że dawno wyszły z mody.

- Pewnie i tak zdążył się już przebrać. Buty?
- Brązowe, sznurowane.
- A dłonie?

– Nie widziałem ich, już ci mówiłem. Jeżeli pasują do reszty ciała, będą krótkie, grube i okrągłe.

- Ile mógł mieć lat?
- Tak między dziewiętnaście i... dwadzieścia pięć.

Musiał znów zamknąć oczy, żeby zapomnieć o rysowniku.

- Wzrost?
- Sporo niższy ode mnie.
- Wszyscy są niżsi od ciebie – Szkicownik rzucił szyderczo.
- Mniej więcej metr siedemdziesiąt.

– Waga?

– Mocno zbudowany. Powiedziałbym, że ponad osiemdziesiąt kilo. Nie pytałeś mnie o uszy – dodał Sejer.

– Jakie miał uszy?

– Małe i kształtne. Małżowiny okrągłe. Żadnych kolczyków. Sejer przechylił się w tył na krześle i uśmiechnął się z satysfakcją. – Teraz pozostało już tylko dowiedzieć się, na jaką

partię głośuje.

Rysownik zachichotał.

– A jak myślisz?

– Wątpię, czy w ogóle głośuje.

– Widziałeś zakładniczkę?

– Nie. – Stała odwrócona plecami... – Będziesz musiał zapytać kasjerkę – dodał. – Miejmy nadzieję, że poradzi sobie z tym wszystkim.

Gurvin spodziewał się, że przyjedzie główny inspektor, ale z powodu napadu na bank, który zdarzył się wczesnym rankiem, do spisania jego zeznań przysłano innego policjanta. Jacob Skarre wyglądał jak chłopak z chóru kościelnego, a wrażenie to potęgowała drobna budowa ciała, jasne kręcone włosy i delikatne rysy twarzy. Mundur leżał na nim jak ulał, zupełnie jakby uszyto go na miarę. Tymczasem Gurvin nigdy nie czuł się dobrze w stroju służbowym. Może z powodu sylwetki?

Pewność siebie młodego człowieka sprawiła, że poczuł się zakłopotany, co skłoniło go do cofnięcia się w przeszłość i przemyślenia swego życia. Tak czy inaczej robił to dość regularnie, ale wolał sam decydować, kiedy przyjdzie na to czas.

Wstrząs związany z odkryciem ciała Halldis powoli ustępował. Gurvin stał się teraz przedmiotem uwagi, jakiej nie doświadczył od dawna i najwyraźniej mu to odpowiadało. Znał ją od wielu lat. Przypomniawszy sobie jej słowa, kiedy razem z kolegami jako dzieci stali przy drzwiach, prosząc ją o coś.

„Za dużo was! Kiedy ja byłam dzieckiem, przeżywali tylko najsilniejsi smarkacze!”

– Co pan myśli? – odezwał się Gurvin ostrożnie, dostrzegając paczkę papierosów sterczącą z kieszeni koszuli Skarrego. – Zaryzykujemy złamanie zakazu?

Skarre skinął głową i wyciągnął papierosy z kieszeni.

– Znałem Halldis i Thorvalda od dziecka – zaczął Gurvin, zaciągając się papierosem. – Pozwalali nam zbierać maliny i rabarbar za szopą. Halldis wcale nie była taka stara. Dopiero siedemdziesiąt sześć lat. Dobrze się trzymała. Thorvald też, ale siedem lat temu zmarł na atak serca.

– Więc mieszkała sama? – Skarre wydmuchnął dym ku sufitowi.

– Nie mieli dzieci. Jej jedyna rodzina to młodsza siostra w Hammerfest.

– Napisał pan raport? – spytał Skarre. – Mogę zobaczyć?

Gurvin wyjął plastikową teczkę z szuflady biurka i wręczył Skarremu, który zaczął go analizować linijka po linijce.

– Pisze pan: „Nadal nie wiadomo, czy z domu coś zabrano”. Czy sprawdził pan szuflady i kredensy?

– Widzi pan – zaczął Gurvin – Halldis miała całkiem sporo sreber, ale w kredensie w salonie niczego nie brakowało. Podobnie jak biżuterii, którą trzymała w sypialni.

– A gotówka?

– Nie wiemy, czy trzymała pieniądze w domu.

– Ale znalazł pan jej torebkę?

– Wisiała na haczyku w sypialni.

– Portmonetka?

– Portmonetki nie znaleźliśmy, to prawda.

– Niektórzy złodzieje polują tylko na gotówkę – wyjaśnił Skarre. – Osoba bez kontaktów mogłaby mieć kłopoty z upłynnieniem kosztowności. Może nawet nie zamierzał jej zabijać? Pewnie go zaskoczyła. Może była na zewnątrz, a on zakradł się przez kuchnię?

– A ona nagle pojawiła się w drzwiach? Czy o to panu chodzi?

– Tak, coś w tym rodzaju. Musimy się dowiedzieć, czy zginęły jakiegokolwiek pieniądze. Czy sama sobie robiła zakupy?

– Co jakiś czas jeździła do miasta taksówką. Ale artykuły spożywcze przywoził jej do domu sklepikarz. Raz w tygodniu.

– Przywoził jej zakupy, a ona płaciła gotówką? Czy miała u niego rachunek?

– Nie wiem.

– Proszę do niego zadzwonić – polecił Skarre. – Może on wie, gdzie trzymała pieniądze, jeżeli miała do niego zaufanie.

– Jestem pewien, że mu ufała – powiedział Gurvin, sięgając po telefon. Połączył się z właścicielem sklepu i przez kilka minut mamrotał do słuchawki.

– Mówi, że trzymała portmonetkę w chlebaku. W metalowym pojemniku, który stał na blacie kuchennym. Otworzyłem go. Było w nim pół bochenka chleba i nic więcej. Mówił, że portmonetka jest czerwona w jakieś wzory. To imitacja skóry aligatora z mosiężną klamrą.

Skarre uważnie przeczytał kolejny fragment raportu.

– „W pobliżu jej gospodarstwa przypuszczalnie widziano mężczyznę nazwiskiem Johrma”. Proszę mi o nim opowiedzieć. Czy chłopiec, który go widział, jest świadkiem godnym zaufania?

– No właśnie, to dobre pytanie. – Policjant uśmiechnął się na wspomnienie Kannicka.

– Ale jeżeli mówi prawdę, rysuje się pewna możliwość. Widzi pan, Errkiego skierowano na przymusowe leczenie psychiatryczne, ale chłopak uciekł z zakładu. Dorastał tutaj, nie można

więc wykluczyć, że wrócił w nasze okolice i wędruje po lasach.

– Ale czy byłby zdolny kogoś zabić?

– Jest z nim coś nie tak.

– Proszę mi powiedzieć coś więcej. Co pan o nim wie?

– To młody chłopak, mniej więcej w pana wieku. Urodzony w Valtimo, w Finlandii. Wychowywał się z rodzicami i młodszą siostrą. Zawsze był inny. Nie znam diagnozy jego przypadku, w każdym razie od dawna jest z nim coś nie tak. Od wielu lat.

– Ale czy jest niebezpieczny?

– Nie wiemy. Krąży o nim wiele różnych historii, ale wątpię, żeby wszystkie były prawdziwe. Stał się kimś w rodzaju miejscowej legendy. Rodzice straszą nim dzieci, kiedy chcą, żeby wcześniej wracały do domu. Ja robię tak samo.

– Ale został skierowany na przymusowe leczenie. Czy to znaczy, że uznano go za niebezpiecznego?

– Moim zdaniem, największe niebezpieczeństwo stanowi sam dla siebie, bo ilekroć w okolicy dzieje się coś złego, oskarżają Errkiego. Zawsze tak było, odkąd był małym chłopcem. Nawet jeżeli bezpośrednio nie zawinił, aż się prosi, żeby wszystko zwalić na niego. Kto wie, co ma zamiar przez to osiągnąć. Poza tym, mówi do siebie.

– Jest chory psychicznie?

– Jestem pewien, że tak. Ciekawe, że Errki pokazał się w pobliżu farmy Halldis w dniu, kiedy została zamordowana. Podobne rzeczy zdarzyły się przedtem, ale nigdy nie kojarzono go ze zbrodnią. Snuje się wokół jak zły omen. Jak kruk w bajkach, który zwiastuje śmierć. Proszę mi wybaczyć, że nie jestem bardziej obiektywny – westchnął Gurvin. – Próbuję tylko opisać go w sposób, w jaki postrzegają go miejscowi.

– Od jak dawna jest chory? – Skarre strząsnął popiół z papierosa do filiżanki po kawie policjanta.

– Nie wiem dokładnie, ale wygląda na to, że od dawna. Zawsze był inny. Dziwny. Boi się ludzi. Nigdy nie miał żadnego przyjaciela. Myślę, że nawet nie chciał. Jego matka umarła, kiedy miał osiem lat, i chyba właśnie wtedy wszystko się zaczęło. Po jej śmierci ojciec zabrał Errkiego z siostrą do USA. Mieszkali w Nowym Jorku przez siedem lat. Krążą plotki, że Errki uczył się tam u magika.

– U magika? – Skarre uśmiechnął się. – Ma pan na myśli iluzjonistę?

– Nie jestem pewien. Raczej kogoś w rodzaju czarodzieja. Bo kiedy wrócili do Norwegii, poszła fama, że Errki potrafi robić różne dziwne rzeczy. Samą tylko siłą woli.

– Dobry Boże – westchnął Skarre, kręcąc głową.

– Może się pan śmiać, ale znam ludzi dużo bardziej zrównoważonych niż pan albo ja, którzy opowiedzą o nim kilka nie mniej dziwnych rzeczy. Na przykład Thorvald Horn mówił mi kiedyś, że jego pies kładł uszy po sobie i warczał, kiedy Errki przechodził w pobliżu. Na długo, zanim się pojawił, pies wyczuwał jego zapach. Prawda, że chłopak nie pachnie zbyt ładnie i zwykle jest dość zaniedbany. Przed Errkim uciekają konie. Zegary przestają chodzić. Żarówki gasną. Drzwi same się zatrząskują. Jest jak nagły podmuch wiatru, który sprawia, że leżące na ziemi liście zaczynają wirować w powietrzu. I ma takie dziwne spojrzenie. Przepraszam – Gurvin nagle przerwał. – Nie mówię o nim zbyt miłych rzeczy, ale trudno w chłopaku znaleźć coś pozytywnego. Jest brudny, odrażający i nieciekawy pod każdym względem.

– Nawet jeżeli jest zdolnym iluzjonistą albo cierpi na jakąś chorobę, to wcale nie znaczy, że jest mordercą – skontrował Skarre. – Trzeba się skontaktować ze szpitalem i porozmawiać z lekarzem prowadzącym. Jestem pewny, że może nam dużo powiedzieć. Będziemy też musieli znaleźć Errkiego, żeby się przekonać, co robił u Halldis. Czy mamy jakieś dobre odciski z trzonka motyki?

– Dwa bardzo słabe, oprócz odcisków samej Halldis. A to jest dość dziwne. Motyka miała trzonek z włókna szklanego i odciski kobiety wyszły bardzo wyraźnie. Napastnik nie mógł wytrzeć motyki, nie usuwając przy okazji jej odcisków. Sporo odcisków znaleźliśmy w domu, kilka śladów stóp we krwi na schodach, kilka w sieni i w kuchni. Wyglądają na buty sportowe, takie do biegania. Wzór na podeszwie jest dość wyraźny, a to powinno nam wiele powiedzieć. Technicy kryminalistyczni zrobią rysunki. Morderstwo miało miejsce w sieni. Halldis stała odwrócona plecami do schodów. Morderca trafił na nią, kiedy wychodził z domu. Może trzymała motykę, a on ją wyrwał? Powinien był w takim razie zostawić kilka przyzwoitych odcisków. Nie mam pojęcia, dlaczego musiał zabić. Jeżeli znalazł pieniądze, to mógł je po prostu zabrać i uciec. Nigdy by go nie dogoniła. Ale znam Halldis. Była uparta. Założę się, że stanęła w drzwiach i nie ruszyła się. Mogę to sobie wyobrazić... – ściszył głos.

– Wzburzona Halldis, pełna słusznego oburzenia.

– Zabił ją, a to może oznaczać, że go znała, mogłaby go zatem rozpoznać.

– Właśnie – przyznał zamyślony Gurvin. – Z pewnością znała Errkiego. Dopiero co uciekł ze szpitala, przypuszczalnie nie miał więc żadnych pieniędzy.

Skarre skinął głową.

– Ale u niej dużo nie znalazł – mówił dalej posterunkowy. – Wątpię, żeby trzymała znaczne sumy w domu. Przecież mieszkała samotnie.

– Tak, ale dość daleko od wszystkich. Na pewno nie przejmowała się groźbą rabunku.

Czy kiedykolwiek wcześniej ktoś ją obrabował?

– Nie. Poza tym była twarda. Nie zdziwiłbym się, gdyby rzuciła się na niego z motyką.

– W takim razie mógł zostać ranny.

– Widział pan zdjęcia ciała?

– Tak, rzuciłem na nie okiem.

– Niezbyt ładne, co?

Skarremu zebrało się na mdłości, gdy przypomniał sobie przedstawione mu rano dowody.

– Gdzie mieszka ojciec Errkiego Johrmy?

– Wrócił do Stanów.

– A siostra?

– Siostra też.

– Czy utrzymują z nim jakiegokolwiek kontakty?

– Nie. Nie dlatego, że nie chcą, ale dlatego, że Errki nie chce ich widzieć.

– Wie pan dlaczego?

– Uważa, że nie dorastają mu do pięt.

– Czy tak jest rzeczywiście?

– Uważa się za lepszego od wszystkich. Żyje w swoim świecie wedle własnych zasad.

W jego wszechświecie to on jest władcą. Nielatwo to wyjaśnić. Trzeba go poznać, by to zrozumieć.

– Ale skoro jest chory, na pewno od czasu do czasu musi czuć przygnębienie.

– Przygnębienie? – Gurvin wypowiedział to słowo, jakby taka myśl nigdy nie przyszła mu do głowy. – Jeżeli tak, dobrze to ukrywa.

Skarre skinął głową ku drodze.

– Rozesłaliśmy za nim list gończy. Pojedzie pan ze mną do zagrody? Chciałbym się przyjrzeć domowi Halldis.

Gurvin zabrał marynarkę z oparcia krzesła.

– Weźmy subaru – zaproponował cicho. – Droga do gospodarstwa Halldis jest stroma jak diabli.

Rozdział 6

Lasy otaczające zagrodę wydawały się gęstsze niż zwykle, jakby drzewa zbiły się ciasno z szacunku dla martwej kobiety, która tak bardzo o wszystko się troszczyła. Dbała o ogród, nigdy nie zdarzyło się jej też zostawić w nieładzie narzędzi, taczek ani ubrania na ławce przy rozgrzanym słońcem murze – miejsce to wydawało się teraz zupełnie opuszczone. Nie oddychało. Kwiaty pod oknem kuchennym już zwiędły. Wystarczył niecały jeden dzień, by ich życiu zagroziły palące promienie słońca. Na umytych schodach została ciemna plama.

Skarre odwrócił się, chcąc przyjrzeć się lasom.

– Co tu robił ten chłopak?

– Strzelał z łuku do wron.

– Miał pozwolenie?

– A skąd. Robi, co chce. Mieszka w Guttebakken.

Powiedział to takim tonem, jakby adres chłopaka miał wszystko wyjaśnić. Skarre zrozumiał aluzję.

– I na pewno wie, jak wygląda Errki?

– Tak, wie. Zresztą jego dość łatwo rozpoznać. Współczuję chłopakowi. Najpierw znajduje martwą Halldis, a potem widzi Errkiego w lesie. Kiedy wpadł do mnie do biura, o mało co nie wypuł z siebie płuc. Na pewno bał się, że stanie się następną ofiarą.

– Errki wiedział, że chłopiec go zauważył?

– Tak mi powiedział. Tak.

– Ale nie próbował go zatrzymać?

– Najwyraźniej nie. Zniknął w lesie.

– Wejdźmy do środka.

Gurvin prowadził. Otworzył zamek w drzwiach wejściowych i skierował się do małego przedpokoju i do kuchni. Dla Jacoba Skarrego Halldis Horn zaczęła istnieć naprawdę, gdy stanął na linoleum i spojrzał na starannie wysprzątaną kuchnię. Lśniące czystością miedziane garnki. Staromodny zlew z zieloną gumą wokół brzegu. Stara lodówka firmy Evalet. Makulatura złożona na parapecie okiennym. Skarre podniósł wieko chlebaka.

– Gdzie pan znalazł odciski palców?

– Na klamce i na futrynie drzwi do kuchni. Na chlebaku są tylko odciski Halldis. Jeżeli te, które mamy, należą do zabójcy, to dlaczego na motyce były tak niewyraźne? I dlaczego nie było ich na pojemniku? Jak mógł wyjąć portmonetkę bez pozostawienia

jakichkolwiek śladów, skoro zostawił je wszędzie indziej w domu? Nic z tego nie rozumiem.

Skarre przymrużył oczy.

– Ale pewnie od czasu do czasu zaglądali tutaj jacyś inni ludzie?

– Prawie nigdy, ale znaleźliśmy list – odparł Gurvin. – Nadany w tym tygodniu, w Oslo. „Niedługo przyjeżdżam. Pozdrowienia, Kristoffer”.

– Jakiś krewny?

– Nie wiemy, ale myślę, że zabił ją ktoś, kogo znała. Statystyka jest nieubłagana. Z pewnością spanikował.

– Ludzie bywają dziwni.

Skarre wszedł do salonu. Stał tam bujany fotel nakryty kudłatym kocem. Podniósł go i powąchał uważnie, wyczuwając woń mydła i kamfory. Coś połaskotało go w nos. Wyciągnął to dwoma palcami. Srebrny włos długości prawie pół metra.

– Miała długie włosy? – zapytał ze zdziwieniem.

Gurvin przytaknął.

– Była piękna w młodości. Jako dzieci nie wiedzieliśmy o tym, myśleliśmy tylko, że jest gruba i sympatyczna. Jej zdjęcie ślubne wisi tam na ścianie.

Skarre podszedł, żeby lepiej zobaczyć. Zdjęcie Halldis Horn jako panny młodej zapierało dech w piersiach.

– Suknię miała ze spadochronowego jedwabiu – wyjaśnił Gurvin. – A welon to stara angielska firanka. Opowiadała nam o tym. Słuchaliśmy grzecznie, jak to dzieci, bo musieliśmy się jej jakoś odwdzięczyć za maliny i rabarbar.

Odwrócił się nagle i wrócił do kuchni.

– Gdzie jest sypialnia? – zawołał Skarre.

– Za zieloną kotarą.

Rozsunął ją na boki i otworzył drzwi. Pokój był mały i wąski. Z okna sypialni Skarre dojrzał lasy i fragment szopy. Łoże z kolumnami było schludnie zasłane po stronie Thorvalda. Nad wezgłowiem, na ścianie wisiał oprawiony w ramkę wiersz.

Ujrzałeś go wśród sokołów.

Przybywa z południa, cały w płomieniach.

Robi wszystko, niczego nie pozostawia na jutro.

Nawet z komara, o którym za chwilę zapomnisz,

Każę ci się rozliczyć.

Poniżej ktoś, prawdopodobnie Halldis, dopisał niebieskim atramentem: „Co za okropność!”.

Skarre uśmiechnął się. Zauważył, że Gurvin wyszedł na zewnątrz i ruszył za nim. Zaczęli przeczesywać trawę, spodziewając się znaleźć jakiś ślad – coś, co inni mogli przeoczyć. Niedopałek papierosa, zapalną, cokolwiek. Obejrzał dom z zewnątrz. Tuż poniżej kuchennego okna znajdowała się zreperowana, ale jeszcze widoczna głęboka rysa w drewnie.

– To ślad po traktorze Thorvalda – wyjaśnił Gurvin. – Halldis stała w kuchni i właśnie miała go zawołać na obiad. Pomyślała, że jedzie za szybko, zupełnie jakby na starość stracił rozagę i chciał się popisać. Traktor jechał pod górę ze strasznym rykiem i po chwili wpadł prosto na ścianę. Halldis stała przy oknie i dobrze widziała kabinę, a w niej ciało Thorvalda leżące na kierownicy. Nie żył już, kiedy traktor uderzył w ścianę.

Skarre znów spojrział w górę ku lasom.

– Gdzie, pana zdaniem, powinniśmy szukać Errkiego?

Gurvin podniósł wzrok ku słońcu, mrużąc oczy.

– Na pewno gdzieś się tu włóczy po okolicy i śpi pod gołym niebem. Nie wrócił do siebie, przynajmniej na razie. Może więc być jeszcze w lesie.

– A dalej to już zupełnie odludzie?

– W zasadzie tak. Całe pięćset dwadzieścia kilometrów kwadratowych. Po drugiej stronie rzeki jest kilka chat i parę starych fińskich zagród. Jacyś ludzie mają tam domki letniskowe. Myśliwi często korzystają z nich w jesieni, zbieracze jagód też czasem tam wpadają, żeby odpocząć. Errki jest dobrym piechurzem. Dlatego uważam, że nie ma sensu chodzić po lesie i szukać go po omacku. Równie dobrze może się ukrywać w piwnicy szpitala. Może ktoś go podwiózł i jest już w drodze do Szwecji? Albo do domu, do Finlandii? Chłopak jest zawsze w ruchu.

– Jeżeli jest tak dziwny, jak pan mówi, powinien się dać łatwo zauważyć.

– Nie powiedziałbym. Umie się skradać. Pojawia się nagle, chociaż nikt nie słyszał, jak nadchodzi.

– Mamy doskonałe psy tropiące – powiedział Skarre z optymizmem. – Czy bierze jakieś leki?

– Niech pan zapyta w szpitalu. Po co panu ta wiedza?

Skarre wzruszył ramionami.

– Tylko się zastanawiam, co by się stało, gdyby nagle przestał je brać.

– Pewnie jego wewnętrzne głosy przejęłyby nad nim kontrolę.

– Do każdego z nas mówią takie lub inne wewnętrzne głosy – odparł z uśmiechem

Skarre.

– Pewnie – zgodził się Gurvin. – Ale nie każdy pozwala, żeby nim dyrygowały.

Gurvin manewrował samochodem wśród drzew. Za nimi wirowała w powietrzu chmura kurzu.

– Ilekcó Errki gdzieś się pojawia, dzieje się coś okropnego – powiedział pełnym napięcia głosem. – Kiedy miał osiem lat, umarła mu matka, mówiłem to panu?

– Jak to się stało?

– Spadła ze schodów. Errki wziął całą winę na siebie.

– Wziął winę na siebie?

– Straszyl inne dzieci, mówiąc, że ją zamordował. Dlatego trzymały się z dala od niego. Myślę, że właśnie o to mu chodziło. Kilka lat później na górze przy kościele znaleziono ciało starego rolnika. Spadł z drabiny, ale w pobliżu ktoś widział uciekającego Errkiego. Może teraz pan zrozumie, że nawet jeżeli nie miał on nic wspólnego ze śmiercią Halldis, ludzie tutaj i tak wiedzą swoje. I gdyby mnie pan zapytał, najprawdopodobniej byłbym tego samego zdania. Proszę się rozejrzeć. Prawdziwa głusza. Ludzie się tu nie zapuszczają, jeżeli nie wiedzą, dokąd iść. Errki zna okolicę jak własną kieszeń, bo tutaj się wychowywał.

– Ale faktem jest – mówił Skarre powoli, starając się uniknąć zasadniczego tonu – że powszechne opinie o skłonności do agresji u osób cierpiących na choroby umysłowe są znacznie przesadzone. Wszystko przez uprzedzenia albo strach i niewiedzę. Musi pan zachować bezstronność, dlatego że znalazł się pan w samym środku wydarzeń, jak i dlatego, że znał pan jego i Halldis. Kiedy gazety się o tym dowiedzą, zrobią z chłopaka potwora.

Gurvin spojrzał na niego.

– Właśnie w tym największy kłopot. Zawsze jest sam i unika ludzi. Prawie nigdy nie odzywa się do nikogo, więc tak naprawdę nie wiemy, kim jest. Ani czym jest.

– Jest chory – powiedział Skarre.

– Tak mówią. Nic z tego nie rozumiem. – Pokręcił głową. – Nie rozumiem, jak głosy mogą wdrzeć się człowiekowi do umysłu i kazać mu robić rzeczy, których potem nie pamięta.

– Nie wiemy, co faktycznie zrobił.

– Mamy odciski palców i kilka śladów stóp. Może sobie być tak szalony, jak tylko chce, a po chwili o wszystkim zapomnieć, ale nie wyprze się dowodów. Tym razem mamy wyniki ekspertyzy sądowej.

– Wygląda na to, że ma pan ochotę go przyskrzynić.

Głos Skarrego brzmiał niewinnie, Gurvin nie odczytał więc jego intencji.

– Byłoby dobrze. Lepiej dla nas wszystkich, gdyby go zamknęli na dobre, z paragrafu piątego. Teraz pewnie wędruje po okolicy i gada do siebie. Boże dopomóż, ale dopóki on jest na wolności, każę dzieciom wcześniej wracać do domu.

– Errki może bać się bardziej niż pana dzieci – zaproponował Skarre.

Gurvin wyduł wargi i przyspieszył.

– Nie jest pan stąd. Nie zna go pan.

– Nie – przyznał z zalem Skarre. – Ale muszę przyznać, że wzbudził moją ciekawość.

– To wspomniał, że nic nie zdoła zachwiać pana wiarą w ludzi – mówił dalej Gurvin. – Tylko proszę nie zapominać, że Halldis nie żyje. Ktoś ją zabił. Ktoś przyszedł tutaj, wziął motykę i wbił jej prosto w oko. Czy to był Errki, czy ktoś inny, drzę na samą myśl, że morderca ma prawo do obrony za czyn, którego w żaden sposób nie da się usprawiedliwić.

– Nie chodzi o obronę czynu, tylko osoby, która go popełniła – poprawił go Skarre. – I nie wiemy, dlaczego zginęła. Mogę zapalić w samochodzie?

Gurvin skinął głową i po omacku poszukał własnych papierosów.

– Jaki jest pana szef? Proszę mi o nim opowiedzieć.

Skarre uśmiechnął się. Tak zwykle reagowali ludzie, którzy właśnie poznali Konrada Sejera.

– Poważny i siwy. Trochę despota. Skryty. Bystry. Sprytny jak lis. Dociekliwy, cierpliwy, godny zaufania i uparty. Ma słabość do małych dzieci i starszych pań.

– I nikogo pomiędzy?

– Jest wdowcem. – Skarre wyjrzał przez okno. – Wie, że przysięgał wierność aż do śmierci, ale myśli, że w przysiędze chodziło o jego własną śmierć.

Sejer wpatrywał się uważnie w szary ekran.

Wnętrze banku. Kasy. Okna wychodzące na rynek. Do środka wpadały pod kątem promienie słońca, co sprawiało, że obraz był rozmyty. Obejrzał wszystko, od początku do końca, ale nagranie było niewyraźne. Trudno było zidentyfikować kogokolwiek.

Samochód dawno zniknął. Zablokowali wszystkie drogi ucieczki, ale małego białego auta nie odnaleziono. Bandyta pewnie już go porzucił, a może przejechał przez rzekę i zawrócił wzdłuż południowego brzegu, ukrywając się w centrum miasta. Sejer podejrzewał, że zakładniczka została wypuszczona, ale nie miał na to żadnych dowodów. Odchylił się wygodnie w fotelu i rozprostował swoje długie nogi. Rozluźnił krawat i podwinął rękawy. Zauważył, że ma pomiętą koszulę. Kasjerkę, dyrektora banku i kilkoro świadków już przesłuchano. Robił notatki na temat tego, co widział, przetrząsnął zakamarki pamięci, by

przypomnieć sobie wszystkie szczegóły. Policyjny rysownik słuchał, kiwał głową i zrobił doskonały szkic. Musiał przyznać, że istnieje duże podobieństwo – przynajmniej na początku, bo później zaczęły nachodzić go wątpliwości. Rozmyślania przerwało mu pukanie do drzwi. Do gabinetu inspektora weszli Skarre i Gurvin.

Posterunkowy przyglądał się Sejerowi z zainteresowaniem.

– Słyszę, że ma pan problem z zakładniczką.

Zdjął okulary przeciwsłoneczne i usiadł. Teraz role się odwróciły. Posterunkowy znalazł się wśród dużych chłopców, którzy mieli do dyspozycji najróżniejsze zabawki.

– Siedzę tutaj i gapię się na to nieszczęsne wideo – zaczął Sejer ponuro. – Nagranie jest bardzo słabe.

– Możemy rzucić okiem? – poprosił Skarre skwapliwie.

– Oczywiście. Możesz nawet założyć okulary.

Znów włączył magnetowid, czekając, jak zareagują. Na ekranie widać było kasy. W drzwiach od strony placu pojawiła się młoda dziewczyna. Obejrzała się trochę niepewnie i podeszła do półki z broszurami. Nie więcej niż piętnaście sekund później wszedł bandyta. Stał jak wryty na widok klientki, która przybyła przed nim. Pospieszenie sięgnął po formularz i zaczął go wypełniać. Wtedy drzwi otworzyły się po raz trzeci i rozległ się okrzyk.

– Co, do licha! – wykrzyknął Skarre. – Przecież to ty, Konrad!

Obrzucił szefa zdumionym spojrzeniem. Sejer postanowił się nie przejmować i zaczął się śmiać. Gurvin przypatrywał się obu ze zdziwieniem.

– Masz rację, to ja. Szedłem ulicą do pracy i nagle doznałem przecucia, że facet, którego minąłem, jest bandytą i szykuje napad na bank. Odwróciłem się, żeby sprawdzić, dokąd idzie, zobaczyłem, jak wchodzi do banku i postanowiłem pójść za nim.

– I co? Co się stało?

– Jak widzicie na nagraniu, zajrzałem do środka, zauważyłem młodą dziewczynę, upewniłem się, że wszystko jest w najlepszym porządku, i wyszedłem.

Spojrzał na policjantów i wymownie wzruszył ramionami.

– Po prostu wyszedłem.

Skarre wybuchnął śmiechem. Gurwinowi zrobiło się żal, że nie ma takich kolegów.

– Kiedy tylko wyszedłem, bandyta zaatakował. Popatrzcie teraz.

Przestępca zrobił kilka kroków, a potem wziął zakładniczkę. Chwilę później strzelił. Gurvin westchnął, mrugnął kilka razy i gapił się z niedowierzaniem.

– Musimy znaleźć tę dziewczynę – kontynuował Sejer. – Jeżeli nie wydostaniemy jej z tego w jednym kawałku, ryzykujemy, że branie zakładników wejdzie tu w modę. A nic

gorszego nie może nam się przytrafić. Nagranie jest tak marnej jakości, że nie możemy zidentyfikować dziewczyny, nawet jeżeli ktoś dzisiaj zgłosi zaginięcie. Mimo to... przewinął taśmę i odtworzył ponownie. – Coś tu nie gra.

– Co nie gra? – spytał Skarre.

– Chodzi o to, jak dziewczyna reaguje. A raczej, o jej zupełny brak reakcji. Nie krzyczy, nie wymachuje rękami. Zupełnie jakby była w transie. Albo się tego spodziewała. Chociaż może to wszystko zmyłka.

Skarre popatrzył na niego z zaskoczeniem.

– Przypuśćmy, że działali razem, a wszystko było z góry ukartowane. I że jest jego dziewczyną.

– Wątpię, by była jego dziewczyną – wtrącił Gurvin z oczami wlepionymi w migoczący ekran. – Ten zakładnik to mężczyzna. I nazywa się Errki Johrma.

Nagle zrozumiał, co się stało, i doznał potężnego wstrząsu. Jako zakładnika wziął sobie szaleńca!

Jechał tak szybko, jak tylko mógł, nie zwracając uwagi na to, że wszyscy mogą go zobaczyć. Nie spuszczał czujnego wzroku z lusterka wstecznego. Serce nadal bilo mu gwałtownie, mięśnie miał napięte i za często brał oddech. Kręciło mu się w głowie. Groźnie spojrzął na siedzącego obok mężczyznę.

– Pytam cię raz jeszcze: co robiłeś w banku tak wcześnie rano?

Errki usłyszał werble. Werble, które zupełnie nie trzymały rytmu. Nie odpowiedział, tylko otwierał i zaciskał pięści, wpatrzony w podłogę samochodu, jakby czegoś szukał. Słowa utonęły w łoskocie werbli. Nie ruszaj się, nie mów nic. Zamknął oczy i kołysał się tam i z powrotem na siedzeniu.

– Pytałem, co ty, do cholery, robiłeś w banku tak wcześnie?!

Tym razem Errki usłyszał rozgniewany głos. Mężczyzna był przestraszony. Zachował tę informację w umyśle i zaczął cicho formułować odpowiedź. Nestor słuchał jego myśli, musiał zaaprobować słowa, zanim pozwoli je wypuścić. Dlatego tak długo to trwało. Nestor był drobiazgowy. Nestor był...

– Czy ty jesteś głuchy, człowieku?

„Czy jestem głuchy?“, pomyślał Errki. Padło nowe pytanie, które wymagało nowej odpowiedzi. Odsunął pierwsze i wziął się do pracy nad drugim. Nestor nadal słuchał. Płaszcz milczał. „Nie – pomyślał. – Słyszę doskonale. Słyszę jego tętno, bo ma zbyt wysokie ciśnienie krwi i zużywa ogromną ilość energii na coś tak prostego, jak próba nawiązania

kontakty. Ale czy naprawdę chce odpowiedzi, która nie została wprawdzie właściwie przemyślana? Czy brak pośpiechu z udzieleniem odpowiedzi nie jest objawem szacunku? Z drugiej strony – czy ktoś taki jak on zasługuje na szacunek? Na jakikolwiek szacunek?"

Obrabowanie młodej kasjerki nie było żadnym bohaterskim wyczynem, przynajmniej nie dla Errkiego. Miał przecież broń. Ale facet był wyraźnie podniecony swoimi wyczynami. Świadczyły o tym wyduńczone policzki. Teraz musiał jakoś rozładować napięcie.

– Odpowiedz mi wreszcie? – Jego głos, całkiem przyjemny tenor, zupełnie zniekształciły werble, które mieszały słowa i nadawały im ostre brzmienie.

Szkoda, pomyślał Errki. Ludzie bardziej zwracają uwagę na inne rzeczy niż ich własny głos. Na mięśnie. Na zarozumiałość. Na markowe dzinsy. Pożalowania godne drobiazgi. Errki odkrył, że może doprowadzić dorosłego człowieka do szaleństwa, nawet bez specjalnych starań, samym milczeniem. Pytającemu trudno było pogodzić się z tym, że nie dostał odpowiedzi. Nie dowiedział się, kim jest Errki. Ani czym jest. Errki nadal nie odzywał się ani słowem.

Bandyta oddychał ciężko. Ze spoconych włosów kapwały krople potu. Spojrzał w lusterko wsteczne i zwolnił, a potem zjechał z drogi i zatrzymał się, nie gasząc silnika. Rzucił szybkie spojrzenie na Errkiego i warknął przez zaciśnięte zęby:

– Muszę zdjąć te ciuchy. Tylko nie próbuj uciekać!

Errki nie miał takiego zamiaru. Rewolwer nie dawał mu spokoju. Czuł, że przebija mu ciało na wylot jak promień światła. Teraz bandyta odłożył broń na tablicę rozdzielczą, nad kierownicą. Z trudem ściągnął sweter, a potem sztruksy. Nadal był w rękawiczkach. Nie szło mu to łatwo, bo w samochodzie było bardzo ciasno. Stękał, kłął i szarpał za spodnie, ale w końcu mu się udało. Był jeszcze bardziej spocony niż wcześniej. Teraz ma na sobie coś, co można uznać za jakąś formę przebrania, pomyślał Errki. Nestor zachichotał cicho z piwnicy. Bandyta został w kolorowych bermudach we wzory przedstawiające owoce i palmy, i w niebieskiej koszulce bez rękawów z Kaczorem Donaldem na środku. Pochylił się nad Errkim i otworzył schowek pod tablicą rozdzielczą. Wyjął i założył okulary przeciwsłoneczne. Jego strój był doskonały. Errki wpatrywał się w niego z zainteresowaniem. W kolorowych szortach umięśniony mężczyzna wyglądał dziwnie. Z trudem panował nad swoim głosem.

– Nic z tego nie rozumiesz, więc trzymaj głowę na kłódkę! Właśnie tak, na kłódkę, chyba że ktoś się do ciebie odezwie!

Errki nie odpowiedział ani słowem. Mimo skórzanej kurtki i czarnych spodni, nie pocił się. Dalej był skupiony na niewykonywaniu żadnych ruchów. Jeżeli pozostanie bez ruchu, stanie się prawie niewidzialny.

– Cholera, ale od ciebie capi! – Bandyta głośno pociągnął nosem, żeby okazać odrazę i otworzył szerzej okno.

Errki zastanawiał się, czy facet czeka na odpowiedź, czy też po prostu gada głupstwa. Chciał być bezpieczny, więc się nie odzywał. Poza tym Nestor cicho nucił piękną pieśń i lepiej było wykorzystać jego dobry nastrój. Errki nie zastanawiał się specjalnie nad tym, dokąd się wybierają ani co może zdarzyć się później. Ze wszystkich sił starał się zamknąć i odciąć od tego, co wokół niego. Od tego mężczyzny. Od tej chwili. Od tej broni. Ale nie mógł powstrzymać dłoni. Nadal otwierały się i zamykały, coraz szybciej i szybciej.

– Nie możesz przestać wyprawiać tego ze swoimi rękami? – mówił bandyta, mając szeroko otwarte oczy. – Dostaję gęziej skórki. Zaraz zwariuję!

Errki zaczął się kołysać. Nie mógł stać się niewidzialny w samochodzie, gdy na fotelu obok szalała burza. Próbował odwrócić się od bandyty. Wyglądał przez okno. Od werbli bolały go uszy. Zamachał dłonią, żeby je uciszyć.

– Pewnie nie interesujesz się pieniędzmi – powiedział bandyta, teraz trochę spokojniejszy. – Może nie wiesz, do czego są potrzebne?

Errki słuchał. Mężczyzna zniżył głos. Nagle stał się nadzwyczaj czujny: pytanie zostało zadane z niekłamaną ciekawością. *Interesuję się pieniędzmi? No cóż, tak, do pewnego stopnia.* Ale miał już kilka koron w kieszeni, odpowiedź brzmiała więc i tak, i nie. Czy tak powinien odpowiedzieć?

– Wyglądasz, jakbyś uciekł z jakiegoś zakładu. To niebezpieczne. Wielu ludzi próbuje uciekać, ale wracają, z podkulonym ogonem, szurając nogami. Ciekawe, jak jest z tobą? Jesteś jednym z nich?

Jesteś jednym z nich? Rozbrajające. Pytanie ledwie maskowało dojmujące pragnienie dowiedzenia się, kim jest Errki. A on znów zamknął oczy. Miasto powoli znikło za ich plecami. Złe zamiary czy absolutnie żadne? Zorientował się, że nie może go skojarzyć z niczym. „Groszek, wołowina i wieprzowina – pomyślał – krew, pot i łzy”. Zaniepokoił się.

Droga zaczęła piąć się pod górę. Przed nimi, wysoko na wzgórzu po lewej stronie, znajdował się punkt widokowy. Errki już wiedział, gdzie jest. Jechali jedną z dróg, którymi wędrował od lat. Wjechali do tunelu i samochód pograżył się w głębokich ciemnościach. Kierowcę natychmiast ogarnęła nerwowość, jakby bał się ataku. Kiedy zorientował się, jak jest ciemno, zerwał okulary przeciwsłoneczne i chwycił broń. Po chwili znaleźli się po drugiej stronie. Errki zamrugał oczami. Teraz tylko niecały kilometr dzielił ich od punktu poboru opłat. Mężczyzna będzie musiał albo zatrzymać się i zapłacić, albo przełamać barierę, której funkcję pełniła drewniana deska pomalowana w biało-czerwone pasy. Najwyraźniej pomyślał

o tym samym. Zaczął hamować.

– Tylko nie próbuj żadnych sztuczek! – warknął.

Nic podobnego nie przyszło Errkiemu na myśl. Starał się tylko pozostać bez ruchu i niewidzialny, ale jego ciało żyło własnym życiem i odmawiało posłuszeństwa.

Kierowca zatrzymał samochód. Podjął decyzję. Skręcił w lewo i podjechał na punkt widokowy. Errki nie był pewien, co mężczyzna zamierza zrobić. Na drodze dojazdowej nie było ruchu. O tak wczesnej porze prawdopodobnie na parkingu też będzie pusto. Bandyta chwycił rewolwer i wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Spod kół samochodu, z wysiłkiem pokonującego lesistą pochyłość, wylatywały z impetem kurz i piasek. Autostrada wiała się teraz daleko w dole, a jadące nią samochody przypominały jaskrawo malowane zabawki. Pokonał jeden ostatni, ciasny zakręt i skierował samochód ku barierze. Z tego miejsca rozciągał się dobry widok na punkt poboru opłat. W tej samej chwili obaj zauważyli dwa samochody policyjne zaparkowane na poboczu po prawej stronie. Dato się słyszeć gwałtowny wdech, a potem syk, gdy bandyta wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. Włączył wsteczny i oddalił się od balustrady. Znow się zatrzymał i zaczął walić bronią w kierownicę. Errki słyszał chaos w głowie mężczyzny. Lada chwila eksploduje, pot praktycznie tryskał mu z czoła, a jego serce pracowało ciężko, na granicy wydolności. Lekkie draśnięcie w tętnicę szyjną i krew wytryśnie czerwonym łukiem, aż do autostrady.

– W porządku, kolego. Co proponujesz? – odezwał się bandyta.

Kolega? Co za żalosna próba nawiązania kontaktu. Biedak gonił resztkami sił, co było prawie nie do zniesienia. Errki chciał uciec. Odwrócił się, żeby wyrzeć przez okno. Zerknął na lasy, na coś, co wyglądało jak ścieżka biegnąca wśród drzew. Szybki i prawie niedostrzegalny ruch nie umknął jednak uwadze bandyty. Spojrzał w tę samą stronę, a jego mózg znow zaczął działać. Włączył bieg, zawrócił i znalazł się po przeciwnej stronie parkingu. Z początku droga była tak szeroka, że wjechał prawie dwadzieścia metrów w głąb, zanim zmieniła się w wydeptaną ścieżkę. Gdy się zatrzymał, samochód, zasłonięty gęstymi liśćmi, stał się niewidoczny z punktu obserwacyjnego. Odwrócił się i porwał torbę z pieniędzmi z tylnego siedzenia.

– Wsiadamy i idziemy.

Errki nie ruszał się. Bandyta otworzył drzwi i okrążył samochód, wymachując bronią.

– Idziesz pierwszy. To dobra, sucha ścieżka. Możemy tu poczekać, aż się ściemni. Blokada drogi nie będzie trwała wiecznie, mają za mało ludzi. Idziemy! Wsiadaj! Pospiesz się!

Nie ruszaj się, nie mów nic. W oddali słyszał, że Płaszcz się obudził i zaczynał

łopotać, gdy Nestor informował go o tym, co się stało. Ich śmiech odbijał się echem w jego wnętrzu, sprawiając, że całe ciało Errkiego zaczęło dygotać. Położył dłoń na klatce piersiowej, by złagodzić napięcie.

– Co się z tobą dzieje? Nie masz po co udawać, że jesteś chory, tak łatwo mnie nie nabierzesz. A teraz, do cholery, wyłaż wreszcie!

Errki wygramolił się z samochodu. Bandyta podszedł do bagażnika, otworzył go i zajrzał do środka. Przez jedną przerażającą chwilę Errki pomyślał, że zostanie zamknięty w ciasnym bagażniku, bez możliwości poruszania się ani wyjrzenia na zewnątrz. Jednak bandyta poszperał w nim i wyciągnął jakąś plastikową paczkę. Otworzył ją i wyjął brezentowy pokrowiec, spoglądając znacząco na zielone korony drzew. Brezent był w tym samym kolorze. Potem przeniósł wzrok na Errkiego.

– Nakryj samochód tą płachtą. Musisz ją przymocować haczykami do podwozia. W ten sposób nikt go nie zauważy. A im dłużej go nie znajdują, tym lepiej dla nas.

Bandyta rzucił mu brezent do ręki. Errki stał bez ruchu, trzymając zielony materiał. Był zrobiony z nylonu, cienkiego i śliskiego, dlatego trudno go było utrzymać. Pokrowiec wyśliznął mu się z rąk i spadł na ziemię.

– Podnieś to. Najpierw rozłóż, a potem narzuć na samochód.

Errki położył zielony materiał na ziemi i zaczął go rozkładać. W każdym rogu znajdowało się małe strzemiączko z metalowym haczykiem. Uniósł brezent z jednej strony i spróbował położyć na masce samochodu. Natychmiast ześliznął się na ziemię. Nigdy nie trzymał w dłoniach czegoś tak obrzydliwego jak ta śliska zielona tkanina. Była ohydna.

– Psiakrew! Człowieku, jesteś zupełnie do niczego!

Errki spróbował znowu, czując, jak bandyta szturcha go w bok lufą rewolweru. W końcu udało mu się przykryć dach samochodu, ale w chwili, gdy zajął się bokami, wszystko znów się ześliznęło. Bandyta pocił się i wzdychał, widząc jego niewiarygodną nieporadność. Wetknął broń za pas spodni, wyrwał brezent z rąk Errkiego i w kilka sekund zarzucił na samochód. Potem znów wyciągnął broń.

– Lepiej odwieziemy cię z powrotem do zakładu, i to szybko. Czy ty w ogóle potrafisz się sam ubrać? A może nosisz ciągle to samo ubranie? Na to wygląda. Chodź, zrobimy sobie małą wycieczkę.

Wreszcie Errkiemu pozwolono chodzić. A mógł to robić godzinami. Kołysząc biodrami, wpadł w kojący rytm, gdy wspinał się na porośnięty lasem stok. Za nim szedł bandyta z rewolwerem w dłoni i z torbą na ramieniu. Ścieżka zwązła się i wkrótce las zamknął nad nimi swój liściasty baldachim. Niewiele światła przenikało przez korony drzew.

Bandyta uspokoił się. Z dala od wszystkich poczuł się bezpieczniej. Nikt ich tutaj nie zobaczy. Powinien był wcześniej o tym pomyśleć. Policjantom nie przyjdzie do głowy przeszukiwanie lasów, skontrolują tylko drogi i samochody.

Poza tym dotrzymał słowa. Miał pieniądze.

Errki parł do przodu, a bandyta, ciężko dysząc, podążał za nim. Było gorąco, a jego torba nie była lekka. Miał w niej podręczne radio, butelkę whisky, którą wypije dla uczczenia udanej akcji, pudełko z amunicją i pieniądze.

– Zwolnij, przecież nikt nas nie goni.

Lecz Errki równym rytmem parł do przodu. Słyszał, że mężczyzna z trudem za nim nadaża. Dyszał ciężko po pokonaniu ledwie kilkuset metrów. Ścieżka była stroma, a szlak stawał się coraz trudniejszy.

– Hej, ty! Ja tu dowodzę!

Trzy werble zagrały ostry tusz. Errki usłyszał, jak Nestor odkrztusił grudkę śluzu. W ten sposób skomentował oświadczenie bandyty – maszerował, nie zwalniając tempa. Miał tylko jeden bieg – chodził szybko, albo kładł się, żeby odpocząć. Mimo to zwolnił, bo ścieżka nadal pięła się stromo ku szczytowi góry. Stamtąd będą mogli zobaczyć drogę i dowiedzieć się, czy policja jeszcze tam jest. Poczuł, jak jego chude ciało kołysze się z boku na bok. Towarzyszący mu mężczyzna szedł ostrymi zrywami. Miał więcej mięśni niż Errki, ale niewiele sił. Jednak po godzinie bandyta znalazł własny rytm. Rozgrzał się. I niósł torbę pełną pieniędzy. Poczuł przypływ radości i postanowił podzielić się nią z szaleńcem. Odchrząknął.

– Jak masz na imię? – zawołał.

Głos zabrzmiał niemal przyjaźnie. Pytaniu towarzyszył głuchy łopot, jakby skóra naciągnięta na werbel rozluźniła się. Errki nie zatrzymywał się ani nie odpowiedział. Pytanie było raczej nieszkodliwe, ale nigdy nie można być pewnym. Nestor kucał w przyćmionym świetle, gapiąc się na niego z podniesioną głową. Jego oczy błyszczały nikłym, niebieskim płomykiem.

– Tyle przecież możesz mi powiedzieć! – nalegał urażony mężczyzna. – Jeżeli zaraz mi nie odpowiesz, pomyślę sobie, że jesteś niemową albo coś w tym rodzaju. A może przyjechałeś z zagranicy? Wyglądasz jak cudzoziemiec. Na przykład jak Tatar. Albo jak Cygan. Zresztą jedni i drudzy pewnie niczym się nie różnią. Odpowiedz mi, do cholery!

Errki skręcił w lewo, ponieważ pień ogromnej osiki tarasował ścieżkę. Zaplątał się w zaroślach, musiał więc chudymi rękami rozsuwać gałązki na boki. Mężczyzna za nim zaplątał się jeszcze bardziej, z torbą w jednej dłoni i bronią w drugiej. Wrócili na ścieżkę i przed sobą zauważyli plamę światła.

– Skoro tak się zgrywasz, jeden z nas musi zrobić pierwszy krok.

Errki usłyszał, że bandyta się zatrzymał.

– Nazywam się Morgan.

Errki nasłuchiwał. Wymówił słowo „Morgan”, eksponując spółgłoski, jakby długo czekał na sposobność wymówienia tego nazwiska. Ale naprawdę tak się nie nazywał. Nestor zarechotał, wydając odgłos, jak ktoś uroczyście nalewający drogie wino z butelki. O Nestorze można było powiedzieć wszystko, ale nie to, że brakuje mu stylu. Errki szedł wesoło naprzód. Za sobą usłyszał okrzyk mężczyzny, który tak bardzo chciał nazywać się Morgan.

– Robimy przerwę. Dokąd tak pędzisz?

Errki nie zatrzymał się.

– Stój, albo strzelam!

Idź dalej. Nie strzeli.

Errki odwrócił się. Morgan spojrzał w twarz, która przywiodła mu na myśl kawałek nieobrobionego granitu. Nie uśmiechał się, nie dygotał. Nie wyrażał żadnych emocji i gapił się na niego, nie mrugając oczami. Bandytę ogarnął niepokój. Niemy i podobny do kamienia diabeł, który porusza się jak robot. Kim on jest, do cholery?

– Zatrzymaj się tam, przy górze. Musimy przez chwilę odpocząć.

Zrób to, co mówi. *Choroba, śmierć i niedola*. Nestor wyszeptał cienkimi wargami. Errki usłuchał. Skierował się do szarego kopca odległego o dwadzieścia do trzydziestu jardów.

Morgan był wyczerpany. Nie panował nad sytuacją, a właśnie po to zabrał ze sobą broń. Nie mógł się powstrzymać i rzucił złośliwą uwagę.

– Przepraszam, że ci to mówię, ale, do diabła, chodzisz jak stara baba!

Errki stanął jak wryty. W jego umyśle zakiełkowała myśl.

Nie drażnij aligatora, dopóki nie przeprawisz się przez rzekę.

Rozdział 7

Sejer spojrział na Gurvina jak rażony gromem.

– Może pan to jeszcze raz powtórzyć?

– Dobrze pan słyszy.

– Mówi pan, że zakładnik i zbiegły pacjent ze szpitala dla umysłowo chorych to jedna i ta sama osoba? Mężczyzna poszukiwany w związku z zamordowaniem Halldis Horn?

Gurvin rozłożył ręce.

– Jestem o tym przekonany. Naszego bandytę czeka niespodzianka nie z tej ziemi.

Sejer musiał wyrzucić przez okno, żeby się upewnić, czy widok z niego na pewno się nie zmienił. Z czym mieli teraz do czynienia? Odwrócił się znów do Gurvina.

– Ale czy jest niebezpieczny?

– Nie wiemy.

– Kiedy dokładnie uciekł?

– Przedwczoraj w nocy. Przez okno.

Sejer znów uruchomił nagranie, zatrzymując taśmę w miejscu, w którym najlepiej było widać zakładnika.

– Myślałem, że to dziewczyna – wymamrotał.

– Wiem – przyznał Gurvin. – Trzyma głowę i chodzi w dość charakterystyczny sposób. No i te długie włosy.

– Od jak dawna jest chory?

– Odkąd pamiętam.

– Schizofrenia?

– Tak mi się wydaje.

Sejer wstał i zrobił kilka kroków, przetrawiając otrzymaną informację.

– W takim razie bandytę naprawdę czeka niespodzianka. No to teraz poszukujemy dwóch mężczyzn, z których jeden to nieznany psychicznie potencjalny morderca, a drugi to bandyta z naładowaną bronią. Co za para! Co to będzie, jak się razem skumają?

– Errki nie kuma się z nikim.

Sejer rzucił mu ponure spojrzenie.

– Szpital dla umysłowo chorych? Czy rozmawiał pan z jego lekarzem?

– Tylko z pielęgniarką, która potwierdziła, że uciekł. Doktora złapię później.

– A temu dzieciakowi, który znalazł kobietę i który widział Errkiego na miejscu

zbrodni, czy można mu zaufać?

– Owszem, czasami. Mieszka w Guttebakken. To dom dla chłopców z problemami. Ale akurat w tym przypadku mu wierzę. Muszę przyznać, że kiedy przyszedł do mnie, trochę się wahałem. Wyglądał na zdenerwowanego. Ale to, co mówił, potwierdziło się. A jeżeli chodzi o Errkiego, nie ma wątpliwości, że chłopak zna go z widzenia.

– Co Errki robił w banku o tak wczesnej porze? Realizował czek z pomocy społecznej?

– Nie mam pojęcia. Założę się, że bandyta zadał mu to samo pytanie i nie dostał żadnej sensownej odpowiedzi. Naprawdę chciałbym wiedzieć, co tych dwóch teraz kombinuje. Ludzkie pojęcie to przechodzi – stwierdził Gurvin.

– To znaczy, jeżeli jeszcze są razem. Może bandyta przestraszył się i go wypuścił?

– Wcale bym się nie zdziwił.

– A jeżeli tak się stanie, Errki nie przyjdzie na komisariat, żeby złożyć skargę. Co możemy zrobić w tej sytuacji?

Sejer otworzył leżącą na jego biurku teczkę i przeczytał na głos:

– W Frydenlundzie wczoraj późnym wieczorem zgłoszono kradzież nowego białego renault megane. Bandyta miał podobny samochód, więc kto wie, czy to nie ten sam. Chociaż może już zdążyli zmienić samochody. Może wypuścił Johrmę? Miejmy nadzieję, że tak.

Skarre i Gurvin nie odzywali się. O bandytach można było powiedzieć różne rzeczy, ale rzadko bywali naprawdę niebezpieczni. Jednak w tym przypadku brakowało jakiegokolwiek pewności.

– Czy będziemy mogli przesłuchać Johrmę?

Gurvin zastanowił się przez chwilę i odparł:

– Zakładam, że moglibyśmy, ale w obecności lekarza. Możemy jednak i tak nie dostać odpowiedzi na nasze pytania. Albo otrzymamy takie, których moglibyśmy nie zrozumieć. I nawet jeżeli popełnił morderstwo, najprawdopodobniej nie zostanie skazany.

– Przypuszczam, że ma pan rację. – Sejer mocno potarł oczy i po chwili znów je otworzył. – Czy został skierowany na przymusowe leczenie psychiatryczne?

– Tak.

– To znaczy, że był groźny dla otoczenia?

– Nie znam wszystkich szczegółów. Mogło też chodzić o to, że stanowił poważne zagrożenie dla siebie.

– Próby samobójcze?

– O niczym takim nie wiem. Będzie pan musiał porozmawiać z jego lekarzem. Był w

szpitalu przez kilka miesięcy, musieli się więc już czegoś o nim dowiedzieć. Chociaż wątpię, czy ktokolwiek tak naprawdę potrafi go zrozumieć. Mnie się wydaje, że to przypadek beznadziejny. Nawet jako dziecko różnił się od innych.

– Czy żyje jeszcze jakaś jego rodzina?

– Ojciec i siostra. Mieszkają w USA.

– Miał własne mieszkanie?

– W czynszówce. Sprawdziłem. Skontaktowałem się z jednym z sąsiadów, który obiecał zadzwonić, jeżeli Errki się pokaże, ale dotychczas ani słowa.

– Czy jest Finem?

– Ze strony ojca. Errki urodził się i wychował w Valtimo. Przyjechali do Norwegii, kiedy miał cztery lata.

– Miał kiedyś do czynienia z narkotykami?

– Z tego co wiem, to nie.

– Silny fizycznie?

– Absolutnie nie. Jego siła leży gdzie indziej. – Gurvin postukał się palcem w czoło.

Skarre gapił się w ekran. Starał się dostrzec oczy pod czarnymi włosami Errkiego, ale bez powodzenia.

– W pewnym sensie lepiej rozumiem go teraz, kiedy oglądam tę taśmę – stwierdził. – Nie zachowuje się tak, jak spodziewałbym się po zwykłym człowieku w jego położeniu. Nie stawia oporu ani się nie odzywa. Myśli pan, że o czym wtedy myślał? – Skarre spojrział na Gurvina i wskazał na ekran.

– Sprawia wrażenie, jakby czegoś słuchał.

– Wewnętrznych głosów?

– Na to wygląda. Często widywałem go, jak chodził i kiwał głową, jakby uważnie przysłuchiwał się jakiejś wewnętrznej rozmowie.

– Czy w ogóle się odzywa?

– Od czasu do czasu. Wypowiada się w dziwnie oficjalny sposób. Często nie można zrozumieć, o co mu chodzi. A tamten desperado w masce najpewniej też wiele z tego nie zrozumiał, zakładając, że zamienili choć jedno słowo.

– Czy Errkiego dobrze znają w okolicy?

– Bardzo dobrze. Zawsze gdzieś wędruje. Od czasu do czasu jeździ autostopem, ale niewielu ludzi ośmiela się go podwieźć. Lubi jeździć autobusami i pociągami, tam i z powrotem. Woli być w ruchu. Śpi tam, gdzie ma ochotę – na ławce w parku, w lesie, na przystanku autobusowym.

- Nie ma żadnych przyjaciół?
- Nie ma, bo nie chce.
- Czy kiedyś pan go o to pytał? – rzucił szorstko Sejer.

– Errkiego o nic się nie pyta. Trzyma wszystkich na dystans – odparł Gurvin.

Sejer usiadł i zamyślił się. Słońce zamigotało na jego krótko obciętych, siwych włosach. Przypominał Gurwinowi greckiego ascetę. Brakowało mu tylko wieńca laurowego na głowie. Inspektor myślał długo, z roztargnieniem drapiąc się w łokieć.

– Myślałem, że na Wzgórzu trzymają tylko starszych ludzi – przemówił wreszcie.

– Kiedyś tak było – wyjaśnił Gurvin. – Teraz jest tam oddział psychiatryczny dla młodych. Czterdziestu pacjentów na czterech oddziałach, jeden z nich o ograniczonej swobodzie poruszania się. Albo zamknięty, jeżeli wolicie. Ci, którzy tam mieszkają, nazywają go Paka. Byłem tam raz z jednym chłopcem z Guttebakken.

– Muszę się dowiedzieć, kto jest lekarzem prowadzącym Errkiego, i pomówić z nim. Dlaczego tak trudno stwierdzić, czy jest, czy nie jest niebezpieczny?

– Krąży o nim cała masa plotek. – Gurvin spojrzał na inspektora. – Jest z tych, których oskarża się o wszystko. Osobiście nie znam ani jednej sprawy, w którą byłby zamieszany, a którą można by nazwać przestępstwem, poza tym, że jeździ na gapę pociągiem albo kradnie w sklepach jakieś drobiazgi. Chociaż teraz nie mam co do tego pewności.

– Co kradnie?

– Czekoladę.

– I nie ma absolutnie żadnego kontaktu z rodziną?

– Errki nie chce się z nimi widzieć, a oni i tak nie mogą mu w żaden sposób pomóc. Ojciec machnął ręką na syna. Ale nie powinien pan go za to winić. Po prostu dla Errkiego nie ma żadnej nadziei.

– Może to dobrze, że jego lekarz pana nie słyszy – powiedział Sejer spokojnie.

– Być może. Z tego co wiem, choruje przez całe życie, a przynajmniej od szesnastu lat, od kiedy umarła jego matka. To daje do myślenia.

Sejer wstał i wsunął krzesło pod biurko.

– Chodźmy na kawę. Chcę, żebyście mi opowiedzieli wszystko, co wiecie.

Kannick usadowił się na swoim łóżku jak Budda na tronie. Jego słuchacze, zebrani w półkole na podłodze, dziwili się, że pomimo swojej tuszy może siedzieć po turecku. Z początku nikt mu nie uwierzył. Jak to możliwe, że to właśnie Kannick znalazł w lesie ciało? Do tego posiekane. Przynajmniej tak im powiedział. *Posiekane*. Szczególnie Karsten,

najstarszy z chłopców, który z reguły miał monopol na prawdę, nie mógł się z tym pogodzić. Wyraz jego twarzy, kiedy Margunn potwierdziła, że nie kłamie, wrył się silnie w pamięć Kannicka. Wtedy odniósł jedno ze swoich największych zwycięstw. Teraz wszyscy chcieli usłyszeć o tym z ust kolegi, w najdrobniejszych szczegółach. Ale przebywali w Guttebakken dostatecznie długo, by wiedzieć, że na świecie nic nie jest za darmo. Przed Kannikiem na przykrywającej materac narzucie leżała zapłata: batonik czekolady Firklover, różowa paczka gumy balonowej Hubba Bubba, torebka czipsów i pudełko ziarenek Mocca z gorzkiej czekolady. Miał jeszcze dostać kilka papierosów i jednorazową zapalniczkę. Wszyscy czekali z błyszczącymi oczami i chłopiec dobrze wiedział, że nie wystarczy im sucha opowieść oparta na faktach. Byli żądni krwi i nic innego ich nie zadowoli. Poza tym znali Halldis. Tu nie chodziło tylko o nekrolog w gazecie, lecz o żywą osobę. Albo przynajmniej o kogoś, kto kiedyś był żywą osobą.

Kannickowi zabroniono opowiadać o morderstwie ze szczegółami. Margunn nie chciała, żeby inni chłopcy nadmiernie się ekscytowali. I tak byli wystarczająco niezdyscyplinowani. Personel dysponował ograniczonymi środkami i ledwie udawało mu się utrzymywać w ryzach całą tę hałastę.

Kannick zmrużył niebieskie oczy. Postanowił zacząć od Simona i skończyć na Karstenie. Simon miał dopiero osiem lat i trochę przypominał mu roztopiony mus czekoladowy. Słodki, ciemny i miękki.

– Wziąłem łuk i wyszedłem, żeby sobie postrzelać – zaczął Kannick i utkwiał wzrok w brązowych oczach Simona. – Właśnie drugą strzałą zestrzeliłem tłustą wronę. Mam dwa groty do strzał, które zamówiłem w Danii. Trzymam je w tajnym schowku w mojej walizce. Nie mówcie nikomu. W Norwegii są nielegalne – dodał z namaszczeniem.

Na twarzy Karstena odmalował się wyraz milczącego cierpienia.

– Ptak spadł jak worek cukru i wylądował mi pod nogami. W lesie nie widziałem nikogo, ale miałem złe przeczucie, że ktoś jest blisko. Znaście mnie, często chodzę do lasu i wyczuwam, kiedy coś ma się stać. Może dlatego, że dużo czasu spędzam ze zwierzętami.

Wziął oddech, zadowolony z dramatycznego wstępu. Simon spijał mu z ust każde słowo. Nikt nie ośmielił się nawet westchnąć ze strachu, że mówca przerwie opowieść.

– Zostawiłem wronę na ziemi i ruszyłem w stronę zagrody Halldis.

Teraz odwrócił się, by spojrzeć na Siverta, piegowatego jedenastolatka z warkoczem na plecach.

– Ale tam był jakiś dziwny spokój. Halldis zawsze wcześniej wstaje, więc poszedłem jej poszukać. Pomyślałem, że uda mi się wycygnąć od niej szklankę soku albo czegoś innego

do picia. A tam... ani żywej duszy. Zasłony były rozsunięte, więc pomyślałem, że może pije kawę i czyta gazetę, jak to zwykle robi.

Jan Farstad, znany jako Jaffa, patrzył Kannickowi w oczy i czekał w napięciu.

– W takim razie – kontynuował Kannick – pomyślałem, że załapię się na kromkę domowego chleba z kozim serem. Kiedyś Halldis dała mi osiem krotek chleba, ale to były ostatnie.

Mrugnął oczami na wspomnienie tamtej chwili.

– Zaczynj wreszcie gadać do rzeczy! – krzyknął Karsten, rzucając tęskne spojrzenie na czekoladowe ziarenka, jego zapłatę za opowieść.

– Zobaczyłem ją, kiedy tylko wyszedłem z za studni. I powiem wam – przełknął ciężko ślinę – ten widok będzie mnie prześladował do końca życia.

– Tak, ale co zobaczyłeś?

Głos Karstena zabrzmiał falsetem. Był jedynym z chłopców, który miał cień wąsów i pierwsze ślady trądziku w kącikach nosa.

– Zobaczyłem ciało Halldis Horn! – powiedział Kannick, wypuszczając głośno powietrze, bo zapomniał odetchnąć. – Leżała na plecach, na schodach do domu. Z motyką w jednym oku. A z oczodołu wylewała jej się jakaś szara substancja. Wyglądała jak owsianka. – Spojrzenie chłopca stało się nagle odległe.

– Co to jest szara substancja? – spytał cicho Simon.

– Jej mózg – wyjaśnił Karsten znudzonym głosem.

– Ale przecież mózg nie może się wylać, prawda?

– Pewnie, że może. Leje się jak ta lala. Nie wiedziałeś, że to, co masz między uszami, jest rzadkie jak zupa?

Simon skubał nitkę w koszuli i nie przestawał, dopóki nie wyciągnął jej całej.

– Kiedyś widziałem mózg w słoiku i wcale nie był rzadki – stwierdził ponuro, lecz także z odrobiną niepokoju, bo ośmielił się nie zgodzić z doświadczoną grupą. Bez dwóch zdań, był z nich wszystkich najmłodszy.

– Co za tuman! Nie był rzadki, bo był spreparowany. Wtedy zaczyna przypominać grzyba i daje się ciąć na cienkie plasterki. Widziałem w telewizji.

– Co to znaczy „spreparowany”? – spytał Simon.

– Utwardzony – mówił Karsten. – Wkładają go w coś, co sprawia, że twardnieje. Ale z mózgiem Kannicka nie będą musieli tego robić – jego już dawno zdążył stwardnieć.

– Dajcie sobie siana! Niech Kannick dokończy.

Tym razem przerwał Philip. Jeżeli ci dwaj zaczną się kłócić, nigdy nie przestaną. A

lada chwila mogła się pojawić Margunn. Nie wierzyła, że jej zakaz mówienia o morderstwie będzie przestrzegany. Dobrze wiedziała, czego może się po nich spodziewać. Pytanie brzmiało: ile będą mieć czasu oraz ile szczegółów uda im się teraz wyciągnąć od kolegi.

Kannick czekał z cierpliwością kaznodziei, marszcząc brwi na widok leżących przed nim łupów. Postanowił zacząć od ziarenek Mocca.

– Jej ciało zaczęło już gnąć – mówił dalej, kładąc szczególny nacisk na słowo „gnąć”.

– Co ty pleciesz? – wybuchnął Karsten. – Daj spokój! Tak się składa, że zanim ciało zacznie gnąć, musi minąć kilka dni. A Errki nawet nie zdążył odejść z miejsca zbrodni. Nie wciskaj nam tu kitu.

– Wiesz, jak gorąco było tam na górze w lesie? – Kannick pochylił się naprzód i głos zdrztał mu z oburzenia. – Na takim upale ciało zaczyna gnąć w parę minut.

– Nie masz o tym pojęcia. Zapytam policjantów, jeżeli w ogóle tu przyjadą. Kannick, jakbyś był taki ważny, dawno by już tutaj byli.

– Gurvin obiecał, że przyjadą.

– Zobaczymy, ale nie opowiadaj głupstw o tym gniciu, bo ci nie wierzymy. Płacę ci za prawdę.

– Świetnie! Mogę ominąć najgorsze części. Przecież są tutaj dzieci. Wracając do motyki...

– Jaka to była motyka? – spytał znów Philip.

– Taka do kopania w ziemi. Do ziemniaków i chwastów. Wyglądała jak siekiera, tylko z dłuższym trzonkiem. Ale mogła to być też siekiera, bo Halldis miała głowę prawie rozłupaną na pół. Oko jej wypłynęło i zwisało na policzku na cienkiej nitce i...

Karsten przewrócił oczami.

– Naoglądałeś się za dużo filmów. Opowiedz lepiej o Errkim – powiedział.

– Kto to jest Errki? – zapytał Simon. Pochodził z innego miasta i od niedawna był w zakładzie.

– Postrach lasów – szydził Karsten, skubiąc jeden z wyprysków na twarzy. – Ale nic mu nie zrobią. Nigdy nic mu nie robią. On naprawdę jest czubkiem, a wariatów nigdy nie skazują. Siedzą w zakładzie, łykają pigułki, a potem wychodzą i zaczynają zabijać. Gdyby wsadzili go w kaftan bezpieczeństwa, zaczęłyby zabijać samymi zębami.

– Wypuszczą go? – dopytywał się Simon z niepokojem.

– Jeszcze go nie złapali, palancie. Jeszcze go nawet nie znaleźli.

– To gdzie on jest?

– Tam w górach, w lesie.

Simon rzucił przestraszone spojrzenie za okno, w górę ku drzewom.

– Errki może być szalony, ale szalony nie znaczy to samo co głupi – powiedział zamyślony Kannick. – Zauważył to, że go widziałem. Może będzie mnie śledził. Myślę, że powinienem dostać ochronę policyjną.

Spojrzał na nich, robiąc zmartwioną minę, chcąc zobaczyć, czy ta informacja do nich dotarła, czy zrozumieli, co to znaczy żyć w cieniu takiego zagrożenia. Niebezpieczny szaleniec na jego tropie. Trudno sobie wyobrazić coś gorszego.

– Ha. Pewnie już dawno uciekł. Sam mówiłeś, że nie jest głupi. A jak wyglądał? – chciał wiedzieć Karsten. – Czy miał na sobie jakieś ślady krwi?

– Stał za drzewem – odparł Kannick cicho. – Wyglądał dziwnie. Ramiona jakby zwisały mu po bokach i gapił się przed siebie. Ma takie dziwne oczy. Mój wujek hoduje psy grenlandzkie i Errki ma takie same oczy jak te psy. Białawe jak śnięte ryby.

Cofnął się myślą w przeszłość do tamtej pamiętnej chwili, kiedy stanął na podwórku domu Halldis i z walącym sercem, przerażony, patrzył w górę na lasy, na czarne drzewa, i nagle spostrzegł dziwną sylwetkę wśród pni. Najpierw nieruchomą, ale coś ciemnego poruszyło się, powoli pochyliło się naprzód i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że to twarz. Pograżona w cieniu twarz z szeroko otwartymi oczami. Sam diabeł nie mógł bardziej wystraszyć Kannicka. Pobiegł jak zając drogą w dół, wiedząc, że powinien rzucić walizkę z łukiem i strzałami, ale nie mógł. Biegł dalej i nie oglądał się za siebie.

– Czy zabił już kogoś wcześniej? – dopytywał się Jaffa.

Kannick wyswobodził ciało z siadu po turecku i rozprostował zeszywniałe nogi.

– Najpierw własną matkę. Potem tego starego pod kościołem – mówił z przekonaniem. – A oni pozwalają komuś takiemu chodzić wolno. Bez sensu budować takie domy – objął spojrzeniem pokój i podwórze – dla nieletnich tam, gdzie mieszkają seryjni mordercy.

– Ty idioto – znów skrytykował go Karsten. – Ten dom stał tutaj dużo wcześniej, zanim Errki oszalał.

– No to dlaczego nie trzymają go pod kluczem? – spytał Simon.

– Trzymali go. Ale uciekł. Pewnie znokautował dyżurną pielęgniarkę i gwizdnął jej klucze.

Simon dostał znacznie więcej informacji, niż był w stanie przyswoić. Bardzo powoli przysunął się do Karstena i oparł się o niego.

– Wyluzuj, Simon. W drzwiach są zamki – uspokajał go starszy chłopiec. – Poza tym Errki jest taki, że nigdy nie usiedzi spokojnie. Włóczy się wszędzie, rzadko śpi. Teraz pewnie

idzie do miasta, żeby jeszcze kogoś zabić.

– Kogo? – jęknął Simon.

– Wszystko mu jedno. Nie musi kogoś nienawidzić, żeby go zabić.

– No to dlaczego zabija?

– Musi. Ma taki wewnętrzny przymus.

Simon chciał zapytać o „wewnętrzny przymus”, ale zabrakło mu odwagi. Kannick podniósł pudełko czekoladek, otworzył wieczko, oderwał kawałeczek tektury na górze, a potem wspaniałomyślnie puścił je w obieg. Jego nowy status poruszył go do głębi. Nikt nigdy nie siedział tak długo i nie słuchał go. Chłopcy wzięli garść ziarenek i przez jakiś czas nie odzywali się, zajęci chrupaniem.

Karsten był wściekły. Nie mógł pogodzić się z tym, że to nie on znalazł ciało. Że to musiał być ten idiota Kannick, że naprawdę widział martwe ciało, chociaż był o dwa lata młodszy i gruby. Żaden z nich nigdy nie widział trupa.

– Miała oczy otwarte? – zapytał.

Kannick przerwał chrupanie, żeby się zastanowić.

– Szeroko otwarte. Przynajmniej to, które jej jeszcze zostało.

– Kiedyś słyszałem o dziewczynie, która miała lalkę i ta lalka wieczorem ożywała – wtrącił się Philip. – Rosły jej paznokcie. Pewnego dnia rano, kiedy dziewczyna się obudziła, była ślepa, bo lalka wydłubała jej oczy.

– Nie mówimy o filmie! – krzyknął Kannick. – To wszystko stało się naprawdę! Kłopot z tobą jest taki, że nie wiesz, gdzie się kończy fantazja, a gdzie się zaczyna rzeczywistość. Dlatego tu jesteś, ale to chyba już wiesz. – Zamknął oczy, żeby sobie lepiej przypomnieć. – W jej oku zastygło przerażenie, jakby zobaczyła samego diabła.

– To nawet dość prawdopodobne – rzucił sucho Karsten. – Ciekawe, czy coś do niej powiedział, zanim to zrobił. Albo czy po prostu rzucił się na nią i rozbił jej głowę. Leżała na schodach?

– Tak.

– Z głową na schodach, czy w wejściu?

– Na schodach.

– To znaczy, że musiał być w domu – mówił Karsten. – Pewnie szukał czekolady.

– Gdyby ją poprosił, sama by mu dała.

– Errki nie prosi o nic, tylko bierze. Każdy o tym wie.

Nagle wszyscy się poderwali. Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Margunn.

– I co, nie jest wam tu miło i przytulnie?!

Obrzuciła wzrokiem grupę chłopców siedzących w pełnym uwagi milczeniu i zajadających czekoladę. Nikt nie będzie jej mówił, że nie potrafią stworzyć ciepłej atmosfery nawet w tym bezdusznym miejscu. Wiedziała, co kombinują, ale mimo to była z nich dumna.

– Kto opowiada? – niewinnie mrugnęła oczami.

Chłopcy wlepili wzrok w podłogę. Nawet Karsten zatrzepotał rzęsami.

– Przyniosę wam coli – zakomunikowała i wyszła.

Kannick zastanawiał się nad „wewnętrznym przymusem”, tymczasem poziom cukru w jego krwi powoli podnosił się do zadowalającego poziomu. Czuł, jak ogarnia go senność, którą wywoływały tylko słodczyce; błogie zmęczenie i rozleniwienie, wręcz odurzenie. Znajdował w nim spokój. Nie wiedział dlaczego, ale nigdy nie miał tego dosyć.

– Pewnie dostaniemy tylko colę dietetyczną – westchnął, otwierając paczkę hubba bubby. Gumy wystarczyło po jednej dla każdego. Jego wspaniałomyślność nie знаła granic. Morderstwo Halldis Horn połączyło chłopców jak nigdy wcześniej. Na ogół byli podzieleni, walczyli między sobą o żalosną pozycję w małej społeczności outsiderów. Porzucili już marzenia o przyszłości, oprócz Simona, o którym mówiono, że ma bogatego wuja, który kiedyś miał mu obiecać, że zabierze go na swoją farmę, gdzie hodował trzydzieści koni wyścigowych. Ale najpierw musiał odsiedzieć czteromiesięczny wyrok za drobne błędy w rozliczeniach podatkowych, a dopóki odbywał pokutę, jak to ujął, nie mógł zabrać do siebie chłopca. Razem mieli zacząć wszystko od nowa.

Margunn wróciła, niosąc, jak odgadli, kilka butelek coli bez cukru i tacę ze szklankami.

– Tylko nie porozlewajcie.

Rzuciła Kannickowi ostrzegawcze spojrzenie. Margunn nie miała w zwyczaju nikogo łajać. Odpowiadała za nich i bardzo ich lubiła. Każda próba udzielenia im nagany kończyła się klapą, a chłopcy kochali ją, bo była jedyną osobą, która się o nich troszczyła. Personelu było oczywiście więcej, na przykład Thorleif, Inga i Richard. Oni też byli w porządku, robili, co do nich należało, ale byli młodzi i chcieli iść dalej, osiągnąć coś więcej. Dla nich ci chłopcy to po prostu odcinek nierównego terenu, który należy czym prędzej pokonać. A Margunn była stara. Miała prawie sześćdziesiąt lat i żadnych widoków na lepsze życie. Wylądowała tutaj, w brzydkim budynku przykrytym płytami z szarego azbestu, gdzie wszystkie pokoje przesiąknięte były jakąś dziwną zieloną i duszną wonią.

Polubiła to miejsce, tak jak ludzie lubią cuchnące stęchlizną zakamarki piwnicy, bo mają nadzieję, że pewnego dnia znajdą wśród rupieci coś wartościowego. Chłopcy łatwo to wyczuli. Tylko Simon nie potrafił samodzielnie wyciągać wniosków. Pytał innych i

przyjmował odpowiedzi, które mu dawali.

Karsten rozlał colę do szklanek. Wszyscy chłopcy rzucili się na napój. Kannick ze zmarszczonymi brwiami spojrzał w dół na kapę, zastanawiając się, czy podzielić się resztą swojego łupu, czy też zachować ją na czarną godzinę. To była wspaniała chwila. Na drugą taką pewnie przyjdzie mu długo czekać.

– Gdzie teraz jest Halldis? – zapytał Pake, gdy Margunn wyszła. Naprawdę nazywał się Pal Theodor i w zakładzie znalazł się przez pomyłkę, ale nikt jeszcze tego nie odkrył. Gdzieś w jego dorosłym życiu czekało na niego odszkodowanie w wysokości kilku milionów koron za bezprawne pozbawienie wolności. To dodawało mu sił.

– W kostnicy – powiedział Kannick, upijając łyk coli. – W zamrażarce.

– W lodówce – poprawił go Karsten. – Najpierw musi być autopsja, oczywiście, a gdyby ją zamrozili, nie udałoby im się jej rozciąć i otworzyć.

– Rozciąć? – oczy Simona aż pociemniały ze strachu.

Karsten objął chłopca.

– Kiedy ktoś umiera, rozcina się go, żeby znaleźć przyczynę zgonu.

– Przyczyną zgonu była motyka w jej głowie – zauważył Philip, bekając.

– Muszą dokładnie sprawdzić, czym dostała. Nie mogą zgadywać.

– Dostała prosto w oko.

– Tak, ale muszą spisać akt zgonu. Nikogo nie można pochować bez aktu zgonu. Chociaż dziwię się, że użył motyki – mówił Karsten. – Łatwiej byłoby mu ją zabić gołymi rękami.

– Myślę, że nie miał na to ochoty – odpowiedział Kannick, marszcząc wargi. Potem zrobił duży balon, który zakrył mu pół twarzy, zanim wreszcie pękł z trzaskiem, przyklejając mu się do nosa i ust. Zeskrobał gumę brudnymi palcami i włożył z powrotem do ust.

– Ale policja go teraz szuka, prawda? – Simon skubał się w ucho, jakby to miało go uspokoić.

– Pewnie, że szuka. Założę się, że wysłali uzbrojonych antyterrorystów w kamizelkach kuloodpornych. Na pewno złapią faceta.

Karsten pokręcił głową z irytacją.

– Szkoda, że muszą go złapać całego i zdrowego.

Obrzucił kolegów wzrokiem. To, co miał zamiar im powiedzieć, wiedział na pewno.

– W Ameryce jest o wiele lepiej. Policja z miejsca takich zabija. Tam bardziej dbają o zwykłych ludzi. Jestem za karą śmierci! – ogłosił uroczyście.

Ten komentarz zakończył spotkanie.

Rozdział 8

Mężczyzna, który kazał mówić do siebie Morgan, usiadł na niewielkim, porośniętym trawą kopcu. Broń położył tuż obok. Errki rzucał ukradkowe spojrzenia na jego wzorzyste bermudy.

Mężczyzna próbował połapać się w sytuacji. Mogło być gorzej. Udało mu się uciec z banku i z miasta, a potem porzucić samochód. Poza tym tak jak obiecał, zdobył pieniądze. Dobrze ukrył i zakamuflował pojazd, a jeżeli leśny dukt był nieuczęszczany, mogło minąć wiele dni, zanim ktoś znajdzie auto. Wewnątrz nie zostawił odcisków palców, bo ani na chwilę nie zdjął rękawiczek. Zastanawiał się, czy policji udało się zidentyfikować jego zakładnika. Miał nadzieję, że jakość nagrania z bankowego monitoringu okaże się zbyt słaba i policji niewiele uda się zobaczyć.

– Posłuchaj – powiedział cicho.

Werbel gra ciszej, pomyślał Errki, więc pewnie udało mu się trochę uporządkować myśli.

– Może odpowiesz mi chociaż na to pytanie? – Popatrzył na Errkiego, który z podciągniętymi pod brodę kolanami siedział na pniu drzewa. – Powiedz mi, skąd uciekłeś. Z domu opieki czy z innego zakładu? Masz swoje mieszkanie czy nie wyprowadziłeś się jeszcze od matki? Bardzo mnie to ciekawi. Chyba nie pytam o zbyt wiele, prawda?

Czekając, wyjął z torby kapciuch z tytoniem. Errki nie odpowiadał. Nestor miał właśnie zmienić pozycję – teraz kucał z podbródkiem przyciśniętym do kolan i rękami obejmował nogi. Kiedy siedział w ten sposób, Errkiemu wolno było się odzywać.

– Pytałem, czy uciekłeś ze szpitala psychiatrycznego, czy może z jakiejś innej instytucji. Czy ktoś cię szuka?

Usłyszawszy pytanie, Errki zaczął kiwać głową w tył i w przód.

– Umówmy się – zaproponował Morgan. – Zapytam cię o coś. Jeśli odpowiesz, masz prawo zadać mi pytanie, na które z kolei ja będę musiał odpowiedzieć, jeżeli będę chciał cię zapytać o coś innego. Co ty na to?

Patrząc na zakładnika, Morgan poczuł dumę ze swojej sugestii. Mimo czarnej skórzanej kurtki i ciemnych spodni, chłopak wcale się nie zgrzał. Dziwne, bo z Morgana lal się pot, a na jego T-shircie widać było duże, ciemne plamy.

– Chciałbym się tylko dowiedzieć, kim jesteś – dodał. – I mam z tym spore kłopoty.

– Człowiek niewiele widzi, kiedy diabeł trzyma świecę – odpowiedział cicho Errki.

Mówił zmęczonym głosem, jakby zbyt wiele energii kosztowała go niepotrzebna strata słów na kogoś tak mało rozgarniętego jak Morgan.

Mężczyzna poderwał się na dźwięk jasnego, przyjemnego dla ucha głosu Errkiego. Chłopak mówił z powagą. Errki pochylił głowę i uważnie nasłuchiwał szeptu Nestora. Propozycja bandyty brzmiała znajomo. W podobną grę bawili się w ośrodku podczas terapii grupowej.

– Ja zacznę – powiedział.

Morgan uśmiechnął się z ulgą, słysząc tak normalną uwagę.

– Ale ty masz przestrzegać takich samych zasad, słyszysz? Jeśli odpowiem uczciwie, wtedy mam prawo zadać ci pytanie i dostać prawdziwą odpowiedź.

Errki spojrzał mu w oczy i wyraził zgodę.

– Co teraz zrobisz? – zapytał i w tej samej chwili usłyszał, jak w piwnicznych czeluściach Nestor zanosi się przeraźliwym rechotem.

Morgan zmarszczył brwi. Gniewnie spojrzał na ubraną na czarno postać i oblizał wargi.

„Co teraz zrobisz?” Nie spodziewał się tego pytania. No cóż, mógł przecież coś wymyślić, skoro ten wariat i tak nie zrozumie żadnej odpowiedzi. Ale umówili się, że nie będą kłamać. Poza tym miał wrażenie, że patrząc w tak błyszczące oczy, nie może oszukiwać. Zdał sobie sprawę, że czuje się strasznie samotny. Zaczął się jeszcze bardziej pocić. „Co teraz zrobisz?” Nie miał pojęcia. Siedział tutaj z torbą pełną pieniędzy i z idiotą, którego nie mógł zrozumieć. Zawahał się, a potem wzruszył ramionami.

– Czekam, aż zrobi się ciemno.

Czeka, aż zrobi się ciemno. Nestor ułożył usta w grymas przypominający uśmiech. *Powiedz mu, Errki! Niech ten człowiek wreszcie przejrzy na oczy.*

– Przecież nie zrobi się ciemno – stwierdził Errki. – Jest środek lata.

– Nie jestem głupi – odburknął Morgan.

Ależ tak, jest głupi, zachichotał Nestor, kołysząc się tam i z powrotem jak beztroska starucha.

– Między północą a drugą rano zrobi się ciemniej. Wtedy zobaczymy, co się stanie – mruknął bandyta.

Głos znów zabrzmiał groźnie i znów werble zagrały w niewłaściwym tempie.

– Teraz moja kolej. Co ci jest?

Errki rozcapierzył palce. Gest ten wywołał u Morgana obrzydzenie. Gdyby nie wykonywał tych dziwnych gestów palcami i tak okropnie nie kołysał głową, jego

towarzystwo byłoby zupełnie znośne.

Uczciwa odpowiedź, pomyślał Errki. Co mi jest? Wstrząsnął nim nagły dreszcz, który wzbił w górę tuman szarego, piwnicznego kurzu. Nestor warknął opryskliwie. Co mi jest? Spojrzał w dół. Na trawie tuż obok jego stóp pojawiła się krwistoczerwona plama. Jej poziom zaczął się podnosić i powoli rozlewała się wszcz. Gdyby przesunął stopę choć o centymetr, dotknąłby butem krwi.

– I co? Odpowiesz mi? – Morgan rzucił mu ponure spojrzenie. – Mieliliśmy umowę. Co ci jest? Uczciwa odpowiedź za odpowiedź. No, mów.

Errki siedział, zastygły jak skała, wpatrzony w ziemię wokół swoich stóp.

– Więc dobrze, będę dla ciebie miły. Nie tak jak ty dla mnie, bo jesteś trochę dziwny. Zadam ci inne pytanie. Ale jeżeli teraz mi nie odpowiesz, to się zdenerwuję. – Wbił wzrok w Errkiego, żeby podkreślić, że mówi poważnie. – Cholernie szybko szedłeś pod tę górę. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Znasz tę okolicę?

– Tak – Errki odparł, podnosząc głowę. Starał się nie poruszyć stopami.

Morgan ucieszył się.

– Dobrze ją znasz? Więc może wiesz o jakimś miejscu, gdzie moglibyśmy usiąść i poczekać, aż zrobi się ciemno? A może zbudujemy sobie szałas z gałęzi? Co ty na to?

Teraz Errki usłyszał zbyt wiele pytań na raz. Zmagał się z nimi, zły na niejasny tok myślenia Morgana. Czy dobrze znam okolicę? Szałas z gałęzi?

– Tak – odpowiedział, znów spoglądając na plamę krwi. Przyciągnęła kilka owadów, które pełzały dookoła, uczując.

– Tak, znasz dobrze okolicę, i tak, zbudujemy sobie szałas z gałęzi – powiedział bandyta z entuzjazmem. – W porządku. Ty zbudujesz szałas, a ja będę trzymał broń. Nie znoszę tych okropnych kłujących gałęzi.

Od niechcienia odsunął na bok najniższą gałąź świerka. Errki gapił się na broń, która leżała w trawie kilkadziesiąt centymetrów od jego stóp.

– Powiedz mi – znów odezwał się Morgan – czy dobrze zapamiętujesz szczegóły? Na przykład, gdybyś musiał zidentyfikować mnie na policji. Nie sądzę, żeby do tego doszło, ale chciałbym wiedzieć. Jak byś mnie opisał?

Errki wyszeptał:

– Teraz moja kolej.

– Przepraszam, masz rację. Strzelaj.

Polizał bibułkę i wetknął skręta w usta, rozglądając się za zapalniczką.

– Co ci jest? – zapytał Errki.

Morgan spojrział na niego zdumiony, a jego oczy zwęziły się z niezadowolenia. Nestor prychnął. Gdzieś w kącie Płaszcz lekko zatrzepotał rękawami. Był zawsze pusty w środku. W pewnym sensie bezsilny. Co jakiś czas Errki miał wrażenie, że cały był zmyłką. Niczym więcej, jak tylko przeklętym blagierem.

– Nic mi nie jest, do jasnej cholery – rzucił szorstko Morgan. – Na razie, nawet cię nie drasnąłem. Czy tak dalej będzie, zależy od tego, czy będziesz chciał ze mną współpracować.

Poczuł niepokój. Trudno było zrozumieć czubków – byli nieprzewidywalni. Mimo to, o ile wiedział, kierowali się pewną logiką. Trzeba tylko znaleźć do niej klucz.

– Powiem ci coś – mówił dalej. – Trochę się orientuję w twoich problemach. Odrabiałem wojsko w szpitalu psychiatrycznym. Nie domyśliłbyś się, prawda? Odmówiłem służby wojskowej, bo jestem pacyfistą.

Spojrzał na broń leżącą w trawie i wybuchnął śmiechem.

– Pamiętam takiego jednego dziwaka, który bez przerwy wachał swoje slipy. Poza tym nie skrzywdziłby nawet muchy. A ty? Też wachasz swoje slipy?

Errki z przygnębieniem odkrył, jak bardzo dziecinny jest Morgan. Spojrzął pod nogi. Plama krwi wciąż tam była.

– Zanim zapomnę – mówił dalej bandyta – wróćmy do mojego pytania. Co powiesz policjantom, jeżeli będziesz im musiał mnie opisać? No, wykrztuś wreszcie.

Co za głupiec, pomyślał Errki. Wymięty klaun w głupich szortach. Przez cały czas czegoś się boi. Jeżeli straci broń, będzie bezradny. W szpitalu na pewno by powiedzieli, że rodzice go zaniedbywali, kiedy był dzieckiem.

Errki wpatrywał się w niego tak intensywnie, że Morgan zaniepokoił się.

Wzrost: około metr siedemdziesiąt, zdecydowanie nie więcej.

Morgan milczał i czekał.

Waga: dwadzieścia kilogramów cięższy ode mnie. Wiek: jakieś dwadzieścia dwa lata. Grube włosy w kolorze piaskowym. Proste, ciemne brwi. Oczy szaroniebieskie. Małe usta z pełnymi wargami.

Mężczyzna zaciągnął się papierosem i westchnął niecierpliwie. Małe uszy, pełne małżowiny. Palce krótkie jak kiełbaski, pulchne uda i łydki. Wygląda na spuchniętego. Ubiór: idiotyczny. Inteligencja: przeciętna, ale w dolnym percentylu.

Było zupełnie cicho. Nawet ptaki umilkły. Tylko Errki słyszał chichot dobiegający z piwnicy. Morgan nagle wstał i wygrzebał broń z trawy.

– W porządku, miej sobie te swoje tajemnice. Wstawaj. Idziemy!

Poczuł, że zakpiono z niego, a on nie miał pojęcia dlaczego.

– To tylko obrazek – przemówił nagle Errki.

– Zamknij się, powiedziałem ci!

– Taki, którego nikt nie odwraca, żeby przeczytać, co jest napisane na drugiej stronie.

– Ruszaj się!

– Myślałeś o tym? – Errki mówił dalej. – Nikt nie wie, kim jesteś. Czy to nie chujowo, Morgan?

Mężczyzna rzucił mu pełne zaskoczenia spojrzenie. Errki powoli wstał, postawił duży krok, żeby nie wdepnąć w śliską krew, i skierował się ku punktowi widokowemu, w pobliżu którego zostawili samochód. Stamtąd zobaczy zimne i niebieskie morze. I ruchliwą drogę.

– Nie tam, psiakrew! Idziemy na górę! Czy ty jesteś kompletnym idiotą?

– A co zrobisz, jeżeli pójde tam, gdzie chce? – spytał Errki cicho.

– Wpakuję ci pieprzoną kulkę między oczy, a potem znajdę jakiś dół i wrzucę cię do niego. A teraz ruszaj się!

Errki zaczął piąć się pod górę. Szybciej niż poprzednio. Teraz był wypoczęty, poza tym zawsze czuł się lepiej, kiedy był w ruchu.

– W porządku, tak wystarczy. Skoro naprawdę dobrze znasz teren, to znajdź nam jakąś opuszczoną chatę albo coś w tym rodzaju, żebyśmy mieli dach nad głową.

Stara chata. Było ich wiele, chociaż najwięcej po drugiej stronie grani, ponad kilometr dalej. Droga była trudna, a upał nie do zniesienia. Errkiemu chciało się pić. Nic nie powiedział, ale przypuszczał, że Morgan też jest spragniony. Słyszał za sobą dyszenie i chwilę później głos, teraz trochę spokojniejszy.

– Jak zauważysz strumień albo coś w tym rodzaju, to powiedz. Cholernie chce mi się pić.

Errki szedł dalej. Jego długie czarne włosy kołysały się z boku na bok, podobnie jak kurtka i wypchane spodnie. Morgan gapił się na niego w oszołomieniu. Ten gość był zupełnie inny niż wszyscy. Jak się go pozbyć? zastanawiał się. Po jaką cholere wlokę ze sobą tę ofiarę losu? Mogłem zostawić go w samochodzie. Boję się, że poda mój rysopis policji? Ale czego tu się bać? Do policjanta pewnie wcale się nie odezwie. Spojrzał na zegarek. Za pół godziny będą wiadomości. Zatrzyma się, żeby posłuchać, czego udało im się dotąd dowiedzieć. Szedł najszybciej, jak mógł, mimo że pragnienie paliło mu usta i gardło. Dobrze zrobił, że jeszcze nie napił się whisky. Szaleńcy mogą być niebezpieczni. Ten gość nie był w szczególnie dobrej kondycji fizycznej, ale obłąkanie i brak zahamowań mogą sprawić, że nabierze niesamowitej siły. Może bezpieczniej będzie trzymać go na dystans i za bardzo nie prowokować. Przecież nie byli wrogami. Zabrał go ze sobą wiedziony zwykłym impulsem.

Uciekając z banku, zasłaniał się nim jak grubą tarczą. Wyluzuj się – powiedział sobie. – Dość dziwnie się wysławia i nic więcej. Przypomnij sobie rok, który przepracowałeś w zakładzie dla obłąkanych – wszyscy bardzo się tam czegoś bali.

Errki zatrzymał się i zaczął sprawdzać kieszenie kurtki, najpierw pierwszą, a potem drugą. Na koniec wetknął dłoń do kieszeni spodni, odwrócił się i powiódł wzrokiem po trawie.

– Co się stało? – spytał Morgan. – Zgubiłeś coś, oprócz rozumu?

Errki znów dotknął wszystkich kieszeni po kolei.

– Możesz ode mnie dostać papierosa, jeśli masz ochotę zapalić.

– Fiolka – wymamrotał Errki, rozglądając się.

– Jaka fiolka?

– Z pastylkami.

– Łykasz prochy? Gdzie je zgubiłeś?

Errki nie odpowiedział. Kołyszając głową, w myślach odtwarzał drogę przebytą w lesie.

– Bierzesz leki przeciw psychozie? Dobrze, trudno, zgubiłeś je. Teraz będziesz musiał poradzić sobie bez nich. Chyba ci nie odbije, co?

Odbije. Nestor znów zaczął wydawać z siebie buczący dźwięk, jak kabel elektryczny pod wysokim napięciem. Używa słów, których znaczenia nie rozumie. Errki wznowił marsz.

– Poza tym chemikalia to jedno wielkie świństwo – mruknął Morgan, zastanawiając się nad zaistniałym problemem i jego konsekwencjami. – Tylko cię uspokajają. Najlepiej zrobi ci whisky – stwierdził.

Errki przystanął i wlepił oczy w bandytę.

– Nazywam się Errki.

– Errki?

– Wpadłem tu tylko z wizytą. Jeśli nie możesz odciąć dłoni, lepiej ją pocałuj.

Znów ruszył. Morgan stał przez chwilę we wrzosach, wpatrując się w idącego przed nim człowieka. Zorientował się, że powinien pełnić funkcję strażnika, a tymczasem posłusznie truchta śladem swojego więźnia jak pies. Errki był silniejszy, dużo szybszy i poruszał się znacznie zwinniej niż on. Role się odwróciły. To Morgan włóki się z tyłu jak stara baba. Nikt nie wiedział, gdzie są, nikt nie przyjdzie mu na ratunek, jeżeli coś się wydarzy. Zacisnął dłoń na kolbie rewolweru. Jeden strzał w udo powinien wystarczyć. Gdy tylko zrobi się ciemno, sam ruszy przed siebie. Może zwiąże Errkiego, żeby zapewnić sobie przewagę? Facet był odrażający, a jednak miał w sobie coś fascynującego. Oczy. Dziwne komentarze. Atmosfera uroczystej powagi, jaka go otaczała, zupełnie jakby pochodził z

innego świata. Errki był błyskotliwy, może nawet genialny. Morgan słyszał kiedyś, że najczęściej tracą rozum ludzie o najbardziej przenikliwych umysłach.

Nagle zorientował się, że odległość między nimi znacznie wzrosła. Zaniepokojony, przyspieszył kroku. Dokąd właściwie szli? Jak to się wszystko skończy?

– Musimy się teraz zatrzymać. Czas na wiadomości!

Niepotrzebnie mówił tak głośno, jakby starał się podkreślić własną pozycję, jakby nagle ogarnęły go wątpliwości. Errki nie zatrzymywał się. Kołysząc biodrami, kroczył naprzód, zupełnie nie zwracając na niego uwagi.

– Hej, Errki!

Werbel trzasnął i zagrzechotał kilka razy. Mężczyzna trząsł się z wściekłości. Errki zatrzymał się i odwrócił. Nie ma nic bardziej żalosego, jak gdy ktoś traci panowanie nad sobą, pomyślał.

– Nie musisz pokazywać humorów za każdym razem, kiedy każę ci coś zrobić. To ja tu dowodzę.

Nieprawda. Ty tylko masz broń. Errki zacisnął usta.

– Siadaj. Czas na wiadomości. Chcę sprawdzić, co już wiemy.

Dotarli prawie na sam szczyt szerokiej grani. Nieskończenie daleko za nim znajdowała się kolejna grań, porośnięta stonowaną zielenią i pogrążona we mgle. Morgan szperał w torbie, szukając radia, potem przez dłuższą chwilę nastawiał antenę. Errki położył się na wznak we wrzosach i zamknął oczy.

– Na leżąco wyglądasz zupełnie jak duch.

Morgan próbował wziąć się w garść. Przyglądał się Errkiemu z prawdziwym zdumieniem.

– Słońce nie zachodzi ani na chwilę, a ty jesteś taki blady. Dlaczego? – zachichotał. – Moim zdaniem mieszkasz w innym świecie, w którym jest cholernie ciemno, prawda?

Znalazł lokalną stację i bębnił niecierpliwie palcami, gdy cichły ostatnie takty orkiestry wojskowej.

„Teraz nadajemy wiadomości. – Zaszleściła kartka papieru. – Dzisiaj w godzinach rannych dokonano napadu na Fokus Bank. Sprawcą jest mężczyzna w wieku dwudziestu kilku lat. Jego łupem padło prawie sto tysięcy koron. Uciekając z miejsca przestępstwa, wziął zakładnika, którym był jeden z klientów. Użył broni, ale nikt nie został ranny. Policja nie wpadła jeszcze na trop bandyty ani zakładnika, chociaż dysponuje bardzo dobrym rysopisem przestępcy”.

Morgan zmarszczył brwi.

– Bardzo dobrym rysopisem?

„Wyjechali z miasta małym, białym samochodem. Niestety policyjne blokady dróg nie przyniosły rezultatu”.

– Co oni, do jasnej cholery, wygadują? Maskę zdjąłem dopiero wtedy, kiedy zniknęliśmy wszystkim z oczu! – Postawił radio w trawie. – Bezczelnie kłamią!

Zdenerwowany wyjął z kieszeni kapciuch i zrobił sobie skręta. Errki słuchał muchy brzęczącej mu wytrwale nad głową.

„Policja nadal nie ma podejrzanych w sprawie brutalnego zabójstwa siedemdziesięciosześcioletniej Halldis Horn. Zmasakrowane ostrym narzędziem ciało kobiety znaleziono wczoraj rano w pobliżu jej domu. Pod uwagę brany jest motyw rabunkowy, bo zniknęła portmonetka denatki. Zwłoki odkrył bawiący się w okolicy chłopiec”.

Wzrok Morgana stał się nieobecny.

– To jest coś, co uważam za prawdziwą zbrodnię. Widzisz różnicę? W banku nikt nawet nie poczuje, że wziąłem te pieniądze. Są ubezpieczeni. Nikt nie został ranny, na samochodzie nie ma nawet rysy. A na świecie są ludzie, gotowi zabić człowieka dla jednej marnej portmonetki.

Errki nadal wsłuchiwał się w brzęczenie muchy. Był przekonany, że próbuje się do niego dobrać – całe to brzęczenie musi mieć jakiś cel. Irytujące, jak dużo gada ten błazen Morgan. Nie rozumiał znaczenia słów, konieczności zbierania ich, odkładania na ważną chwilę.

– Kobieta, w dodatku stara! Nic z tego nie rozumiem. To musiał być prawdziwy wariat. – Rzucił okiem na Errkiego. – A zmieniając temat, potrafisz zbudować szałas? Może należałeś kiedyś do skautów, co?

Errki otworzył jedno oko i wpatrywał się w Morgana, który przypominał mu lampę rzucającą przyćmione światło zza cienkiej zasłony.

– W każdym razie musimy znaleźć wodę. Wiesz może, gdzie tu jest jakiś strumyk? Albo małe jezioro?

Nestor kołysał się tam i z powrotem, kucnąwszy, jak zwykle, z podbródkiem opartym na kolanach. Errkiemu zawsze imponowała ta pozycja. Nestor potrafił siedzieć w ten sposób całymi godzinami bez zmęczenia. Płaszcz lekko zatrzepotał kłapą kieszeni. Nie potrafił stanąć prosto ani nawet usiąść, bo nie miał w środku nic oprócz głupich uwag. Chciał tylko pokazać, że jeszcze tam jest i zamierza zostać, dopóki ktoś go nie zabierze.

– Lubisz whisky? Mogę cię poczęstować long Johnem silverem o temperaturze pokojowej.

Morgan zaciągnął się jeszcze raz papierosem i spojrzał prosto przed siebie, drapiąc się w tyłkę, bo podrażniła go jakaś gałązka czy owad. Opędzanie się od insektów sprawiało, że się pocił. Przez chwilę podejrzliwie przyglądał się Errkiemu, leżącemu bez ruchu w trawie.

– Jak możesz tak leżeć i się nie ruszać? – gderał. – Lata ci nad nosem cały rój much.

Nagle rozdeptał niedopałek papierosa w trawie, wstał i podszedł do Errkiego. Schylił się, chwycił go mocno za ramię i potrząsnął.

Leżący wzdrygnął się.

– Nie dotykaj mnie!

– A co? Boisz się, że cię czymś zarażę? Ludzie tacy jak ty zawsze boją się bakterii i zarazków. Może nie? Nie bój się, nic mi nie jest. Wczoraj wziąłem prysznic, a o tobie nawet tego nie można powiedzieć.

Nagły podmuch wiatru sprawił, że Płaszcz zatrzepotał i potoczył się po ziemi. Errki poruszył się przestraszony i podniósł ręce.

– Co się dzieje? – Morgan przyjrzał mu się z uwagą. – Jesteś chory? Nie mogę ci przynieść tych pastylek, ale z ręką na sercu mówię ci, że przyniosłbym, gdybym mógł. Nie mam węża w kieszeni. A co do banku... – przełknął ciężko ślinę. – Może tego nie zrozumiesz, ale napadłem na niego z powodu czystej przyjaźni.

Wypowiedział te słowa z absolutną szczerością. Errki zmieszał się. Facet nadyma się jak balon, a za chwilę jest tak miły, że do rany przyłożył. Wstał i wznowił marsz. Chłopak szedł bardzo szybko i zanim Morgan zdał sobie sprawę, że on w ogóle się poruszył, był już daleko.

– Nie spiesz się, już idę.

Errki kroczył dalej przed siebie, znikając w zaroślach. Morgan słyszał suche, ciche trzaski łamiących się gałązek.

– Zaczekaj. Ta torba wcale nie jest taka lekka, szlag by ją trafił!

Errki nie ustawał. Z piwnicy obserwowały go dwie postaci. Nestor odwrócił głowę. Pewnie dał Płaszczowi dyskretny znak, a ten w odpowiedzi pomachał rękawem. Albo coś knuli, albo podejmowali ważną decyzję. Przyspieszył kroku. Tego właśnie chcieli – zobaczyć, co się stanie. Za sobą słyszał kroki Morgana i jego urywany oddech. Pomyślał o broni, o tym, co może zrobić, o całej potędze pomiędzy niebem i ziemią.

– Errki, do jasnej cholery! Stój, bo strzelam!

Morgan puścił się biegiem. Zorientował się, że lasy są gęste, a Errki za chwilę zniknie mu z oczu. Po prostu przykucnie za jakimś krzakiem albo siądzie bez ruchu, a on przebiegnie obok i nawet go nie zauważy. Poza tym nie miał pojęcia, gdzie jest. Czy znajdzie drogę powrotną do ścieżki, na której zaparkował samochód?

– Słowo daję, że strzelę. Mam dużo kul. Wiesz, co może zrobić kula, jeżeli dostaniesz w nogę? Zmasakruje ci łydkę!

Łydkę? Errki musiał się skoncentrować, żeby przypomnieć sobie, która część ciała nazywa się łydka. Nigdy jej nie widział, bo zawsze znajdowała się z tyłu. Szedł, dopóki nie usłyszał ostrego trzasku i coś nie gwizdnęło mu nad uchem. Kula przeleciała tak blisko, że poczuł towarzyszący jej lekki podmuch. Chwilę później uderzyła w pień drzewa tuż przed nim. Białe drzazgi wyskoczyły z pnia jak włochate kolce. Zatrzymał się.

– No, wreszcie zrozumiałeś. Wiedziałem, że zrozumiesz.

Morgan dyszał jak pies.

– Następnym razem wyceluję w łydkę. Teraz zwolnij. Wkrótce sobie odpoczniemy. Nie myślę już więcej włączyć się dzisiaj po okolicy. Robi się późno.

Errki mocno przygryzł wargę. Coś szybko się przybliżało. Czuł, że jest prawie na miejscu, ale jeszcze nie był na to przygotowany. Obejrzał się i zorientował, gdzie są. Morgan nie wiedział. Ruszył wolniejszym krokiem. Musiał pamiętać o tym, żeby nie drażnić Morgana. Wyobraził sobie ranę w drzewie i taką samą ranę w swoich plecach – cała eksplozja prosto w szpik kostny, skóra zupełnie poszatkowana, krew tryskająca jak z otwartego kurka i wielki skok do wieczności.

Na tę chwilę czekał z utęsknieniem. Ale odsuwał ją na później, kiedy będzie gotów. Czekał na właściwy dzień, na właściwą porę. Czuł, że ona wkrótce nadejdzie. Tak wiele się zdarzyło. Kto wie, czy maszerujący za nim mężczyzna nie został mu przysłany do pomocy. Tak to odbierał: runie prosto w nieskończony wszechświat, wyląduje na ścieżce, która będzie należała tylko do niego. Inni będą go mijać po prawej i po lewej stronie, daleko, jak słabe wibracje w atmosferze, jak lekkie powiewy odpływające w dal. Może jego matka też unosi się w górze z rozpostartymi szeroko rękami jak na skrzydłach, a kryształowe gwiazdy odbijają się w jej czarnych włosach. Pójście w jej ślady będzie jak ciemny dźwięk fletu. Mógł dalej żyć tak, jak żył, ale ktoś zawsze będzie deptał mu po piętach. Jestem zmęczony, pomyślał. Kto nam kazał rozpocząć ten bieg? Kto czeka na mecie? I jak daleko, do cholery, mamy biec? Krew, pot i łzy. Ból, smutek i rozpacz!

Dotarli do zagajnika, za którym kryła się niewielka polana. Morgan wreszcie dogonił Errkiego. Torba wylądowała na ziemi z głuchym łoskotem. Oczy bandyty rozjaśniły się.

– Hej, popatrz! Chatka w sam raz dla nas. Możemy zabawić się w dom. – Wyglądał na zadowolonego. – Jezu, ale się cieszę, że wreszcie wejść do jakiegoś pomieszczenia.

Wyminął Errkiego, kierując się ku drzwiom. Errki spojrzał na ciemną plamę na najwyższym stopniu schodów, na który wylały się jego wnętrzności, gdzie leżały i parowały

od zaledwie dwudziestu czterech godzin. Morgan nie zwrócił na nią uwagi. Szarpnął za zmurszałe drzwi, które zaskrzypiały i otworzyły się powoli. Zajrzał do środka.

– Ciemno i chłodno – poinformował. – Chodź.

Errki nadal stał w trawie przed domem. Próbował sobie coś przypomnieć, ale wyśliznęło mu się to jak gumka recepturka. Od lat doskwierała mu elastyczność myśli.

– W środku jest całkiem fajnie. No, chodź wreszcie.

Morgan wepchnął Errkiego do środka, do izby, która pełniła funkcję pokoju dziennego, gdy chatę zamieszkiwali pasterze, i podszedł do okna.

– Mamy też stawek. Świetnie. Za chwilę sobie popływamy.

Wyjrzał przez zniszczone okno i pokiwał głową. Errki czuł się wyczerpany. Zrobił kilka niepewnych kroków ku sypialni.

– Gdzie idziesz? – spytał Morgan.

Errki otworzył drzwi i patrzył przez chwilę na pasiasty materac, a potem zerwał z siebie kurtkę i koszulkę, i rzucił się na łóżko.

– Jezu, łóżko! – uśmiechnął się Morgan. – No dobra, spoko. Idź się przespać. Przynajmniej będę wiedział, gdzie jesteś.

Errki nie odpowiedział. Pomyślał, że najlepiej byłoby zasnąć, bo dotąd towarzyszyły mu tylko śmierć i nieszczęście, a człowiek nie grzeszy, kiedy śpi. Oddychał równo i głęboko.

– Byłeś pierwszorzędnym przewodnikiem. Pogadamy później.

Na wszelki wypadek skontrolował w sypialni okno, żeby się przekonać, czy Errki mógłby uciec. Szyby były powybijane, ale nienaruszone skrzydło zacięło się na amen. Gdyby chłopak próbował je otworzyć, usłyszałby go.

Morgan wyszedł z pokoju. Kiedy odgłosy jego kroków ucichły, Errki otworzył oczy. Przesunął się trochę na bok, bo leżał na czymś ostrym i twardym. To była broń.

Rozdział 9

Szpital wynurzył się spomiędzy drzew. Widok jego majestatycznej bryły na moment zaparł Sejerowi dech w piersiach. Zjechał na pobocze, zatrzymał samochód i wysiadł. Stał tam przez chwilę, spoglądając na budynek, podziwiając go i jakby słysząc jego krzyk: To poważna sprawa!

Wybudowano go w najwyższym punkcie okolicy. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać szpital psychiatryczny, jakby pragnął zademonstrować każdemu, że droga do zdrowia psychicznego nie jest łatwa. Jeżeli ci, którzy przybyli tutaj pogrążeni w najgłębszej rozpacz, nie wiedzieli tego wcześniej, dowiedzą się, gdy znajdą się w środku tej instytucji-monstrum.

Od jego ostatniej wizyty w tym miejscu minęło wiele lat. Droga prowadząca do niego nadal była kiepska, wąska i dziurawa. Spodziewał się, że ją poszerzono albo przynajmniej wyremontowano, ale nic z tego. Przypomniawszy sobie, kiedy jako początkujący policjant przywiózł tutaj pewną dziewczynę. Znaleźli ją nagą, zamkniętą w damskiej toalecie na dworcu autobusowym. Wyważyli drzwi. Twarz dziewczyny wykrzywił strach. W ręce trzymała rolkę papieru toaletowego. Zaczęła go sobie wpychać do ust, jakby zawierał coś bardzo ważnego, jakieś tajne informacje, które musiała chronić. Dziewczyna patrzyła na jego rękę, która jak szpon zawisała w powietrzu. Trzymał koc, którym chciał ją okryć. Mówił do niej kojącym głosem i chociaż go słuchała, sprawiała wrażenie, jakby jego słowa docierały do niej przez straszliwy zgiełk i musiała wyęczać siły, by cokolwiek zrozumieć. Jej twarz opowiadała własną wersję wydarzeń. Policjant przyszedł wymierzyć jej okrutną karę. Jego słowa, zapewnienia i łagodny głos nie miały żadnego znaczenia. Musiał więc zrobić to, przed czym się wzdragał: użyć siły, żeby ją wyprowadzić. Nadal pamiętał jej krzyk i chude, kościste ramiona.

Wzgórze imponowało, ale z bliska z jego dostojeństwem kontrastował opłakany stan budynku. Czerwone cegły wyblakły i stopniowo nabierały szarawej barwy przypominającej asfalt. Budynek powoli tonął w wieczności. Mimo to robił wrażenie, choćby dlatego że cały skąpany był w słońcu. Sejer wyobraził sobie, że w zimie, gdy drzewa ukażą nagie gałęzie, a wiatr i deszcz zaczną walić w okna, będzie wyglądał jak zamek Drakuli. Nad dachem górowała wieżyczka kryta spatynowaną miedzią. Do ozdobnej fasady nie pasowały wąskie i wysokie okna. Wejście główne z własną klatką schodową zwieńczał stylowy łuk. Obok znajdowało się zwyczajne wejście do szpitala z dużymi szklanymi drzwiami, mogła tam

podjechać karetką i można było wtoczyć do środka nosze.

Sejer wszedł do budynku. Minął recepcję, nie zauważając nikogo.

– Proszę pana! Dokąd pan idzie? – zawołała za nim młoda kobieta.

– Przepraszam. Jestem z policji. Chciałbym porozmawiać z doktor Struel. – Sejer wylegitymował się.

– Musi pan pójść na drugie piętro i tam zapytać.

Podziękował i poszedł na górę. Na pierwszym piętrze zapytał znowu. Tam skierowano go do poczekalni, której okno wychodziło na ogród i lasy. Zakaz podlewania trawy zdawał się nie obowiązywać w tym miejscu, bo trawniki były ciemne i zielone jak aksamit. Może jednak powinni przeznaczać swoje fundusze na coś innego? Przypuszczał, że wygląd trawników nie miał aż tak dużego znaczenia dla ludzi, którzy tu mieszkali. Gdy o tym pomyślał, odwrócił się nagle, ponieważ doznał niepokojącego wrażenia, że ktoś go obserwuje.

W otwartych drzwiach stała kobieta.

– Jestem doktor Struel – przedstawiła się.

Podali sobie ręce.

– Zapraszam do gabinetu.

Poszedł za nią korytarzem do przestronnego pokoju. Zaproponowała mu miejsce na kanapie. Usiadł w powodzi słonecznego światła i natychmiast zaczął się obficie pocić. Lekarka podeszła do okna i stała tam przez chwilę odwrócona do niego plecami. Patrząc na trawnik, dotykała liści oklapniętej rośliny doniczkowej, której najwyraźniej to miejsce nie służyło.

– A więc – powiedziała, zwracając się w jego stronę – to pan szuka mojego Errkiego? Mój Errki. Było coś bardzo wzruszającego w jej słowach. Ani śladu ironii.

– Czy tak go pani postrzega?

– Nikt inny go nie chce – odpowiedziała z prostotą. – On jest mój. To mój obowiązek, moja praca. Bez względu na to, czy zabił tę kobietę, czy nie, i tak jest mój.

– Z kim pani rozmawiała w tej sprawie?

– Z posterunkowym Gumnem. Telefonował do mnie. Ale trudno mi w to uwierzyć – wyjaśniła. – Mówię to panu od razu, żeby pan wiedział, jakie jest moje zdanie. Niech jakiś czas powałęsa się po okolicy, to sam wróci.

– Nie sądzę, żeby po tym, co zaszło, mógł sam wrócić.

Poważny ton jego głosu sprawił, że zaczęła podejrzewać, iż coś jest nie tak.

– Nie rozumiem. Czy coś mu się stało?

– Co pani powiedział posterunkowy Gurvin?

– Opowiedział mi o morderstwie w Finnemarce, o tym że Errkiego widziano w pobliżu domu w krytycznej chwili, jak się wyraził.

– Nie tylko w pobliżu. Był też w środku. Dlatego sama pani rozumie, że musimy go znaleźć. To bardzo odludne miejsce.

– Errki lubi się włóczyć po lesie. Stara się unikać ludzi i ma ku temu dobre powody.

Wypowiadała się bardzo lakonicznie. Sejer poczuł, jak coś wzbiera w jego wnętrzu. Irytacja.

– Proszę mi wybaczyć arogancję – powiedział powoli – ale ja naprawdę muszę brać pod uwagę możliwość, że chłopak jest winny. To okrutna i bezsensowna zbrodnia, bo na razie wygląda na to, że z jej domu zginęła tylko portmonetka i kilkaset koron. Ktokolwiek to zrobił, jest nadal na wolności. Ludzie mieszkający w okolicy boją się.

– I zawsze winien jest Errki – powiedziała cicho.

– Powtarzam, że widziano go w pobliżu domu Halldis, a przecież ona mieszkała na uboczu. Tam naprawdę nie roi się od ludzi. Ponieważ jednak jest chory umysłowo, nie możemy wykluczyć, że miał coś wspólnego z jej śmiercią.

– To znaczy, że jest bardziej podejrzany ze względu na swoją chorobę?

– Ja tego nie...

– Myli się pan. Kradnie tylko drobiazgi po sklepach. Czekoladę i tym podobne rzeczy.

– Krąży o nim sporo różnych plotek.

– No właśnie. To wszystko są tylko plotki.

– I nie mają zupełnie żadnych podstaw? Czy tak pani sądzi?

Nie odpowiedziała.

– Ale to dopiero połowa historii – mówił dalej. – Dzisiaj rano był napad na bank. Napad z bronią w rękę na Fokus Bank.

Roześmiała się.

– Jestem przekonana, że Errki nie potrafi zrobić nic, co wymagałoby aż takiego wysiłku. Właśnie stracił pan swoją wiarygodność.

– Jeszcze nie skończyłem – burknął. Nie spodobała mu się ostatnia uwaga kobiety. – Napadu na bank dokonał młody mężczyzna, prawdopodobnie trochę młodszy od Errkiego. Nosił ciemne ubranie i kominiarkę, co oczywiście oznacza, że jeszcze go nie zidentyfikowaliśmy. Ale największy problem polega na tym, że wziął zakładnika. Kogoś, kto był w banku. Grożąc bronią, zabrał go do samochodu i uciekł. Zakładnika zidentyfikowano jako Errkiego Johrmę.

Doktor Struel zaniemówiła. Czuł jej zakłopotanie.

– Errkiego? – wyjąkała. – Bandyta wziął go jako zakładnika? Nie wie pan, gdzie są?
– Niestety nie. Zorganizowaliśmy blokady dróg. Uważamy, że uciekli białym renault megane skradzionym wczoraj wieczorem. Najprawdopodobniej już dawno gdzieś go porzucili, ale jeszcze nie udało się nam go odnaleźć. Nie wiemy, kim jest bandyta ani czy jest niebezpieczny. Ale w banku użył broni. Strzelił, prawdopodobnie żeby wzbudzić strach. Sprawia wrażenie niezrównoważonego.

Usiadła, wzięła coś ze stołu i ścisnęła w dłoni.

– Jak mogę panu pomóc? – spytała cicho.

– Chciałbym wiedzieć, jakim człowiekiem jest Errki.

– To nam zajmie całą noc.

– Nie mam aż tyle czasu. Proszę mi powiedzieć, dlaczego uważa pani, że nie mógł zabić tej kobiety. Od jak dawna jest pani pacjentem?

– Jest u nas od czterech miesięcy, ale długo przebywał w innych instytucjach. Dokumentacja jego choroby jest dość obszerna.

– Czy kiedykolwiek zdradzał skłonność do przemocy?

– Wie pan – mówiła – prawda jest taka, że niezwykle dba o własne bezpieczeństwo. Robi się agresywny tylko w sytuacji, kiedy naprawdę zostanie przyparty do muru. Dlatego nie rozumiem, jak jakaś starszka mogła go rozwścieczyć albo sprowokować tak bardzo, by mógł ją skrzywdzić.

– Nie wiemy, co między nimi zaszło ani co zrobiła ofiara. Wiemy tylko, że kobieta nie żyje i że zginęła jej portmonetka.

– To zdecydowanie nie w stylu Errkiego. On tylko bierze czekoladę lub słodycze. Nigdy pieniądze.

Sejer westchnął.

– To miło, że pani w niego wierzy. Chłopak pewnie potrzebuje tego bardziej niż inni ludzie. I tylko pani bierze jego stronę?

– Proszę posłuchać. – Wpatrywała się w niego. – Nie jestem zupełnie pewna i nie znoszę tego rodzaju nadmiernej pewności siebie. Ale uważam za swój obowiązek wierzyć w niewinność Errkiego. Prędzej czy później będę musiała mu powiedzieć, co myślę. Kiedy usiądzie u mnie na kanapie, o tu, gdzie pan teraz siedzi, i zapyta mnie: Myśli pani, że to zrobiłem?

Doktor Struel miała około czterdziestu pięciu lat, jasną cerę i zdecydowane rysy, podkreślane przez krótko ścięte włosy z długą, równą grzywką. Jej twarz była zaskakująco kobieca jak na tak silną osobowość. Pełne policzki pokrywał delikatny meszek. Sejer

zauważył go w świetle słońca, którego jaskrawe promienie wpadały przez okno. Nosila dzinsy i białą bluzkę przepoconą pod pachami. Przyglądała włosy dłonią, by odsunąć kosmyki z oczu, ale one znowu opadły jak fala w kolorze blond.

Sejer wyprostował się na kanapie.

– Chciałbym obejrzeć jego pokój.

– Jest na parterze. Pokażę panu. Ale najpierw proszę mi powiedzieć, jak zginęła tamta kobieta.

– Została ugodzona motyką.

Doktor Struel skrzywiła się.

– Errki nie mógł zrobić czegoś takiego. Jest bardzo zamknięty w sobie.

– Coś takiego może powiedzieć tylko osoba, która w niego wierzy albo czuje się za niego odpowiedzialna. – Wstał i otarł pot z czoła. – Przepraszam, ale słońce bardzo daje mi się we znaki. Czy mógłbym się przesiąść?

Skinęła głową, a on podszedł do fotela przy jej biurku. Po drodze zauważył ropuchę. Zdawała się drzemać za stosem papierów. Była duża i tłusta, szarobrazowa na grzbiecie i jaśniejsza na brzuchu. Oczywiście nie ruszała się, bo nie była prawdziwa. Sejer nie zdziwiłby się jednak, gdyby zaczęła skakać, bo wyglądała zupełnie jak żywa. Zaintrygowany, podniósł ją. Doktor Struel obserwowała go i uśmiechnęła się, gdy położył sobie płaza na dłoni. Mimo wysokiej temperatury panującej w pokoju ropucha była zimna. Ścisnął ją ostrożnie. Wewnątrz znajdowała się galaretowata substancja, która pozwalała nadawać ropusze różne kształty. Ostrożnie zaczął się nią bawić. Najpierw wcisnął galaretę w cienkie nogi. Ropucha natychmiast zdeformowała się i zaczęła przypominać potwora. Ugniatał ją, czując, jak powoli rozgrzewa się w jego dłoni.

Bladozielone oczy ropuchy z czarną smuzką wpatrywały się w niego. Grzbiet miała pomarszczony i szorstki, ale poniżej skóra była gładka. Zaczął miedlić jej brzuch, przeciskając żel do przedniej części ciała. Teraz wyglądała jak szeroki w ramionach atleta z wypukłą klatką piersiową.

Potem spróbował czegoś innego. Wcisnął żel do żołądka, tak że zwiotczała głowa zwisała luźno na bok, jak kawałek naciągniętej skóry. Odłożył ropuchę na biurko. Galaretowata substancja nie wróciła do pierwotnego kształtu, jak się tego spodziewał. Z powrotem wziął płaza do ręki i jak najlepiej potrafił, starał się nadać mu pierwotny wygląd. Kiedy uznał, że zabawka znów przypomina ropuchę, odłożył ją na miejsce.

– Sprytne – powiedział.

– Przydatne – odpowiedziała doktor Struel, wodząc palcem po grzbiecie ropuchy.

– Do czego służy?

– Do ugniatania, właśnie tak, jak pan to zrobił. Sposób, w jaki ludzie się z nią obchodzą, mówi mi wiele o tym, kim są.

Pokręcił głową.

– Nie wierzę w takie rzeczy.

Posłała mu prawie matczyzny uśmiech.

– A jednak. Dzięki niej wiem, jak ludzie podchodzą do pewnych spraw. Pan również. Słuchał z powątpiewaniem, ale jednocześnie zaintrygowały go słowa kobiety.

– Podniósł pan ropuchę bardzo ostrożnie i zawahał się chwilę przed ściśnięciem. Kiedy zaczęła zmieniać kształt, wypróbował pan po kolei wszystkie możliwości. Wielu ludzi uważa, że to obrzydliwe, ale pan nie. Przechylił pan głowę na bok i zajrzał jej w oczy, z czego wywnioskowałam, że bez uprzedzeń i z empatią traktuje pan niespodzianki, jakie niesie z sobą życie. Ugniatął ją pan ostrożnie, prawie czule, jakby obawiając się, że pęknie. Nie pęknie, a przynajmniej tak twierdzi producent, pod warunkiem, że nie ma się piekielnie ostrych paznokci. Skończył pan zabawę stosunkowo szybko, jakby uważając, że mogłoby się to przerodzić w coś niebezpiecznego. Na koniec, co nie znaczy, że to najmniej istotne, zanim odłożył ją pan na dobre, starał się uformować tak, by uzyskała początkowy kształt.

Przerwała na chwilę i rzuciła baczne spojrzenie.

– Wnoszę z tego, że jest pan ostrożny, ale także ciekawy świata. Jest pan trochę staroświecki i obawia się nowych, nieznanych kształtów. Lubi pan, żeby wszystko wyglądało tak, jak powinno, i dawało się poznać.

Sejer roześmiał się niepewnie. Głos kobiety sprawił, że dziwnie złagodniał i sam poczuł się lekko galaretowaty.

– Za pomocą ropuchy, tysięcy różnych drobiazgów, gier i zabaw, a przede wszystkim mając do dyspozycji trochę czasu, mogę dowiedzieć się o panu więcej, niż pan sam wie o sobie.

Na pewno nie brakuje jej pewności siebie, pomyślał.

– Czy Errki ją widział? – zapytał.

– Oczywiście. Zawsze ją tu trzymam.

– Co z nią zrobił?

– Powiedział: „Proszę się pozbyć tego obrzydliwego, szkaradnego zwierzęcia, bo odgryzę mu głowę i rozsmaruję całą zawartość po biurku”.

– Uwierzyła mu pani?

– Nigdy nie skłamał.

– Ale mówi pani, że nie jest impulsywny?

Nagle kobieta chwyciła ropuchę i zaczęła ją z całej siły szarpać za nogi. Wyciągnęły się jak gumki, a widok ten niemal sprawił Sejerowi przykrość. Potem powiązała je parami – najpierw przednie, a potem tylne. Wreszcie odłożyła zwierzę na swoje miejsce na biurku. Z bólem patrzył na bezradną ropuchę. Kiedy kobieta ujrzała wyraz twarzy Sejera, wybuchnęła śmiechem.

– Pokażę panu pokój Errkiego.

– Nie rozwiąże jej pani? – zapytał zaniepokojony.

– Nie – odparła, posyłając mu przekorny uśmiech.

Ogromna fala wezbrała w jego wnętrzu. Zdumiał się jej rozmiarami.

Pokój Errkiego był umeblowany skromnie – łóżko, komoda, umywalka i lustro zasłonięte kawałkiem gazety. Może Errki nie miał ochoty patrzeć na siebie. Wysokie i wąskie okno było otwarte. Poza tym pomieszczenia nie ozdabiała żadne przedmioty. Pusta podłoga i ściany.

– Przypomina mi to naszą ofertę – powiedział zamyślony Sejer. – Celę.

– Z tym, że u nas nie zamyka się drzwi na klucz.

Wszedł do środka i oparł się o ścianę.

– Dlaczego wybrała pani psychiatrię?

Przestudiował jej wizytówkę z nazwiskiem. Dr S. Struel. Zastanawiał się, co kryje się za literą „S”. Może Solveig. Albo Sylwia?

– Dlatego – zaczęła, zamykając oczy – dlatego że zwykli ludzie. .. – wypowiedziała słowo „zwykli” jak obelgę. – Mam na myśli tych, którzy odnoszą sukcesy, dobrze przygotowanych, dobrze zorganizowanych ludzi, którzy przestrzegają wszystkich zasad, którzy osiągają swoje cele bez wysiłku, którzy potrafią się zachować w towarzystwie, którzy bez najmniejszej trudności znajdują drogę, którzy dostają się tam, gdzie chcą się dostać, którzy kupują to, co chcą... czy tacy ludzie mogliby mnie czymś zainteresować?

Pytanie zostało sformułowane w tak zabawny sposób, że Sejer nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Wszyscy ciekawi ludzie na świecie to nieudacznicy – powiedziała. – A raczej ci, których my nazywamy nieudacznikami. Każdy typ odchylenia zawiera element buntu. Ja nigdy nie potrafiłam zrozumieć jego braku.

– A pani? – zapytał nagle Sejer. – Czy nie jest pani jedną z tych odnoszących sukcesy i dobrze zorganizowanych osób? Czy buntuje się pani?

– Nie – przyznała. – I nie mogę tego zrozumieć, bo w głębi duszy czuję rozpacz.

– Rozpacz? Pani?

– A pan nie? – Rzuciła mu baczne spojrzenie. – Nie można na tej ziemi być światłym, inteligentnym, zaangażowanym człowiekiem i jednocześnie nie odczuwać przejmującej rozpacz. To po prostu niemożliwe.

Czy odczuwam przejmującą rozpacz? zastanawiał się Sejer.

– Poza tym w naszym społeczeństwie najlepiej sobie radzą właśnie w pełni ukształtowane osobowości – mówiła. – Zdrowi, absolutnie pewni siebie i konsekwentni ludzie. Rozumie pan, ludzie o silnym charakterze!

Nie mógł już ani chwili dłużej powstrzymać śmiechu.

– Tutaj jest miejsce na bunt i nie boimy się kłopotów. Nie boimy się też porażek. Znów odsunęła grzywkę z twarzy. – Prawdopodobnie nie mogłabym funkcjonować w żadnej innej społeczności niż ta.

Zafascynowało go to, że tak otwarcie wyraża swoje myśli, mimo że był dla niej zupełnie obcym człowiekiem. Jednocześnie wcale nie czuł się tutaj obcy.

– A jak jest u pana w pracy? – zapytała.

– U mnie w pracy? – Zastanowił się przez chwilę. – U mnie w pracy mamy porządek, hierarchię służbową i dużo okropnych ludzi o bardzo silnych charakterach. – Spróbował zmienić nastrój rozmowy, który stawał się trochę zbyt wesoły. – Niewiele miejsca na improwizację i fantazję. Praca polega przeważnie na poszukiwaniu drobiazgów, jak włosy, odciski lub krew. Ślady obuwia albo opon samochodowych. Później dołącza do tego psychologia i mimo że nigdy nie zajmuje wiele miejsca w naszych raportach, jednak jest w nich obecna. Oczywiście to jedyny naprawdę fascynujący element naszej pracy. Gdyby nie on, robiłbym coś innego.

– A ludzie, których zgarniacie z ulicy i zamykacie w klatkach?

Spojrzał na nią skonsternowany.

– Niezupełnie tak byśmy to opisali.

Teraz próbuje mnie sprowokować, pomyślał. Może tak bardzo przyzwyczała się do buntowników, że nie sądzi, by musiała stosować się do zwykłych zasad kurtuazji.

– Wolałbym wysłać ich gdzie indziej – odparł spokojnie.

Zafascynowała go ta kobieta – jej szeroka, jasna twarz i ciemne oczy z jasnymi obwódkami wokół źrenic – tak bardzo, że zaczął obawiać się tego, z czego jeszcze może jej się zwierzyć.

– Jeżeli znalazłoby się dla nich jakieś inne miejsce – mówił dalej. – Mimo wszystko nigdy nie trafiają dalej niż... do klatek.

– Czy obchodzi pana los takich ludzi? – spytała.

Musiał sprawdzić, jaki ma wyraz twarzy, bo znów się z nim przekomarzała.

– Tak, obchodzi, chociaż mam dla nich niewiele czasu. Poza tym nie jestem strażnikiem więziennym. Ale wiem, że strażnicy dbają o nich.

– Ach, tak – ironizowała. – Przypuszczam, że nasze więzienia należą do najbardziej humanitarnych na świecie.

– Humanitarnych? – nie mógł powstrzymać ostrego tonu. – Więźniowie narkotyzują się. Uciekają przez okna, łamią sobie nogi, a nawet karki. Wariują, gwałcą się nawzajem, zabijają innych więźniów i popełniają samobójstwa. O jaki humanitaryzm właściwie pani chodzi?!

Wziął głęboki oddech.

– Naprawdę obchodzi pana to, co się z nimi stanie! – uśmiechnęła się.

– Przecież pani mówiłem.

– Musiałam się upewnić.

Oboje zamilkli i po raz kolejny zdumiał się tą dziwną rozmową. Zupełnie jakby doktor Struel brakowało respektu należnego reprezentowanej przez niego władzy, który nakazywał ludziom mówić z szacunkiem albo nie odzywać się wcale.

– Wróćmy do Errkiego – odezwał się w końcu. – Proszę mi o nim opowiedzieć.

– Tylko jeżeli naprawdę to pana interesuje.

– Pewnie, że mnie interesuje!

Wyszła na korytarz.

– Chce mi się pić. Chodźmy do bufetu na colę.

Spostrzegł, że podąża za nią krok w krok. Starał się opanować zamęt w swojej głowie, w piersiach, w żołądku i wszędzie tam, gdzie właśnie się on pojawiał. Sejer niczego już nie był pewny.

Rozdział 10

– Którędy, pani zdaniem, poszedł Errki?

– Przez las.

Doktor Struel wskazała miejsce położone trochę na lewo od Wzgórza.

– Jest tam małe jezioro, które nazywamy Sadzawką, ale już je sprawdzaliśmy. Chyba powędrował dalej i trafił na główną drogę w miejscu, gdzie przechodzi ona pod autostradą. Jeżeli więc widziano go w Finnemarce, ten kierunek wydaje się najbardziej prawdopodobny.

Chwilę później siedzieli w bufecie, popijając colę.

– Czy mogłaby pani wytłumaczyć zwykłemu człowiekowi, czym faktycznie jest psychoza? – zapytał Sejer.

– A czy pan jest zwykłym człowiekiem?

W tonie jej głosu pobrzmiwała nuta ironii i nie był całkiem pewny, czy powinien zinterpretować pytanie jako komplement, czy też jako coś wprost przeciwnego. Zakłopotany, zaczął się bawić telefonem komórkowym przyczepionym do paska.

– Pod pewnymi względami to niemożliwe ze względu na poziom abstrakcji – odparła cicho. – Ja uważam ją za pewien rodzaj schronienia. Chodzi o to, że w pewnej chwili wszystkie normalne mechanizmy obronne człowieka zupełnie się załamują. Dusza otwiera się tak szeroko, że każdy może wejść do środka. Nawet najbardziej niewinne próby kontaktu odbierane są jak wrogi atak. Errki znalazł sobie takie schronienie. Próbuje przeżyć, wypracowując sobie pewną strategię, coś w rodzaju siły korygującej, która stopniowo przejmuje nad nim całkowitą kontrolę. Ogranicza jego wolność i możliwość dokonywania własnych wyborów. Rozumie pan coś z tego?

Upiła łyk coli i otarła usta grzbietem dłoni.

Skinął głową.

– Czy chce się spod niej wyrwać?

– Chyba nie i na tym polega problem. Musi pan wiedzieć, że wszystkie odmiany tej choroby mają swoje plusy. Są jak osoby, które nas rozpieszczają, kiedy leżymy w łóżku z gorączką. To bywa nawet dość miłe.

Łatwo powiedzieć, pomyślał.

– Jak bardzo chory jest Errki? – zapytał głośno.

– Ma sporo problemów, ale przynajmniej nie leży w łóżku. Je posiłki i zażywa lekarstwa. Innymi słowy, współpracuje.

– A... schizofrenia? Co to jest?

– Tak ją nazywamy, bo jesteśmy bezradni. Bardzo wygodnie mieć nazwy na różne zjawiska. Mamy z nią do czynienia, kiedy psychoza trwa już przez jakiś czas. Powiedzmy, przez kilka miesięcy.

– Czy Errki od dawna choruje?

– Należy do tych, których wszyscy spisali na straty. Wędruje z miejsca na miejsce jak uszkodzony towar. – Westchnęła ciężko. – Jeżeli rzeczywiście zabił tamtą kobietę, obawiam się, że nie ma dla niego nadziei. Nikt więcej mu nie pomoże. W każdym razie nie tak, jak ja chciałabym mu pomóc.

– Co pani wie o przyczynach jego choroby? – Spojrzał na nią, podnosząc szklankę do ust.

– Niewiele. Chociaż mam swoje teorie.

– Czy może mi pani o nich opowiedzieć?

– Często się zastanawiam, czy jego choroba ma jakiś związek ze śmiercią matki.

– Krążą plotki, że to on ją zabił – wtrącił szybko Sejer. Trochę zbyt szybko.

– Słyszałam o nich. On sam je rozpuszcza.

– Dlaczego?

– Bo uważa, że to prawda.

– A pani nie?

– Wolę nie mieć uprzedzeń. Każdemu trzeba dać szansę – stwierdziła ze zdecydowaniem.

Tak, pomyślał. Mnie też trzeba dać szansę. Ale pewnie z niej nie skorzystam, nawet gdyby mi wpadła prosto w ręce. Nie nosi pierścionka, ale to nic nie znaczy. Dawniej, kiedy kobiety wysyłały bardziej jednoznaczne sygnały, łatwo mogłem odróżnić te, które chciały się umówić. Tak było z Elise. Długie, smukłe palce, bez obrączki... Co się ze mną dzieje? – zdumiał się nagle Sejer.

– Jak zginęła? – zapytał.

– Spadła ze schodów.

– Nie zepchnął jej?

– Miał tylko osiem lat.

– Ośmiolatki bez przerwy się popychają i potracają. Przypadkiem albo podczas zabawy. Errki był wtedy w domu, prawda?

– Widział, jak to się stało.

– Byli jacyś inni świadkowie?

– Nie.

– Co właściwie pani wie o tym wypadku?

– Prawie nic. Siedział na schodach, kiedy przybyła pomoc. Chyba siedział tam dość długo, bo nie mógł się ruszyć. – Z kieszeni bluzki wyciągnęła paczkę papierosów Prince Lights. – To zdarzyło się dość dawno temu.

– Jeszcze jedna rzecz. Posterunkowy Gurvin wspominał, że Errki wyjechał na jakiś czas do Ameryki.

– Przez siedem lat mieszkał w Nowym Jorku z ojcem i siostrą. Regularnie przyjeżdżali do Norwegii, na Boże Narodzenie i tak dalej.

– A... czy to prawda, że miał tam kontakt z dość niezwykłą osobą?

Uśmiechnęła się nagle.

– Tego nie zdołałam sprawdzić. Rozmawiałam z jego ojcem, ale przyznał, że niezbyt interesował się tym, co Errki robił w wolnym czasie. Miał lepszy kontakt z córką. W odróżnieniu od Errkiego, doskonale sobie radziła i nie sprawiała kłopotów. Ale myśli pan pewnie o tym magiku, prawda?

– Może to on nakładł mu do głowy jakichś dziwnych pomysłów.

– Myślę, że Errki sam miał ich aż nadto. Chociaż takie spotkanie raczej mu nie pomogło. Najgorsze że...

Zamilkła i wbiła wzrok w swoją cełę. Sejer wiedział, że zastanawia się, czy powinna mówić dalej, czy przypadkiem nie przekracza jakiejś granicy.

– Najgorsze jest to, że czasami zastanawiam się, czy ten chłopak naprawdę nie ma takich zdolności – powtórzyła. – Mam wrażenie, że on widzi więcej niż my. Koncentruje się, a po chwili dzieją się wokół niego dziwne rzeczy. Widocznie wprawia przedmioty w ruch siłą woli, bo nie mogę tego wyjaśnić inaczej.

No właśnie. Nie przypuszczał, że doktor Struel powie coś takiego.

Zmarszczył brwi. Zaczęła mu się podobać, a tu się okazuje, że jest trochę stuknięta. Wcale nie jest rozsądną i inteligentną kobietą, za jaką ją dotąd uważał. A było tak blisko!

– Proszę mówić dalej – powiedział.

Wbiła wzrok w posąg stojący na zewnątrz – w nagą dziewczynę na klęczkach, spoglądającą gdzieś poza teren szpitala.

– Opowiem panu o pierwszej sesji, jaką odbyłam z Errkim. Wszystkich naszych pacjentów przydzielamy zarówno do konkretnego terapeuty, jak i do grup terapii zbiorowej. Zbliżała się pora naszej pierwszej sesji. Pokazałam mu, gdzie się spotkamy, i siedziałam w gabinecie, żeby zobaczyć, czy przyjdzie na czas. Pojawił się punktualnie. Pokazałam mu

miejsce na kanapie pod oknem, on usiadł, a właściwie to rozsiadł się i nic nie mówił. Nie widziałam jego oczu. W pokoju było cicho. Taka chwila ma w sobie coś magicznego. Pierwsza sesja, pierwsze słowa.

Mówiła cicho i bardzo powoli. Sejer poczuł, jak wciąga go tok jej rozumowania, zupełnie jakby znalazł się razem z nimi w gabinecie.

– „Mamy dokładnie jedną godzinę, zaczęłam. Dzisiaj ty decydujesz, jak ją spędzimy”. Nie odpowiedział. Nie próbowałam przerywać ciszy, bo nie boję się milczenia. Chorzy na schizofrenię mają pewną wspólną cechę: podczas pierwszej sesji mówią niewiele albo wcale się nie odzywają. Czasem też podczas drugiej. Wydawał się odprężony, zupełnie jakby odpoczywał. Ani śladu zdenerwowania czy zaniepokojenia. Po pewnym czasie postanowiłam opowiedzieć mu o sobie.

– Co pani mówiła? To wolno pani mówić o sobie?

– Oczywiście, ale w pewnych granicach. – Jej głos zmienił się, jakby recytowała litanie. – Muszę być dociekliwa, ale bez wycieczek osobistych. Zaangażowana, ale nie mogę naruszać prywatności. Zdecydowana, ale nie ostra czy apodyktyczna. Współczująca, ale nie sentymentalna. I tak dalej. Powiedziałam Errkiemu, że celem naszych spotkań, jego i moich, będzie odkrycie języka zrozumiałego tylko i wyłącznie dla niego i dla mnie. Nikt inny nie będzie mógł go rozszyfrować. Mówiąc „nikt inny”, miałam na myśli głosy w jego wnętrzu, które nim kierują i unieszczęśliwiają go. Powiedziałam, że możemy znaleźć sposób porozumiewania się i że to będzie nasz sekret. Nasz szyfr. Tak więc, jeżeli chciałby mi coś powiedzieć, będzie mógł to wyrazić szyfrem. I ja zrozumiem, pod warunkiem że da mi trochę czasu. Moim zadaniem będzie złamanie tego szyfru. – Przerwała, żeby zaczerpnąć tchu. – Nie ruszał się. Mijały minuty, a ja czekałam na jakiś znak od niego. Przypuszczam, że zapadłam w jakiś rodzaj odrętwienia. Jego obecność była w pewien sposób kojąca. Siedział tam, jakby cały pokój stał się jego własnością. Kiedy wreszcie wstał, aż podskoczyłam. Nie patrząc na mnie, podszedł do drzwi. To niezgodne z zasadami, więc zatrzymałam go. Ale on tylko się odwrócił i wskazał na lewy nadgarstek, chociaż nie nosił zegarka. Godzina minęła. Nie mam w gabinecie zegara ściennego, ale miał rację. Minęło dokładnie sześćdziesiąt minut.

– Co pani zrobiła? – spytał Sejer.

Roześmiała się cicho.

– Spróbowałam niewinnej sztuczki. Powiedziałam mu z uśmiechem, że zostało jeszcze pięć minut. Wtedy z jego ust padło pierwsze słowo. Pierwsze słowo, jakie kiedykolwiek do mnie wypowiedział: „kłamca”.

Sejer wyjrzał przez okno bufetu na zielony trawnik. Stwierdził, że zrobiło się późno,

że powinien zaraz wracać do komisariatu. Odkąd tu przyjechał, nie odebrał ani jednego telefonu. Może Errkiego i bandytę już znaleziono, podczas gdy on siedział tutaj, zatracając się w psychiatrii i jej sekretach. Albo w doktor Struel i we wszystkim, co mogło się wydarzyć w przyszłości odmiennej od tej, którą dotąd dla siebie planował.

– Później – kontynuowała – zrobiłam w dzienniku notatkę. Jeden do zera dla Errkiego.

– Jak, pani zdaniem, zareagowałby Errki, gdyby poczuł, że coś mu grozi?

Spojrzała na niego i wyraz jej twarzy zmienił się. Zaniepokoiła się losem swojego podopiecznego.

– Wycofałby się, jak można najgłębiej. Przyjąłby pozycję obronną.

– Ale gdyby nie mógł się cofnąć ani o krok dalej? Gdyby czuł się wystarczająco zagrożony albo sprowokowany? Co by wtedy zrobił?

– Próbowałam panu powiedzieć wcześniej, ale nie wziął pan tego na serio. Ukąsi, żeby się obronić.

– Ukąsi? Gdzie?

– Tam, gdzie będzie mógł.

Errki spał. Morgan stanął w wejściu i przyglądał mu się. Nierówna czerwona blizna ciągnęła się od gardła Errkiego aż po pępek. Nieładnie się zagoiła. Mężczyzna zastanawiał się nad tym przez chwilę, ale nie potrafił wymyślić żadnego sensownego wyjaśnienia, co mogło spowodować tak nieestetyczną szramę. Wpatrywał się w niego, chociaż przyszedł po to, żeby go obudzić. Wcześniej dość długo siedział samotnie na starej kanapie w pokoju gościnnym i słuchając radia, gapił się bezmyślnie w przestrzeń. W wiadomościach nie podano żadnych nowych szczegółów. Powiedzieli, że ukradł sto tysięcy koron. Przeliczył pieniądze i okazało się, że mają rację.

Nie ruszał się. Patrzenie na śpiącego mężczyznę miało w sobie coś intymnego. Patrzenie na śpiącą dziewczynę byłoby zupełnie inne. Przynajmniej tak uważał. Errki oddychał lekko, powieki mu drżały, jakby coś mu się śniło. Czarna kurtka i T-shirt leżały beładnie na podłodze. Po co miałbym go budzić? myślał Morgan. Dlaczego stoję w miejscu jak samotny szczeniak, jakbym potrzebował towarzystwa? Równie dobrze mógłby zostać tutaj. Nie odzywa się i jest tak zajęty swoim własnym pokręconym wnętrzem, że nie słyszy, co mówię. Ale kiedy śpi, wygląda jak wszyscy inni.

Zastanawiał się, czy szaleństwo towarzyszy mu też w takich chwilach i czy jego sny są tak samo zwariowane. Może jednak miał gdzieś puste miejsce, w którym wszystko było normalne. Miejsce, którego nie akceptował.

Nagle wzdrygnął się. Errki bez żadnego uprzedzenia otworzył oczy. W ułamku sekundy zupełnie się rozbudził. Nie poruszył się wcześniej jak zwykli ludzie, nie przewrócił się, nie chrząknął i nie stęknął. Po prostu otworzył oczy. Były zaskakująco duże, dopóki nie skupiły się na Morganie. Wtedy zwęziły się w szparki.

– Co sobie zrobiłeś w brzuch? – słowa wyśliznęły się z ust Morgana. – Mnie to wygląda na spartaczone harakiri.

Errki nie odpowiedział. Dwóch mieszkańców piwnicy przepychało się, żeby zająć swoje miejsca. Czasami byli niemożliwie niemrawi.

– Potrzebuję towarzystwa – stwierdził Morgan. Pomyślał, że lepiej być szczerym. – Robi się późno. Napijmy się whisky.

Errki powoli zwlókł się z łóżka. Nic się nie wydarzyło. Naciągnął przez głowę koszulkę, spojrzął na broń Morgana i poszedł za nim do pokoju dziennego. Mężczyzna ustawił radio na parapecie i wysunął antenę przez rozbite okno. Mimo ciepłego wieczora, we wnętrzu starej chaty panował przyjemny chłód. Nad lasami unosiła się mgiełka. Woda w jeziorze migotała.

– Jestem głodny – powiedział Morgan. – Dlatego napiję się whisky.

Wydobył z torby butelkę i odkręcił ją. Errki czekał i patrzył spod spuszczonej powiek, jakby nad czymś rozmyślał.

– Whisky jest dobra na wszystko – stwierdził Morgan, dziwiąc się skupionemu spojrzeniu Errkiego. Zupełnie jakby wiedział coś szczególnego, coś bardzo ważnego o życiu i śmierci, czego nikt inny nie mógł zobaczyć. – Jest dobra na głód i pragnienie. Na kłopoty w miłości i na nudę. Na rozpacz i na niepokój.

Upił spory łyk. W reakcji na mocny trunek mocno skrzywił twarz.

– Nic nie przebije umiarkowanego alkoholizmu – oświadczył. – Wiesz, o co mi chodzi, kiedy mówię „umiarkowanego”?

Errki wiedział. Morgan otarł usta.

– Piję regularnie i równo. Ale nigdy rano, nigdy za dużo i nigdy, jeżeli wiem, że będę prowadził. Panuję nad sytuacją.

Upił kolejny łyk.

– I jeżeli myślisz, że schleję się w sztok, żebyś mógł uciec, to bardzo się mylisz.

Wyciągnął rękę z butelką, częstując Errkiego. Ten spojrzął z zaskoczeniem. Nie przepadał za alkoholem, ale czuł mdłą pustkę w środku i jeżeli nie mieli nic więcej, nie musiał wybierać. Tak, mieli tylko butelkę whisky. I wcale się o nią nie prosił. Została mu narzucona. Przez chwilę studiował etykietkę, potem obrócił butelkę. Powąchał otwartą szyjkę.

– No dalej, przecież to nie trucizna.

Errki przyłożył butelkę do ust i przełknął trochę płynu. Whisky płynęła mu do gardła, nie powodując łzawienia oczu. Nieznane uczucie ciepła rozeszło się po brzuchu. Najpierw zapiekło go w ustach, a potem ciecz spłynęła w dół i wypełniła mu całą pierś. Po chwili poczuł słodycz przypominającą aromatem karmel.

– Dobrze, co? – Morgan uśmiechnął się. – Gdzie mieszkasz? Masz swoje mieszkanie?

Nad jeziorem, pomyślał Errki. Przy parku. Piękna lokalizacja, opłacane przez gminę. Jeden pokój plus kuchnia i łazienka. Na górze mieszka starszy gość, który nocami spaceruje tam i z powrotem. Czasami płacze. Słyszę go, ale nie zwracam uwagi. Gdybym podał mu dłoń i wysłuchał go, dałbym mu nadzieję, ale nie ma żadnej nadziei. Dla nikogo.

– Dlaczego robisz z tego taki sekret? – spytał Morgan, sięgając po butelkę.

– Bo tam cuchnie – odpowiedział cicho Errki.

Mężczyzna aż podskoczył na dźwięk jego głosu.

– Co cuchnie? Twoje mieszkanie? W to akurat jestem skłonny uwierzyć. Ty też cuchniesz. Może czas wyjść na świeże powietrze?

– Surowe mięso cuchnie. Zwłaszcza na takim upale.

– Co ty pleciesz?

– To na stole. Które jem rano na śniadanie.

Twarz Errkiego była śmiertelnie poważna, gdy wypowiadał te słowa. Morgan patrzył na niego podejrzliwie.

– Żarty sobie ze mnie stroisz czy masz halucynacje? Żartujesz, prawda? Zgoda, jesteś szurnięty, ale nie wierzę, że jesz surowe mięso na śniadanie. – Poczuł, jak mimo upału ciarki powoli przebiegają mu po grzbiecie. Kim był człowiek, siedzący tu przed nim? – Łyknij jeszcze whisky. Może jesteś nie w sosie, bo nie zażyłeś tych swoich prochów? Jakby mnie kto pytał, powiedziałbym, że whisky lepiej ci zrobi.

Usiadł na podłodze i położył broń obok siebie.

– Powiedz mi, kiedy się zorientowałeś, że zaczynasz odlatywać. – Errki spojrzał na niego bacznie i z ukosa. – W książkach piszą, że człowiek wstaje rano, czuje się okropnie, więc podchodzi do lustra i z przerażeniem widzi, że z oczodołów wypływają mu dżdżownice. Z tobą też tak było?

Zachichotał, zakręcając butelkę.

Errki zamknął oczy. Słaby monotony głos dochodził z piwnicy jak ostrzeżenie.

– To nie były dżdżownice – powiedział swoim spokojnym, jasnym głosem. – Tylko chrząszcze. Z błyszczącymi odwłokami. Połyskiwały w słońcu, czarne jak ropa.

Morgan zamrugał oczami z niedowierzaniem.

– Zmyślasz, prawda? Moim zdaniem wszystko dzieje się inaczej. Myślę – mówił w zadumie – że trzeba się dowiedzieć, dlaczego człowiek zaczyna chorować. Tylko dlatego cię o to zapytałem. Może to jest dziedziczne? Czy twoja matka była nieźrównoważona psychicznie?

Errki milczał i słuchał. Słuchał słów, które wysypywały się z ust mężczyzny jak śmieci. Jak mokry papier, jak obierki ziemniaka, fusy po kawie i ogryzki jabłek.

– A ty? – zapytał Errki spokojnie. – Kiedy się zorientowałeś?

– Zorientowałem się w czym? – Morgan przymknął oczy i wyjrzał przez okno. – Niełatwo się z tobą gada. Czy jest coś, o czym można z tobą spokojnie porozmawiać? Ty wybierasz temat. – Westchnął ciężko. – Do zmroku jeszcze daleko.

Kolejna pauza. Errki usiadł na kanapie z podwiniętymi nogami.

– Na świecie toczy się wiele wojen – powiedział w końcu.

– Naprawdę? Chyba masz rację. A może byś mi coś opowiedział o swoim szpitalu? – poprosił mężczyzna błagalnym tonem.

Mógłby to zrobić, pewnie że mógłby. Gdyby miał na to ochotę. Na przykład opowiedzieć o Ragne, która nie mogła pogodzić się z faktem, że urodziła się dziewczyną, i którą zawsze znajdowano okaleczoną w kałuży krwi – albo w łóżku, albo pod prysznicem, bo próbowała odciąć sobie narządy płciowe. Co wcale nie jest takie łatwe, kiedy jest się dziewczyną. Napój gazowany, herbata i kawa, pomyślał Errki. Piwo, wino i wódka. Opowiedzieć wszystko temu idiotcie z kręconymi włosami? Nigdy.

– W porządku, mniejsza o to – powiedział Morgan zrezygnowany. – A może ty jesteś geniuszem? Pięknym, błyskotliwym umysłem? Nie żartuję. Widzę, że jesteś bystry, nawet jeżeli wydajesz się inny.

Errki nie odpowiedział. Ten facet był prawdziwym, żalonym prymitywem.

Morgan westchnął. Znużenie zaczęło mu się dawać we znaki. Errki nie chciał się odzywać, a jego męczyło słuchanie własnego głosu. Poza tym przeważnie bełkotał o niczym. Nie mógł spać. Nie mógł też wypić więcej whisky. Nie był przyzwyczajony do siedzenia w pokoju z innym mężczyzną, który w dodatku nie odpowiadał na pytania. To go denerwowało.

– Na co wydasz pieniądze? – zapytał Errki z autentyczną życzliwością.

– Pieniądze?

– Pieniądze z napadu. Kupisz sobie nintendo? Wszystkie chłopaki chcą mieć nintendo.

Nagle Morgan wstał, podszedł do okna i zaczął wpatrywać się w wodę. Lśniła jak szkło, a jej głęboka, kasztanowata barwa przypominała brąz. Spojrzał na pozbawioną

roślinności wyspę i suche gałęzie jodeł zwieszające się nad wodą. Za chwilę znów nadadzą wiadomości. Pomyślał o samochodzie i zastanawiał się, kiedy ktoś go znajdzie. Wtedy policja zorientuje się, że poszli w góry, do lasu.

– Muszę się odlać – powiedział i wyszedł z pokoju. Wziął ze sobą broń. – Zostań tutaj. Będę na schodach.

Wyszedł na zewnątrz i odetchnął gorącym powietrzem. To była najcieplejsza pora dnia. Tęsknił za ciemnością, która nie chciała przyjść. Dopiero jesienią. Bez sensu, pomyślał z przygnębieniem.

Errki wstał z kanapy i usiadł na podłodze, opierając się o ścianę. Usłyszał szelest strumienia moczu w suchej trawie i cichy odgłos zapinanego zamka błyskawicznego. Whisky promieniowała ciepłem po całym ciele. Chciał jeszcze.

Morgan wrócił do chaty. Errki mógł go teraz poprosić, ale to sprzeciwiało się jego zasadom, nie wolno go o nic prosić. Mężczyzna odłożył torbę na bok i stał odwrócony do niego plecami. Kręcił gałkami i poprawiał antenę. Errki patrzył na koszulkę bez rękawów i na umięśnione łydki Morgana. Wyobraź sobie, że jesteś mężczyzną, bo natura tak cię wyposażyla, ale jednocześnie wyglądasz tak niezbornie, jakby cię złożyła z przypadkowych części, które nie pasują do siebie. W pokoju zapanowało milczenie. Errki miał właśnie odmówić modlitwę. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz się modlił. Pewnie wiele lat temu. Czuł, jak słowa zbijają się w kulę, która nie chce wyjść na zewnątrz.

Utkwił więc wzrok w torbie. Skupił całą energię w jednym oku i poczuł, jak jego spojrzenie zmienia się w promień przesywający pokój. Trafił w czarną płócienną torbę i za chwilę cienka smuzka dymu uniosła się z materiału. Wyczuł słaby zapach spalenizny. Morgan odwrócił się. Z piwnicy dobiegało dudnienie, jakby obluzowane, wielkie kamienne bloki z hukiem waliły się w dół. Huk stał się głośniejszy, potem przeszedł w grzmot. Nestor płonął. Chwilę później Errki zobaczył, jak coś wylewa się spomiędzy brudnych desek podłogowych. Rzeka krwi. Płynęła zaledwie o kilka centymetrów od jego stóp. Torba znalazła się po przeciwnej stronie.

– Co z tobą? – zapytał Morgan nieswojo. – Jesteś chory?

Errki nie spuszczał wzroku z torby.

– Myślę, że powinieneś napić się jeszcze trochę whisky. Może po tym zrobi ci się lepiej.

W jego głosie pobrzmiwał niepokój. Errki nie ruszył się z miejsca. Patrzył na krew.

– Mówiłem, żebyś się jeszcze napił.

Errki nie poruszył się. Nie mógł dosięgnąć torby dłonią. Musiałby zrobić krok

naprzód, ale wtedy pośliznąłby się w kałuży gęstej, gorącej krwi.

– Dlaczego zawsze musisz wszystko utrudniać?! A może mam założyć smoczek na butelkę i wziąć cię na ręce?

Morgan chwycił torbę, wyjął z niej whisky i skierował dłoń w jego stronę. Errki wyrwał mu butelkę i pociągnął łyk. Torba przestała się tlić.

Miałeś szczęście. Nie licz, że następnym razem będzie tak samo.

– Nie jestem pazerny – powiedział mężczyzna. – Mów, co chcesz, ale skąpy nie jestem. – Groźnie spojrzął na Errkiego, który pił łapczywie.

Morgan wyszedł do kuchni. To prawda, był dziwnym człowiekiem, ale nie był skąpy. Grzebał w szufladach, potem Errki usłyszał, jak otwiera drzwi do spiżarni, a gdy zniknął mu z oczu, upił jeszcze kilka sporych łyków. Słyszał, jak klnie pod nosem i jak rozrzuca dookoła różne przedmioty. Potem szelest, który oznaczał, że bawi się świecą zawiniętą w celofan. Errki wypił jeszcze trochę, przysłuchując się odgłosom uderzeń w ściany sypialni. Nagle jego głos rozległ się echem po chacie.

– A to co, do cholery? Popatrz tu!

Errki wstał i na chwiejnych nogach ruszył naprzód z butelką w dłoni.

– Wzywałeś mnie, panie?

Morgan odłożył broń na parapet.

– Popatrz, co znalazłem!

Pokazał Errkiemu kilkakrotnie złożony kawałek szarego papieru.

– Na podłodze pod łóżkiem znalazłem mapę Finnemarki. Sprawdźmy, gdzie jesteśmy.

Przeczytał na głos:

– Mapa Finnemarki, Krajowy Instytut Kartograficzny, 1965 rok. Pomóż mi.

Morgan podniósł broń i wrócił do pokoju dziennego. Errki szedł za nim.

– Będziesz musiał mi pomóc. Umiesz czytać mapę? Potrafisz na niej znaleźć tę chatę?

Gdy rozłożył mapę, prawie rozpadła mu się pod palcami. Errki spojrzął na nią i końcem palca wskazał maleńką, bladoniebieską plamkę.

– Jesteśmy tutaj – powiedział spokojnie.

– Łatwo ci poszło – zdziwił się Morgan. – Skąd ta pewność?

– Popatrz na jezioro – powiedział Errki. – Widzisz, jaki ma kształt? A potem porównaj z mapą. Jezioro nazywa się Himmerik.

– Jezu. Ty rzeczywiście masz przebłycki świadości.

Morgan podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Lustro wody miało dokładnie taki sam kształt jak jezioro na mapie.

– Naprawdę znasz tu wszystkie kąty. W takim razie nie zaszliśmy zbyt daleko – dodał.
– Dzisiaj wieczorem przejdę przez grań i wyjdę tutaj – znów wskazał na mapę. – I dla zabawy zamienię się z tobą ciuchami.

Powrócił do butelki whisky. Wreszcie poczuł się lepiej. Wiedział, gdzie są. Wszystko miało nazwę: góry, jezioro i sieć wyraźnie ponumerowanych dróg.

– Wrócisz tą samą drogą, którą tu przyszliśmy, a ja pójdę dalej – chyba na północny zachód. Mogę ci pożyczyć bermudy. Będzie ci w nich super. Wtedy cię puszcze. Koło północy.

Wyglądał na zadowolonego. Miał cel.

– Wiadomości! – wykrzyknął nagle. Potykając się, podszedł do radia i pogłośnił. Tym razem spikerką była kobieta. Errki znów usiadł na podłodze i zamknął oczy. Usta mu zdreptały. Krążący w żyłach alkohol dawał miłe odprężenie.

„A teraz wracamy do zabójstwa w Finnemarce. Policja prowadzi zakrojone na szeroką skalę śledztwo w sprawie brutalnego zabójstwa siedemdziesięciosześcioletniej Halldis Horn. Wydział zabójstw znalazł trop, który może doprowadzić do ujęcia sprawcy, jednak na razie nie ujawnia żadnych informacji. Rzecznik policji obiecuje szybkie ujęcie winnego. Musimy jednak pamiętać, że do rozwiązania pozostała jeszcze sprawa napadu na Fokus Bank”.

Morgan spojrzał na Errkiego.

– Wiesz, gdzie mieszkała? Znałeś ją? – Podrapał się w głowę. – Ciekawe, czy będą szukać mordercy w naszej okolicy. Możesz sobie wyobrazić, co gość myślał, skoro zrobił coś tak strasznego?

Errki mimowolnie odrzucił głowę do tyłu. Długie, czarne włosy zafalowały. Nie odezwał się ani słowem.

Rozdział 11

– Dlaczego został skierowany na przymusowe leczenie psychiatryczne? – dopytywał się Sejer. – Groził komuś?

Doktor Struel pokręciła głową.

– Przestał jeść. Kiedy trafił do nas, był skrajnie niedożywiony.

– Dlaczego nie przyjmował pokarmów?

– Nie mógł się zdecydować, co ma zjeść. Siedział przy stole i wahał się pomiędzy dwoma gatunkami wędliny.

– Co pani zrobiła?

– Kiedy się poddał i wrócił do swojego pokoju, zrobiłam kanapkę i zaniiosłam mu. Żadnego mleka ani kawy, tylko kanapkę. Położyłam ją na nocnym stoliku. Za pierwszym razem nie chciał jej tknąć.

– Dlaczego nie?

– Popelniałam błąd. Przekroiłam kanapkę na pół, a on nie mógł dokonać wyboru, którą część zjeść najpierw.

– Twierdzi pani, że można się zagłodzić, bo podjęcie decyzji jest zbyt trudne?

– Tak.

Pokręcił głową, próbując zrozumieć, jak niewiarygodnie ciężkie może być codzienne życie.

– I naprawdę uważa pani, że ma nadnaturalne zdolności?

Rozłożyła ręce.

– Mówię panu tylko o tym, co sama widziałam. Ludzie opowiedzą panu inne historie.

– Czy kiedykolwiek pytała go pani, jak to robi?

– Zapytałam: „Kto cię tego nauczył?”. Uśmiechnął się tylko i odpowiedział: „Magik. Magik w Nowym Jorku”.

– To na pewno zbieg okoliczności.

– Nie sądzę. Od czasu do czasu zdarzają się rzeczy, których po prostu nie możemy wyjaśnić.

– Nie mnie – stwierdził z uśmiechem.

– Nie? – drażniła się z nim, śmiejąc się. – Jest pan jednym z tych ludzi, którzy wszystko rozumieją?

Zrobiło mu się głupio.

– Nie to miałem na myśli. Co jeszcze potrafi zrobić?

– Kiedyś graliśmy całą grupą w karty w sali dla palących. Errki też tam był, ale nie grał. Nie znosi gier. Było już późno, więc zapaliliśmy światła. Nagle powiedział tym swoim charakterystycznym, spokojnym głosem: „Przydałyby nam się świece na stole”. Pomyślałam, że to dobry pomysł, bo zrobi się przytulniej. Poprosiłam, żeby przyniósł kilka z kuchni, ale odmówił. Nikt inny nie chciał iść. Wykręcali się, że świece będą im przeszkadzać w grze. Współczułam Errkiemu. Pierwszy raz coś zaproponował, a nikt go nie posłuchał. Chwilę potem zabrakło prądu. W sali, jak zresztą w całym budynku, zapadła ciemność. Zrobiło się zamieszanie, wszyscy zaczęliśmy wpadać na siebie w poszukiwaniu jakiejś świeczki. „Chciałem was ostrzec”, skomentował to Errki. Ale nie wszystko mu się udawało. Kiedyś chciał się nauczyć latać i wyskoczył z okna na trzecim piętrze. To cud, że nie zginął. Wylądował na stojaku na rowery. Dlatego ma brzydką bliznę wzdłuż klatki piersiowej. Mieszkał wtedy w Nowym Jorku.

– Brał LSD albo coś w tym rodzaju?

– Nie wiem. Jego ojciec też nie wiedział. Nie poświęcał mu zbyt wiele uwagi.

– Czy naprawdę jest aż tak fizycznie odrażający, jak mówią?

– Odrażający? – Speszona, rzuciła mu spojrzenie. – Odrażający na pewno nie. Może trochę zaniedbany.

– Czy jest nieszczęśliwy?

Jak tylko wypowiedział to zdanie, zorientował się, że zabrzmiało głupio, ale kobieta nie roześmiała się.

– Oczywiście. Ale nie wie o tym. Nie dopuszcza do siebie tego rodzaju uczuć.

– W takim razie, jakie emocje do siebie dopuszcza?

– Pogarda. Zarozumiałość. Arogancja.

– Nie brzmi to tak strasznie, jak myślałem.

Westchnęła ciężko.

– W rzeczywistości jest po prostu utalentowanym chłopcem, który stara się jak może. Dąży do perfekcji i tak bardzo obawia się błędu, że w końcu staje się niezdolny do zrobienia czegokolwiek. W szkole bardzo słabo radził sobie z ćwiczeniami ustnymi. Siedział i mamrotał do okna tak, żeby nikt nie słyszał, co mówi. Ale jeśli chodzi o prace pisemne, to był jednym z najlepszych uczniów w klasie.

– Udało się go pani przekonać, żeby się wreszcie odezwał?

– Teraz mówi, jeżeli ma na to ochotę. Czasami potrafi być niesamowicie elokwentny, a nawet zabawny. Ma cierpkie poczucie humoru.

– Czy kiedykolwiek próbował odebrać sobie życie?

– Nie sędzę. Oczywiście pomijając lot z okna w Nowym Jorku, którego przyczyn nigdy w pełni nie zrozumiałam.

– Nie uważa go więc pani za osobę o skłonnościach samobójczych?

– Nie. Ale w moim zawodzie nie ma nic pewnego.

– Czy rozumiałaby pani, gdyby zrobił coś takiego?

– Zrozumiałabym. Człowiek ma prawo odebrać sobie życie.

– Samobójstwo prawem człowieka? Naprawdę tak pani uważa?

Wpatrywała się w swoje dłonie.

– Nie zgadzam się z terapeutami, którzy powtarzają pacjentom, że śmierć to nie jest rozwiązanie. Niewątpliwie jest to jakieś rozwiązanie, ale tylko dla zainteresowanej osoby. Wybór śmierci to logiczna konsekwencja faktu, że możemy dokonywać wyborów. I jest rozwiązaniem, które ludzie zawsze brali pod uwagę.

– Ale pani stara się temu zapobiec, prawda?

– Mówię im: to wasz wybór. I nie zawsze jestem szczęśliwa, kiedy zmuszam ich do życia albo kiedy okradam ich z psychozy, którą mimo wszystko uważają za swoje jedyne schronienie.

Dziś nie zasnę, pomyślał. W ciemnościach będą bez przerwy widział tę twarz, a jej słowa będą dźwięczeć mi w uszach. Złapał się na tym, że obraca sobie na palcu ślubną obrączkę. Nagle przyszło mu do głowy, że gdyby na przekór wszystkiemu wzbudził jej zainteresowanie, z miejsca odrzuciłaby ten pomysł. Może powinien zrezygnować z obrączki, lecz dawno temu postanowił nie rozstawać się z nią i zabrać ją ze sobą do grobu. Niemniej jednak sygnalizowała ona, że w jego życiu ktoś jest. Teraz doktor Struel też ją zauważyła. Zaniepokoił się.

– Errki lubi wędrować po lasach i wiejskich drogach. Ale zwykle nie zbliża się do ludzi, prawda?

– Nie, raczej nie – przyznała.

– Jednak tym razem postąpił inaczej. Zadał sobie trud pójścia do miasta, a nawet do banku. Nie sądzi pani, że coś go zaniepokoiło? Może potrzebował pomocy, dlatego że coś się wydarzyło?

Wyglądała na autentycznie zaniepokojoną. Kolejna wielka fala wezbrała w jego wnętrzu. Gdy ustąpiła, zajrzał do swojego serca, które przez wiele lat przypominało opuszczony brzeg. Dzisiaj po raz pierwszy stała na nim kobieta.

– Czy coś się stało? – Skarre obrzucił Sejera badawczym spojrzeniem.

– To znaczy?

– Bardzo długo cię nie było.

Sejer nie odpowiedział. Stał przy umywalce w swoim gabinecie, odwrócony plecami do mówiącego. Skarre zaniepokoił się. Wiedział, że główny inspektor bywa czasami dość małomówny, a wyprostowane plecy sygnalizowały, że coś jest na rzeczy.

– Wizyta w szpitalu okazała się bardzo owocna – odparł, nie odwracając się. Napełnił umywalkę zimną wodą i ochlapał zaczerwienione policzki. Dopiero gdy osuszył twarz i przygłądził palcami krótko ścięte włosy, zapytał: – Czy dostaliśmy zdjęcia śladów z miejsca przestępstwa?

– Nie, ale są już w drodze. Laboratorium twierdzi, że mamy piękne czarno-białe fotki. To prawdopodobnie ślady butów sportowych. Mają typowy zygzakowaty wzór. I są dość duże, rozmiar 10. Na razie to wszystko, co wiem.

– Doktor Struel uważa, że Errki raczej nie byłby zdolny do popełnienia morderstwa. Powiedziała mi, że gryzie tylko wtedy, kiedy ktoś go sprowokuje.

– Ona? Gryzie? – Skarre rzucił mu badawcze spojrzenie. – To doktor jest kobietą? Czy powiedziała ci też, czego można się spodziewać po Errkim jako zakładniku?

– Uważa, że się wycofa, bo zawsze przyjmuje pozycję obronną. Z drugiej strony, niewiele wiemy o osobowości bandyty.

– Być może miło razem spędzają czas.

– Takie rzeczy zdarzały się wcześniej. Ale mnie chodzi o coś innego. Co by się stało, gdyby bandyta dowiedział się, że jego zakładnika poszukuje policja w związku z zabójstwem?

Skarre uśmiechnął się lekko.

– Pewnie by się przestraszył i puściłby go wolno.

– Możliwe. I nie można wykluczyć, że słucha radia.

– Ale dziennikarze nie wiedzą, że zakładnik to ten sam człowiek, którego widziano przy zagrodzie Halldis Horn.

– To tylko kwestia czasu, nie sądzisz?

Wpatrywał się w drzwi wiodące do długiego korytarza, wzdłuż którego ciągnęły się szeregi gabinetów.

– To duży budynek. Niedługo coś i tak wycieknie.

– I wtedy może się zrobić niebezpiecznie, prawda?

Sejer spojrział na podwładnego.

– Co ty byś zrobił na jego miejscu? Spróbuj użyć tej części twojego umysłu, która rozumuje jak przestępca.

– Dobrze, ale pamiętaj, że to nieznaczną część! – zastrzegł Skarre. – No cóż, miałbym ochotę go wypuścić. Zwłaszcza że jest niezrównoważony umysłowo i pewnie niełatwo się z nim dogadać. Ale jeżeli doszli do jakiegoś porozumienia – kontynuował – wtedy nie można wykluczyć, że zaczną sobie nawzajem pomagać. W takim wypadku nie istniałby żaden powód, by jeden z nich wydał drugiego. Obaj złamali prawo. Gdyby jednak doszło do sprzeczki...

– Jeden z nich jest szalony, a drugi ma broń – dokończył Sejer. – Musimy ich znaleźć, zanim nawzajem się pozabijają. Proponuję kontrolowany przeciek do prasy.

– Myślisz, że wtedy bandyta wypuści Errkiego?

– Być może. Poza tym chciałbym, żebyś poszedł do sklepu spożywczego Briggena i porozmawiał z właścicielem. To u niego Halldis zamawiała zakupy. Jest jedynym człowiekiem, który widywał ją regularnie raz w tygodniu od wielu lat. Musieli się dobrze znać. Dowiedz się też, kim jest Kristoffer, facet, który przysłał jej list. Jadłeś już coś?

– Tak. A ty jakie masz plany?

– Jadę do Guttebakken pomówić z chłopcem, który znalazł ciało. A potem do szpitala.

– Po co?

– Żeby zobaczyć, czy mają tam jakieś informacje na temat śmierci matki Errkiego.

– Ależ to sprawa sprzed szesnastu lat!

– Jestem pewny, że coś znajdę. Zanim jednak ruszysz w drogę, przynieś miotłę.

– Co?

– Miotłę. Znajdziesz ją u dozorca.

– Dzisiaj już nikt nie używa mioteł – wyjaśnił Skarre cierpliwie. – Ich rolę przejęły mopy.

– Znajdź więc mopa albo cokolwiek na długim kiju.

Skarre wyszedł z pokoju i po chwili wrócił z mopem. Trzonek był wykonany z włókna szklanego, tak samo jak ten od motyki, należącej do Halldis.

Sejer ustawił się.

– Ja jestem Halldis Horn – powiedział – a ty jesteś mordercą.

– Żaden problem – powiedział Skarre, stając przed nim.

– Jestem na schodach i trzymam motykę. Oczywiście, jestem wyższy niż ona i kij jest dłuższy. Ale prawdopodobnie trzymałbym ją właśnie tak: dłonie razem, blisko środka.

Skarre skinął głową.

– Wychodzisz z domu i natykasz się na mnie. Chwyć za motykę. No chwytaj, Jacob.

Skarre popatrzył przez chwilę na trzonek, a potem nagle chwycił go oburącz. Automatycznie jedną dłonią złapał powyżej, a drugą – poniżej miejsca, w którym trzymał ją Sejer.

– Zostań w tej pozycji przez chwilę.

Sejer analizował układ czterech dłoni.

– Odciski palców Halldis były mniej więcej tutaj, na środku trzonka. Na samym dole znaleźliśmy inny odcisk, całkiem mały. I drugi tu, powyżej. Co oznacza, że morderca wyrwał jej motykę z dłoni tak samo jak ty, jednym ruchem. Potem zamachnął się i uderzył. Ale możesz mi powiedzieć, Jacob, gdzie się podziała reszta odcisków?

Skarre zastanowił się przez chwilę.

– Może je starł, ale ponieważ spieszyło mu się, usunął tylko kilka z nich?

– I zostawił odciski kobiety nietknięte na środku trzonka? To raczej mało prawdopodobne.

– A jeżeli jego palce zostawiają niewyraźne odciski?

– Dlaczego miałyby być niewyraźne?

– Nie mam zielonego pojęcia. Może kiedyś mocno sparzył się w palce? Wtedy nie miałby odcisków.

– Teraz chyba dajesz się ponieść fantazji.

– Zgoda. – Skarre podrapał się w głowę. – Ja też tego nie rozumiem.

– Czy odciski odpowiadają tym, które znaleziono w domu?

– Sprawdzają to w laboratorium.

– Jest w tym coś bardzo dziwnego. – Sejer pokręcił głową.

– Nie wierzę w bardzo dziwne rzeczy – stwierdził Skarre. – Uważam, że wszystko musi mieć jakieś logiczne wytłumaczenie i zwykle ma. Może ten Errki ogryza palce? Dość dziwny z niego facet. Czy lekarka wspomniała coś o tym?

– O ogryzaniu palców?

– Popatrz na to – powiedział Skarre, wyciągając dłoń. – Popatrz na mój palec wskazujący, przy samym opuszkę. Co widzisz?

– Nic specjalnego. Ale jest jakiś taki... błyszczący.

– Właśnie. Ten palec nie zostawia odcisków. A wiesz dlaczego?

– Poparzyłeś się?

– Nie, jakiś czas temu kapnęła mi na niego kropla superkleju.

– Ale to tylko jeden z dziesięciu.

– Mówię tylko, że musi istnieć jakieś logiczne wyjaśnienie, no nie? Pani doktor uważa, że jej pacjent jest niezdolny do zabójstwa? – zapytał.

– Tak.

– Wierzysz jej?

– Nie można zaprzeczyć, że do pewnego stopnia udało jej się poznać chłopaka, a poza tym ma solidne kwalifikacje jako psychiatra.

– Ale ty zwykle nie bierzesz takich opinii pod uwagę. Ja myślę, że sprawa jest prosta jak drut. Uważam, że to on zamordował Halldis.

– Za długo rozmawiałeś z Gurvinem.

– Staram się tylko myśleć racjonalnie. Errki dorastał tutaj. Wiedział, kim jest Halldis. Nikt jej nigdy nie odwiedzał, z wyjątkiem właściciela sklepu spożywczego. Errkiego widziano przy jej farmie tego samego rana, kiedy dokonano zabójstwa. A chłopak jest bardzo chory.

– Chcesz się założyć? – zapytał Sejer z uśmiechem.

– Pewnie, dlaczego nie.

– No to ja się założę, że on tego nie zrobił.

– Jeśli przegrasz, pójdziesz ze mną do King's Arms i upijesz się w sztok.

Sejer zadrżał na samą myśl o czymś takim.

– A jeśli ty przegrasz, skoczysz ze spadochronem, zgoda?

– Hm, w porządku.

– Czy mogę dostać to na piśmie?

– Nie ufasz słowu chrześcijanina?

– Oczywiście.

Sejer potrząsnął głową i oparł mopa o ścianę.

– Lepiej już jedź. Ale jest jedna rzecz, o której powinieneś wiedzieć. Nie wszystko da się racjonalnie wyjaśnić.

Otworzył szufladę, żeby zasygnalizować koniec rozmowy.

– Kup sobie parę butów z cholewkami – poradził.

– Po co?

– Do skoku ze spadochronem. Nie połamiesz nóg w kostkach.

Wychodząc z gabinetu szefa, Skarre lekko pobladł.

Sejer szybko spisał notatkę ze spotkania z doktor Struel. Kiedy skończył, otworzył książkę telefoniczną na literze „S”. Jednym okiem zerkał na drzwi, jakby się obawiał, że ktoś go na tym przyłapie. Od razu znalazł to, czego szukał. Po nazwisku Strougal i przed

nazwiskiem Stryken.

Struel, Sara. Lekarz medycyny.

Sara, pomyślał. Romantyczna. Egzotyczna.

I tuż powyżej: Struel, Gerhard. Lekarz medycyny. Ten sam numer telefonu. Westchnął i zamknął książkę. Sara i Gerhard. A tak się dobrze zapowiadało. Rozczarowany jak dziecko, odłożył na bok opasłe tomisko.

Rozdział 12

Sklep spożywczy Briggena tak gęsto oblepiony był ogłoszeniami i reklamami, że wyglądał jak wesołe miasteczko. Pomarańczowe, różowe i żółte jarmarczne afisze widziało się wszędzie. Kruche befsztyki z naszej własnej kuchni. Mrożona wątroba wołowa.

Poza tym piętrowy, pomalowany na czerwono budynek był dość ładny. Skarre przypuszczał, że Briggen mieszka na górze. Zaparkował samochód i wszedł do środka. Sklep miał dwie kasy. Przy jednej z nich siedziała nastolatka, czytająca kolorowy magazyn. Mocna ondulacja wydawała się trzymać jej głowę w żelaznym uścisku. Podniosła wzrok, zobaczyła mundur i magazyn spadł jej na kolana.

Skarre był przystojnym mężczyzną. Przystojnym pod każdym względem, z przyjazną twarzą okoloną chmurą jasnych loków. Miał także rzadki talent poświęcania każdemu niepodzielnej uwagi, nawet tym, którzy go zupełnie nie interesowali, jak ta dziewczyna. Nosila okulary w czarnych oprawkach, a jej pulchne ciało wskazywało na ponad dziesięć kilo nadwagi. Posłał jej olśniewający uśmiech.

– Czy jest tu gdzieś pani szef?

– Oddemann Briggen? W magazynie. Wyładowuje towar od Findusa. Proszę przejść za nabiał. O tam! Potem przez drzwi obok działu z warzywami.

Podziękował jej i ruszył w głąb sklepu. W tej samej chwili pojawił się Briggen, niosąc skrzynkę mrożonych ryb.

– Policja? W takim razie chodźmy do mojego biura. Proszę tędy.

Ruszył, powłócząc nogami.

Kasjerka wróciła do swojego czasopisma, ale nie mogła się skupić. Obejrzała się w lewo, chcąc spojrzeć na swoje odbicie w pleksiglasowej płycie okalającej jak tarcza sąsiednią kasę. Fryzura i rysy twarzy stały się łagodniejsze i trochę rozmyte, a gdyby zdjęła okulary, wyglądałaby jak starsza wersja Shirley Tempie. Przypomniała sobie, co wie o Halldis Horn, bo podejrzewała, że policjant zechce i z nią porozmawiać. Przez dwie albo trzy minuty będzie stał przy kasie, jeśli więc wcześniej wyuczy się na pamięć kilku odpowiedzi, będzie mogła dokładnie przyjrzeć się jego twarzy i zachować w pamięci każdy jej szczegół.

Szkoda, że nie wie niczego ważnego, dzięki czemu od razu mógłby ją zapamiętać. Aha, chodzi o tę pulchną małą kasjerkę ze sklepu Oddemanna Briggena? Podała mi pewną drobną, ale kluczową informację, dzięki której rozwiązaliśmy całą sprawę. Zaraz, zaraz, jak ona się nazywała?

Wstyd, że miała takie beznadziejne imię. Zerknęła na zdjęcie Claudii Schiffer w magazynie. Z biura dobiegały ją głosy mężczyzn, przypominające zagadkowe pomruki.

– Od ilu lat dostarczał pan artykuły spożywcze Halldis Horn? – zapytał Skarre, wyciągając notes z kieszeni.

Briggen rozpiął czerwono-zielony nylonowy płaszcz, zanim odpowiedział.

– Będzie z osiem lat. Przedtem jej mąż, Thorvald, przyjeżdżał i kupował wszystko, czego potrzebowali. Jego też znałem. Mieszkali tutaj od zawsze.

Właściciel sklepu spożywczego wyglądał na pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat. Był dobrze zbudowany i krępy, miał zdrową, opaloną cerę i rumiane policzki, gęste, krótko ścięte włosy, ciemne oczy i opadające z jednej strony usta. Krótkie ręce i nogi. Bez przerwy spletał i rozpletał małe dłonie zakończone krótkimi, grubymi palcami. Paznokcie miał ogryzione do żywego mięsa. Nad naskórek wystawały tylko ich kikuty.

– Co u pana zamawiała? – zapytał Skarre.

– To, co ludzie najczęściej kupują. Mleko, cukier i kawę. Artykuły papiernicze i jajka. Nie dogadzała sobie za bardzo. Nie chodzi o to, że nie było jej stać. Pieniądze trzymała w banku. Mówiła, że ma ich całkiem sporo. Wszystko pewnie dostanie się jej siostrze. Mieszka w Hammerfest, nazywa się Helga Mai.

– Powiedziała panu, że trzyma dużą kwotę pieniędzy w banku?

– Tak, właśnie tak. Była z tego dumna.

– Czy jeszcze ktoś o tym wiedział?

– Myślę, że tak.

Ktoś się wygada i wieść zaczyna krążyć tak szybko jak jaszczurka po rozgrzanym piasku, pomyślał Skarre. Wszyscy się tym ekscytują i za jakiś czas zapominają, że pieniądze leżą w banku. Wkrótce plotka urasta do absurdalnych rozmiarów. Halldis ma pieniądze, całą masę! Pewnie trzyma wszystko pod łóżkiem, a w każdym razie pod ręką. No bo gdzie starsi ludzie zwykle trzymają pieniądze? Uważała, że niczym nie ryzykuje, zwierając się z tego właścicielowi sklepu spożywczego, którego dobrze znała. Ale wystarczył lekki, zagadkowy uśmiezek, mała aluzyjka i sekret przestał być sekretem. Może podzielił się nim z innym stałym klientem? Aha, zna pan Halldis? Widzi pan, wcale nie jest taka biedna, na jaką wygląda. Może mówiło się o takich sprawach, kiedy umarł jej mąż i ktoś zaniepokoił się, że samotnej kobiecie będzie trudno związać koniec z końcem. Wielu ludzi mogło o tym usłyszeć.

– Wie pan, że nie mieli dzieci – mówił dalej Briggen. – Dlatego sporo zaoszczędzili, poza tym nie zależało im na luksusach. Thorvald trząsał się nad swoim traktorem jak dziecko,

bez przerwy go smarował, oliwił i polerował. Bóg jeden wie, na co mieli zamiar wydać te wszystkie pieniądze. To znaczy, jeżeli naprawdę mieli tyle, ile mówiła.

Skarre zanotował: sprawdzić stan konta Halldis Horn.

– A jej siostra z północy?

– Dobrze jej się powodzi. Ma męża, dzieci i wnuki.

– Gdyby zatem Halldis rzeczywiście miała jakieś pieniądze, to właśnie oni by je odziedziczyli?

– Pewnie tak. Thorvald nie miał żadnej rodziny oprócz brata, ale ten umarł dawno temu. Trochę pieniędzy dostał w spadku po nim.

– Jeździł pan do niej raz w tygodniu, prawda? Za każdym razem w ten sam dzień?

– Nie, najpierw telefonowała, więc dni się zmieniały. Ale często jeździłem w czwartki.

– Kiedy był pan tam ostatni raz?

– W środę.

– Ilu pracowników zatrudnia pan w sklepie?

– Tylko Johnnę, kasjerkę.

– Nikogo więcej?

– Już nie.

– To znaczy, że wcześniej ktoś był.

– Dawno temu. Młody chłopak, ale nie zagrzał u nas miejsca.

– Znał Halldis?

Briggen nerwowo splatał i rozplatał palce.

– Hm... Myślę, że tak. Jeździł ze mną kilka razy, kiedy zawoziłem jej sprawunki, ale nie odniosłem wrażenia, by szczególnie się nią interesował.

Ton jego głosu zdradzał zakłopotanie i niechęć.

– Lepiej zapiszę sobie jego nazwisko.

Miał wrażenie, że Briggen wolałby mu go nie podawać. Wiercił się w fotelu i mimo gorąca zaczął zapinać płaszcz.

– Tommy. Tommy Rein.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia kilka. Nic go tu nie interesowało: ani my, ani okolica.

– Wie pan, gdzie on teraz jest?

– Nie.

– Powiedział pan wcześniej, że Halldis trzymała portmonetkę w pojemniku na chleb?

– Tak jest. Ale tam nigdy nie miała dużo pieniędzy. Sam go nie otwierałem, ale

widziałem, jak Halldis wyjmuje stamtąd pieniądze, żeby mi zapłacić. Zwykle miała kilka banknotów po sto koron.

Skarre zanotował ten szczegół.

– A zna pan Errkiego Johrmę?

– Oczywiście. Często wpada do sklepu.

– Co kupuje?

– Nic. Bierze, co chce, i wychodzi. Jeśli krzyczę za nim, odwraca się w drzwiach, jakby się dziwił, dlaczego robię takie zamieszanie. Podnosi to, co wziął, jakby mi chciał pokazać, że to tylko batonik czekoladowy. Ale jest, jaki jest, więc nie robię z tego afery. To nie jest gość, którego ma się ochotę poklepać po plecach. Oczywiście kradnie drobiazgi, więc niewiele tracę, ale od czasu do czasu wściekam się. On ma za nic przepisy i prawo.

– Rozumiem – powiedział Skarre. – Kto jeszcze oprócz pana mógł wiedzieć, że Halldis trzymała portmonetkę w chlebaku?

– O ile wiem, to nikt.

– Ale Tommy Rein mógł wiedzieć, prawda?

– Hm... Nie jestem tego pewien.

– A akwizytorzy, sprzedawcy losów albo kaznodzieje? Na pewno się tu zapuszczają, prawda? Czy ktoś taki pojawił się u niej? Czy kiedyś o tym wspominała?

– Nigdy nie docierają do gospodarstwa Halldis. Szkoda zachodu. Za daleko i droga jest zła. Nie, o tym może pan zapomnieć. Niech się pan zajmie Errkim. Przecież to jego ktoś widział przy zagrodzie.

– Wie pan o tym?

– Wszyscy wiedzą.

– A portmonetka? – pytał dalej Skarre. – Czy była czerwona?

– Jasnoczerwona, z mosiężną klamerką. Trzymała w niej zdjęcie Thorvalda. Stare, zrobione zanim jeszcze wyłysiał. Wie pan co? – powiedział Briggen. – Odetchnąłem z ulgą, kiedy wsadzili Errkiego do zakładu. A teraz mam nadzieję, że go znajdziecie i że okaże się winny.

– Dlaczego?

Briggen skrzyżował ręce na brzuchu. Nie przyszło mu to łatwo.

– Wtedy zamkną go na dobre, bo gość jest niebezpieczny. A jeżeli w końcu udowodnią mu winę, wtedy może już nie wyjdzie i będziemy mieć tutaj trochę spokoju. No bo kto jeszcze mógł zrobić coś takiego?

– Czy ktoś odwiedzał Halldis?

– Raczej rzadko.

– Kto był wyjątkiem?

– Jej siostra, Helga, ma wnuka, który mieszka w Oslo. Wynajmuje tam pokój. Wiem, że do niej zaglądał, choć nieczęsto.

– Może pan wie, jak się nazywa?

– Nazywa się Mai, a na imię ma Kristian albo Kristoffer.

Kristoffer, pomyślał Skarre. To on wysłał list.

– Przypominam sobie, że pracuje w kuchni jakiejś restauracji. Nie w żadnej mordowni, ale wątpię, żeby miała trzy gwiazdki.

– Dlaczego?

– Kiedyś go widziałem. Nie ten typ.

Skarre zastanawiał się, czym może się różnić podkuchenny w trzygwiazdkowej restauracji od podkuchennego w innych jadłodajniach Oslo.

– Bywał tam więc Mai i Tommy Rein. Czy odwiedzali pana jacyś dziennikarze?

– Tak. Z gazety i z miejscowego radia. Dzwonili też inni ludzie.

– Rozmawiał pan z nimi?

– Nikt mi nie zabraniał.

Niestety, pomyślał Skarre.

– Chciałbym, żeby zajrzał pan do nas na komisariat. Najlepiej jeszcze dziś.

– Ja? A po co?

– Musimy zidentyfikować wszystkie odciski palców, które znaleźliśmy w domu Halldis.

Briggen wyglądał, jakby nagle zapało mu dech w piersiach.

– To znaczy, że zdejmiecie mi odciski palców?

– Taki mieliśmy zamiar – powiedział Skarre z uśmiechem.

– A dlaczego ktoś miałby znaleźć w jej domu moje odciski palców?

– Dlatego, że bywał pan u niej w domu co tydzień od ośmiu lat – wyjaśnił Skarre spokojnie.

– Ja tylko zawoziłem jej zakupy! – Z twarzy mężczyzny biło przerażenie.

– Wiemy o tym.

– Więc do czego są wam potrzebne?

– Do identyfikacji.

– Co pan powiedział?

Skarre próbował zachować spokój.

– Musimy ustalić, do kogo należały wszystkie odciski palców. Niektóre były Halldis. Część mógł pozostawić ten Kristoffer, a kilka pan. Reszta może należeć do zabójcy. Musimy zdjąć pana odciski, żeby je wykluczyć, a wtedy zostaną nam te nierozpoznane. Osoba, która je pozostawiła, może się okazać mordercą. Rozumie pan?

Twarz Briggena znowu odzyskała normalne kolory.

– Mam nadzieję, że nikt się o tym nie dowie. Ludzie mogliby pomyśleć, że miałem z tym coś wspólnego.

– Nie pomyśli tak nikt, kto ma choćby najmniejsze pojęcie o pracy policji – powiedział Skarre uspokajająco.

Podziękował sklepikarzowi i wyszedł z jego biura. Johnna miała właśnie zamiar wyskubać sobie brwi, gdy nagle policjant zjawił się obok niej przy kasie. To jedno mieć piękne oczy, pomyślała. Ale te usta... U mężczyzn zawsze najpierw zwracała uwagę właśnie na tę część twarzy. Usta policjanta były absolutnie bez zarzutu: delikatnie zarysowane i pełne, lekko wygięte, niezbyt kobiece, a mimo to symetryczne. Zęby też miał nieskazitelne. Delikatny łuk górnej wargi naśladował owal jego brwi.

– Jacob Skarre – przedstawił się z uśmiechem.

To chyba imię z Biblii, pomyślała.

– Czy mogę zadać pani szybkie pytanie? Czy kiedykolwiek była pani u Halldis na farmie?

– Raz. Z Oddem. – Energicznie pokiwała głową, mimo to nie poruszył się ani jeden lok na jej głowie. – Kiedyś w sobotę po południu zepsuł mi się samochód. Odde zaproponował, że odwiezie mnie do domu, jeśli nie będę miała nic przeciwko temu, by wpaść do Halldis. Skończyła jej się kawa. Ale to było dość dawno.

Zdjęła okulary i położyła je na kolanach.

– Czy zna pani kogoś innego, kto u niej bywał?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Pracował u nas taki jeden, ale dość krótko. Kiedyś zadzwonił kurator i spytał, czy mielibyśmy coś dla niego.

– Kurator? – powtórzył zaskoczony.

– Kurator dla wypuszczonych na zwolnienie warunkowe – wyjaśniła. – Skontaktowali się z Oddemannem, żeby się dowiedzieć, czy ten chłopak mógłby tu popracować na próbę. Mają taki program dla więźniów, którym...

– Wiem – Skarre przerwał jej. – Tommy Rein?

– Tak. Tak się nazywał.

– Czy był kiedyś u niej?

– Raz, może dwa razy. Po jakimś czasie odszedł. Mówił, że można tu umrzeć z nudów. Nie ma nawet przyzwoitego pubu. Od tamtego czasu nie widziałam go i nie wiem, gdzie teraz jest.

– Podobał się pani?

Sięgnęła myślą wstecz, próbując przypomnieć sobie jego twarz, ale zapamiętała tylko niebieskawo-czarne tatuaże na jego ramionach. I niepokój, jaki odczuwała, gdy był w pobliżu, mimo że nigdy nawet na nią nie spojrział, a przynajmniej nie tak, jak tego oczekiwała. Teraz, gdy o tym pomyślała, poczuła się trochę urażona. Żeby nawet zwykły przestępca nie spojrział na Johnnę dwa razy.

– On mnie? No co pan? – powiedziała ze złośliwą satysfakcją.

– Briggen nie wspomniał, że chłopak był na zwolnieniu warunkowym – powiedział ostrożnie Skarre. W tej samej chwili rzucił jej konfidencjonalne spojrzenie, któremu nie mogła się oprzeć.

– Pewnie, że nie. Jest jego siostrzeńcem, więc wcale mu się nie dziwię. Na pewno wstydzi się pokrewieństwa. Tommy to syn jego siostry.

– Naprawdę?!

Nie robił notatek, nie chcąc, by miała wrażenie, że mówi mu zbyt wiele.

– Wie pani, za co dostał wyrok?

– Za kradzież.

– Czy Briggen jest żonaty?

– Jego żona nie żyje.

– Aha.

– Jest wdowcem od jedenastu lat.

– Jest pani pewna? Aż jedenaście lat? – uśmiechnął się cierpliwie.

– Odebrała sobie życie – powiedziała to na ucho takim samym tonem, jakim ludzie mówią o cudzołóstwie.

Teraz Skarre pokiwał znacząco głową. Coś takiego wiele mówi o ludziach i życiu, i o tym, dlaczego los układa się tak, a nie inaczej, pomyślał. Rzucił jej spojrzenie, które wyrażało wdzięczność za informacje.

– Od jak dawna pani tu pracuje? – zapytał uprzejmie.

– Od ośmiu lat. Przyjęłam się, jeszcze zanim zmarł mąż Halldis.

Starła się odpowiadać jasno i nie dodawać niepotrzebnych szczegółów, ponieważ policjant był z pewnością zajęтым człowiekiem, który nie tolerował gadatliwych świadków.

Ale dopóki mówiła, musiał stać tam, gdzie był, a w zasięgu wzroku nie było klientów.

– Zna pani Errkiego Johrmę?

– Nie powiedziałałabym, że go znam. Ale wiem, kto to jest.

– Boi się go pani?

– Nie za bardzo. Gdybym spotkała go sama w ciemnym zaułku, wystraszyłabym się, ale w takim miejscu na pewno bałabym się każdego.

Oprócz ciebie, pomyślała. Wyglądasz jak anioł.

– A jak idzie interes? – zapytał Skarre. – Trzyście koron i siedemdziesiąt pięć Öre za bochenek chleba? To trochę drogo, nie sądzi pani? – Kiwnął głową ku wywieszce na regale z pieczywem.

Westchnęła z rezygnacją.

– Boję się, że jeżeli sklep będzie miał tak wysokie ceny, nie utrzyma się na rynku. W okolicy mieszka niewiele osób. Nie mamy dużych obrotów, a teraz budują jeszcze nowe centrum handlowe o pół godziny drogi stąd. To nas wykończy.

Wyglądała na zmartwioną.

– Centrum handlowe? – uśmiechnął się zachęcająco. – Jestem pewien, że znajdzie tam pani coś dla siebie, gdyby Briggen musiał zamknąć sklep.

W myślach skwapliwie się z nim zgodziła. Właśnie o czymś takim marzyła, chociaż nigdy nie śmiała nikomu o tym powiedzieć.

– Zapytam panią o coś jeszcze – mówił cicho, nachylając się bliżej. – Chciałbym tylko coś sprawdzić. Czy wczoraj Briggen był w sklepie przez cały dzień?

– Wczoraj nie. Byłam sama. Pojechał do Instytutu Spożywczego na kurs.

– Daje sobie pani radę ze wszystkim, kiedy szefa nie ma?

– Nie mam wyjścia.

Wyprostował się.

– Jeżeli usłyszysz pani, zobaczy albo przypomni sobie jakiś ważny szczegół, proszę do nas zadzwonić. Na przykład gdyby Errki znów się pokazał, żeby ukraść czekoladę.

Mrugnął porozumiewawczo i wyjął z kieszeni wizytówkę. Chwyliła ją drżącymi palcami. To się nigdy nie zdarzy. Nigdy nie znajdzie żadnego pretekstu, żeby znowu go spotkać.

Policjant wyszedł i było po wszystkim. Założyła okulary i zupełnie przeszła jej ochota na przeglądanie się w lustrze. Po chwili Briggen zawołał ją, żeby pomogła mu przy rybach. Gdy podeszła, obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

Rozdział 13

Rozmarzony Morgan spoglądał przez wybite okno na lśniąca i czystą wodę w jeziorze. Czul się ocieślały od upału i zmęczenia. Nagle zapragnął się ochłodzić.

– Lodowato zimna kąpiel – mruknął. – To jest coś. Prawda, Errki?

Errki nie odpowiedział. Zadrżał na myśl o wodzie. Whisky stępiła mu zmysły i wprawiła go w stan przypominający półsen. Nigdy nie pływał, nigdy nawet się nie kąpał. W wodzie z jego ciałem działo się coś dziwnego, co bardzo mu się nie podobało.

– Idę się wykapać, a ty pójdziesz ze mną – oznajmił Morgan radośnie.

Spojrzał ze zdecydowanym wyrazem twarzy na Errkiego. To było niepokojące i Errki poczuł, jak sztywnieje ze zdenerwowania. Nie chciał o tym myśleć. Tam w dole, w czarnej wodzie może się zdarzyć wszystko.

– Idź sam – powiedział cicho. – Potrzymam ci broń.

– Nie bądź śmieszny. Idziemy obaj, a ty pierwszy.

– Nie umiem pływać.

– Wejdiesz do wody, kiedy ci każę.

– Ty nic nie rozumiesz! Ja nigdy nie pływam! – Errkiego przerażała myśli o czymś, czego nienawidził. Musiał podnieść głos.

– Przyda ci się! No chodź, ja wcale nie żartuję.

Errki nie ruszył się. Nic na świecie nie zmusi go do wejścia do wody. Nawet broń. Wolał raczej umrzeć. Nie był jeszcze gotowy i chciał odejść z pewnym wdziękiem. Ale jeżeli się nie da, to trudno.

– Okej, ruszamy!

Morgan podjął decyzję. Przekazywał ją prawie całym ciałem. Podeszedł do kanapy, chwycił Errkiego za koszulkę i szarpnął. Chłopak z trudem utrzymał równowagę.

– Szybka kąpiel i za parę minut wracamy. Rozjaśni nam umysł. Chociaż twój... niekoniecznie. – Szturchnął Errkiego bronią, zmuszając do wyjścia z domu. – Teraz idź w lewo. Wynurzymy się tam, koło wyspy.

Errki spojrzał w dół na nagą skalę i zadrżał. Nigdy, przenigdy nie wskoczy do tej czarnej wody! Z piwnicy nie dobiegało nawet piśnienie. Nikt mu teraz nie pomoże. Zupełnie jakby siedzieli i słuchali, zastanawiając się, co teraz pocnie. Całe jego ciało ogarnęło dokuczliwe swędzenie. Nie umiał pływać. Nie mógł zdjąć ubrania i pokazać nikomu nagiego ciała, nie zniesie takiego upokorzenia. Niechętnie schodził w dół po pochyłości, brnąc przez

zeschłe wrzosa i trawę. Kiedyś była tam ścieżka, ale teraz prawie zupełnie zarosła. Spojrzał na wodę, obawiając się, że jeśli trafi na głębie, pójdzie prosto na dno. Morgan szedł za nim, ekscytując się perspektywą kąpieli.

– Założę się, że woda jest zimna. A to bardzo mi pasuje. – Szturchnął Errkiego, kiedy doszli na miejsce. – Zdejmuj ciuchy. Albo idź i pływaj w nich. Wszystko mi jedno. Tylko włącz do wody.

Errki stał jak wykuty z kamienia, wpatrując się w jezioro. Tutaj na brzegu już nie wyglądało na czerwonawe, tylko na czarne i głębokie. Nie widział dna, jedynie jakieś długie, oślizgłe zielska, które będą mu się okręcać wokół nóg, jak obrzydliwe paluchy. Kto wie, czy nie ma tam ryb albo, co gorsza, węgorzy?

– Wskakujesz, czy mam cię wepchnąć? – niecierpliwiał się Morgan.

– Nie umiem pływać – wymamrotał Errki. Nadal stał odwrócony plecami do swego prześladowcy. Kącik ust drżał mu ze zdenerwowania.

– Nie przejmuj się. Możesz stać przy brzegu. No, chodź, jestem spocony jak świnia.

Errki stał bez ruchu.

– No, to jak będzie? Odbezpieczam broń.

Ponad warkotem werbla Errki usłyszał ostry trzask. Kiedy Morgan wbił sobie coś do głowy, musiał to doprowadzić do końca, bez względu na konsekwencje. Errki zrobił kilka kroków ku wodzie i poczuł kołatanie w skroniach. Uważał wodę za tak samo niebezpieczną jak morze płomieni. Jego zwykle blade policzki zaczerwieniły się. Ostrożnie odwrócił głowę. Nie widział broni. Pewnie Morgan ukrył ją we wrzosach. Teraz kroczył ku Errkiemu z groźnym wyrazem twarzy i z zaciśniętymi pięściami.

– Chcę zobaczyć, jak wyglądasz, kiedy się boisz – powiedział.

Errki odskoczył na oślep w bok i skulił się, gotów do odparcia ataku. Morgan zawahał się przez chwilę i spojrzał na niego nieufnie, ale się nie zatrzymał. Errki rzucił się przed siebie jak drapieżne zwierzę i zatopił zęby w nosie Morgana. Kłapnął szczękami jak sekatorem. Zaatakowany poczuł, że ostre zęby przecinają jego skórę i miążdżą chrząstkę. Mężczyzna zachwiał się, próbując utrzymać równowagę. Młócił gwałtownie rękami, mimo to Errki puścił go dopiero po dłuższej chwili.

Przez jakiś czas Morgan milczał. Zdumiony spoglądał na Errkiego i minęło kilka sekund, zanim zrozumiał, co się stało. Koniec jego nosa ledwie trzymał się reszty twarzy, praktycznie wisiał na strzępie naskórka. Potem pojawiła się krew, tryskając rytmicznie małymi strużkami. Zaczął krzyczeć. Podniósł dłonie do nosa i poczuł słony smak w ustach.

– O Boże! – zawył, upadając na kolana. – Errki, pomóż mi! Mam krwotok!

Jego widok naprawdę budził politowanie, gdy klęczał we wrzosach z dłońmi przyłożonymi do twarzy. Teraz krew płynęła strumieniem. Errki stał wpatrzony w swojego prześladowcę. Kołysał się, przerażony tak wielką jej ilością, ale jednocześnie spokojniejszy, bo stawiał opór. Od tej chwili wszystko będzie inaczej. Z piwnicy dobiegły go hałaśliwe okrzyki. Wiwatowali tam na jego cześć, głośnymi oklaskami witali go jak bohatera.

– Nie powinieneś był mnie zmuszać. Nie znoszę, jak ktoś mnie do czegoś zmusza! A teraz znowu wrzeszczysz. To nie do wytrzymania.

– Dostanę zakażenia! – jęczał i szlochał Morgan. – Czy ty wiesz, co zrobiłeś? Ty pojebany wariacie! Możesz się odpiardolić i wracać do szpitala! Przecież ja tu umrę!

– Próbowałem ci to powiedzieć – tłumaczył Errki spokojnie – ale ty nie chciałeś mnie słuchać.

– Chryste, co ja teraz zrobię?

– Zrób sobie opatrunek z mchu – zaproponował Errki. To dopiero widok: Morgan w kolorowych szortach z dyndającym nosem.

– Kurwa, nie mam nic do dezynfekcji rany! Nie wiesz, jak niebezpieczne są ludzkie ugryzienia? To się nigdy nie zagoi. Ty cholerny diable z zakładu dla obłąkanych!

– Jesteś inny, kiedy się boisz.

– Zamknij się, do cholery!

– Szczepili cię przeciwko tężcowi tak jak wszystkich, prawda?

Przez chwilę Morgan nie odpowiadał.

– Dawno temu – wydyszał wreszcie. – Ale chyba to szczepienie jest już nieważne. Wystarczy kilka godzin, żeby wdało się zakażenie krwi. Nie masz pojęcia, co zrobiłeś! Ty popierdolony wariacie!

– Przemyj ranę whisky – zaproponował Errki. – Pożyczę ci slipy, to sobie obandażujesz.

– Mówiłem ci przecież, żebyś się zamknął! Cholera, ja tego dłużej nie wytrzymam!

Po omacku zaczął szukać broni we wrzosach, jedną dłońią podtrzymując nos. Errki spostrzegł coś błyszczącego w morzu zieleni. Obaj pochylili się w tym samym momencie, ale Errki był szybszy. Podniósł broń i zważył ją w dłoni. Morgan zaczął się trząść. Jęknął z przestachu i niezdarnie próbował się cofnąć. Otworzył usta i Errki dostrzegł w nich kilka czarnych plomb. Przerażony człowiek wygląda nieładnie, pomyślał. Potem zamachnął się z całej siły i wrzucił broń do jeziora. Zatoczyła łuk i cicho plusnęła.

– Ty sukinsynu! – wybuchnął Morgan, po trosze z ulgą, po trosze z rozpaczą. – Powinieneś być cię zabić, powinieneś być to zrobić na samym początku. – Wargi mu drżały.

– Powiniennem być strzelić ci w plecy i wypatroszyć na miejscu! Wystarczy godzina, żeby w taką ranę wdało się zakażenie. Muszę zaraz jechać do lekarza! Za kogo ty się, do cholery, uważasz?

– Jestem Errki Peter Johrma i wpadłem tu tylko na chwilę.

Morgan nie przestawał łkać. Wyobrażał sobie proces gnilny, rozkładające się tkanki i zakażoną krew, która z szybkością błyskawicy płynęła w jego żyłach, we wszystkich tętnicach i jednym ciosem trafiała prosto w serce. Poczuł, że za chwilę zemdleje.

– Zanim się przewrócisz, podłóż sobie siana – poradził mu Errki.

Odwrócił się i ruszył pod górę. Zza jego pleców rozległ się krzyk.

– Nie zostawiaj mnie tu!

– Mucha, która nie zostawia trupa, kończy w grobie – stwierdził Errki. Mimo to zatrzymał się. Nigdy nie słyszał, żeby ktoś nawoływał go w ten sposób. Zupełnie jakby był do czegoś potrzebny. Widok Morgana ze zmasakrowanym nosem wzruszył go. Mężczyzna nie był już żaloszny, a z pewnością nie odrażający.

– Powiedz coś! Pomóż mi z tą raną. Już nigdy nie będę mógł nikomu pokazać się na oczy! – jęczał Morgan.

– Nie, nie będziesz mógł. Obrabowałeś bank i policja ma twój dokładny rysopis.

– Wrócisz ze mną do chaty?

– Wrócę z tobą.

– Pośpiesz się. Krwawię.

– Po co tak pędzić? Pali się? – rzucił Errki i zaczął iść. Po chwili znów się odwrócił. Morgan chwiejnym krokiem ruszył za nim. Pluł i kaszłał, żeby pozbyć się z ust posmaku krwi.

– Smakujesz jak słonina – powiedział Errki refleksyjnie. – Mdma, słodka słonina. Jak mielone mięso na kiełbasę.

– Ty pojebany ludożerco! – Morgan pociągał nosem.

Po powrocie do chaty położył się na kanapie. Był blady, ale opanowany. Gdy Errki kropił ranę whisky, Morgan kwiczał jak zarzynana świnia. Errki miał wrażenie, że zaraz pęknie mu głowa.

– Dosyć, dosyć! Zostaw chociaż trochę do picia – zaskomlał.

Errki podał mu butelkę.

– Uważaj, żebyś nie dotknął rany paluchami. Wyobrażam sobie, gdzie były. W najbardziej zakazanych miejscach.

Łatwo było mówić. Słowa leciały mu z ust i wirowały jak puch dmuchawca.

– Źle się czuję – jęknął Morgan, upijając duży łyk. Położył się na tapczanie i zamknął oczy.

– Czy nie lepiej byłoby po prostu oderwać ten kawałek nosa? – zaproponował Errki. – Wisi tak bez sensu...

– Za nic w świecie! Może lekarzom uda się go przyszyć?

Errki wpatrywał się w Morgana. Znów byli w tym samym pokoju. Nie miał dokąd pójść. Było cicho. Jedyne odgłosy wydawał poszkodowany, oddychając ciężko ustami. Zupełnie jakby coś spadło na nich z sufitu. W pokoju zrobiło się też ciemniej, co sprawiło, że stał się on przytulniejszy. I Morgan już nie dowodził. Dziwna rzecz, ale wydawało się, że z ulgą uwolnił się od tej roli. Tak było lepiej. Teraz byli sobie równi. Mogliby trochę odpocząć, może nawet się prześpić. Przez cały dzień nic tylko kłopoty. Errki czuł, że potrzebuje odpoczynku, żeby uporządkować myśli.

– Włącz radio – poprosił Morgan lekko drżącym głosem, jakim mówią ludzie, którzy są chorzy i wymagają opieki.

Szkoda jego nosa, pomyślał Errki. Już przedtem był bardzo mały, a teraz prawie nic z niego nie zostało.

– Czas na wiadomości. Nastaw radio.

Errki naciskał wszystkie przyciski po kolei, aż w końcu natrafił na właściwą falę. Wyregulował głośność, a potem usiadł na podłodze i spojrzał na Morgana. Leżąc na kanapie z butelką whisky, wyglądał jak dziecko ssące butelkę. Muzyka ucichła i zaczęły się wiadomości. Tym razem czytał je mężczyzna.

„W związku z zamordowaniem siedemdziesięciosześcioletniej Halldis Horn, policja poszukuje Errkiego Johrmy, lat dwadzieścia cztery, który przedwczoraj zniknął ze szpitala psychiatrycznego. Mężczyznę, który najwyraźniej znalazł ofiarę, zauważył bawiący się w pobliżu chłopiec. Policja podkreśla, że Johrma jest poszukiwany w charakterze świadka. Ma mniej więcej metr siedemdziesiąt wzrostu i długie czarne włosy. Ostatnio widziano go ubranego w czarne spodnie i kurtkę. Nosi też pasek z dużą mosiężną klamrą. Chodzi w charakterystyczny sposób, jakby kołysząc się. Osoby znające miejsce pobytu poszukiwanego proszone są o powiadomienie policji”.

Errki wyłączył radio i w pokoju zaległa głucha cisza. Morgan powoli usiadł na kanapie. Kikut jego nosa straszliwie spuchł, a koszulka zalana była krwią.

– Byłeś na miejscu zabójstwa? – W oczach Morgana widać było przerażenie. – Widziałeś coś?

Errki splótł dłonie. Znów wpatrywał się w wodę. Cieszył się, że uciekł z jeziora. I

tak miał umrzeć, ale nie chciał się utopić. Na pewno istnieją lepsze sposoby przejścia do wieczności niż zanurzanie się w zimnej wodzie.

– To ty ją zabiłeś? To ty, Errki?

Errki zrobił kilka niepewnych kroków naprzód.

– Stój tam! Nie zbliżaj się!

Morgan uniósł kolana pod brodę i cofnął się pod ścianę.

– Kiedy cię złapią, powiesz im po prostu, że niczego nie pamiętasz, rozumiesz? Albo że głosy kazały ci to zrobić, żebyś nie poszedł do więzienia. Siadaj! Słyszysz mnie? Chcę, żebyś usiadł!

Ostatnie słowa wykrzyczał falsetem. Próbował zebrać myśli. Errki był nie tylko wariatem, był o wiele bardziej niebezpieczny. Kompletnie szalony. Zabił bezbronną starą kobietę, a teraz siedział razem z nim w jednym pokoju! Ciarki przebiegły mu po spoconych plecach.

– Okej, teraz mnie posłuchaj. Siadaj i rozluźnij się. Spokojnie. Nie pisnę o tobie ani słowa i ty nie piśniesz ani słowa o mnie. Możemy się podzielić pieniędzmi, starczy dla nas obu. Tylko musimy się przedostać przez granicę do Szwecji!

Morgan starał się mówić spokojnie, żeby go nie sprowokować. Popijał alkohol dużymi łykami, nie spuszczał Errkiego z oczu, teraz szeroko otwartych. W każdej chwili chłopak mógł go zagryźć.

Errki nie odzywał się.

Nos Morgana zaczął niepokojąco pulsować. Mężczyzna obawiał się, że to objaw rozprzestrzeniającej się infekcji. Errki siedział na podłodze, oparty o ścianę pod oknem wychodzącym na podwórze. Morgan był zadowolony z tego, że dzieliła ich bezpieczna odległość. Mimo wszystko chłopak wyglądał na zupełnie nieszkodliwego. Spędzili razem sporo czasu, więc jeżeli chciałby go zabić, zrobiłby to już dawno. Przecież tam nad wodą miał broń w ręce. Zmierzch nadal nie nadchodził. Morgan miał nawet wrażenie, że słońce świeci jeszcze mocniej. Co się stało? W jaki sposób stracił panowanie nad sytuacją?

Odstawił butelkę na podłogę. Znalazł się sam na sam z szalonym mordercą i musiał mieć się na baczności, chociaż teraz nie potrafił nawet zebrać myśli. Kręciło mu się w głowie. Raz za razem pytał sam siebie, po co w ogóle przyprawdzał tu tego przeklętego dziwaka. Mógł przecież uciec z banku bez niego.

– Widział cię świadek – powiedział powoli, wpatrzony w Errkiego, który wyglądał, jakby spał.

– Widział mnie ten grubas – mruknął Errki. – Ten utuczony nastolatek. Cycki miał

prawie tak wielkie jak moja matka. – Odwrócił się, by spojrzeć na Morgana z zagadkowym wyrazem twarzy. – Jej mózg płynął po schodach.

– Zamknij się! Nie chcę tego słuchać! – Przenikliwy szum, towarzyszący jego słowom, zdradzał panikę.

– Boisz się – stwierdził Errki.

– Nie mam zamiaru cię słuchać! Bez przerwy pleciesz bzdury! Lepiej pogadaj z tymi swoimi głosami. Jestem pewien, że lepiej cię zrozumieją.

Na długą chwilę zapadła cisza, przerywana sporadycznym brzęczeniem muchy na parapecie. Morgan zastanawiał się, czy nie powinien pojechać do swojej siostry, do Oslo, i tam się ukryć. Pewnie powie mu kilka słów do słuchu, ale go nie wyda. To beznadziejnie głupia kobieta, która bez przerwy gada, ale on jest jej młodszym bratem. Obrabował bank, lecz nikogo nie zabił, a już na pewno nie starą kobietę.

– Nie! – krzyknął Errki i wstał. Oparł się o futrynę okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Po co tak krzyczysz? Mącą ci w głowie? Daj sobie spokój z tymi idiotyzmami, mam już tego dosyć. Nikogo tu nie ma! – Errki zakrył sobie uszy dłońmi. – Dobry Boże, co ty za szopki wyprawiasz! – Mężczyzna znów dotknął kikuta swojego nosa. Teraz pulsował jeszcze bardziej. Miał ochotę się roześmiać. Ten chłopak to skończony wariat. Może nawet nie wie, że kogoś zabił. – Hej, ty – powiedział ochryplym, lecz dziwnie cichym i słabym głosem. – Może byłoby lepiej, gdybyś wrócił do szpitala? Co o tym myślisz?

Errki przycisnął czoło do futryny i oddychał pachnącym i ciepłym powietrzem z zewnątrz. Pokój emanował bezbronnością, która jednocześnie mu się podobała i nie podobała. Przypominała mu o czymś. Z piwnicy dobiegał cichy pomruk.

– To zupełny absurd, to szaleństwo – mówił Morgan ponuro. – Siedzę tutaj z odgryzionym nosem i z torbą pełną pieniędzy, a ty pleciesz coś do siebie i masz na sumieniu morderstwo. Do tego obaj jesteśmy poszukiwani przez policję. To nie do wiary! Zamknął oczy i kilkakrotnie próbował zmusić się do śmiechu. – Nic mnie to nie obchodzi – kontynuował. – Naprawdę nic mnie nie obchodzi, co się stanie. I tak wszyscy umrzemy. Równie dobrze możemy umrzeć właśnie tutaj, w tej zakurzonej budzie.

Znów się położył, mając wrażenie, że powoli się rozpuszcza, a coś, co roi się w jego wnętrzu, rozpościera skrzydła i odlatuje. Czuł się dziwnie ospały. Być może powoli wyciekał z niego mózg.

– Utnę sobie drzemkę.

Errki nadal stał przy oknie. Starał się przypomnieć sobie kolor jej sukni, ale doszedł do tego, że nie wie, czy była czerwona w zieloną kratkę, czy zielona w czerwoną kratkę. Nie

potrafił sobie tego wyobrazić. Ale pamiętał warkocz. I zrezygnowany wyraz jej twarzy, kiedy wykopywała dmuchawce z trawy. To było takie proste. Chwasty psuły wygląd trawnika i trzeba je było usunąć. A potem zawołała go pełnym przerażenia głosem.

– Zamknij się! – krzyknął, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Że co? – zapytał Morgan zmęczonym głosem. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że naprawdę nic mnie nie obchodzi, co się stanie.

– Zrobię, co będę chciał. Nie będziesz mi mówił, co mam robić! – krzyczał Errki, wygrażając pięścią komuś za oknem.

– Święte słowa – wymamrotał mężczyzna. Przewrócił się na bok, osłaniając nos dłonią jak tarczą. – Kiedy się obudzę, będę bardzo chory. Może powinieneś zejść do wsi po pomoc? Nie miałbym nic przeciwko temu. Po prostu jest mi wszystko jedno. Obiecałem zorganizować pieniądze i dotrzymałem słowa.

– Nazywam się Errki Peter Johrma. Położę się.

– Rób, co chcesz – mruknął Morgan. Jego głos był ledwie szeptem pośród ciszy. Errki poszedł do sypialni. Pochylił się, pogrzebał w materacu i znalazł broń. Wetknął ją za pasek spodni. Teraz był gotowy. Zwinął się w kłębek, podłożył sobie kurtkę pod głowę i zapadł w głęboki sen.

Rozdział 14

– Dobrze by było, gdyby właśnie teraz Kannick zdobył puchar – stwierdziła zdecydowanie Margunn. – Taki błyszczący, którym mógłby się pochwalić swojej matce. Ma spore szanse, bo jest dobry. Strzelanie z luku to jedyna rzecz, która mu wychodzi. – Dwukrotnie skinęła głową, żeby podkreślić wagę swoich słów.

Siedzieli w jej gabinecie. Sejer uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że jemu również zależy na tym, by Kannick zdobył puchar.

– Jak sobie radzi z tym, co widział? – zapytał. Zafascynowany wpatrywał się w twarz kobiety. Nie można powiedzieć, by była piękna. Wysokie czoło, zmarszczki, cień wąsów i głęboki głos upodabniały ją do mężczyzny. Ale promieniowała niezachwianą wiarą w dobroć ludzi, zwłaszcza tych, którymi się opiekowała. Życzliwość powlekała grube rysy intrygującym rumieńcem entuzjazmu.

– Świetnie sobie radzi. Mam wrażenie, że koncentruje się na zawodach i dzięki temu nie dopuszcza do siebie myśli o czymkolwiek innym. Proszę też pamiętać, że nasi chłopcy już trochę w życiu przeszli. Potrzeba niemało, żeby ich wytrącić z równowagi.

– Pamiętam – odparł Sejer. – Proszę mi opowiedzieć o Kannicku.

Rozsiadła się wygodniej w fotelu i uśmiechnęła się.

– Kannicka można nazwać dobrym, staromodnym wypadkiem przy pracy. Wynikiem impulsywności jego matki i braku charakteru, którego, z tego co wiem o jej rodzinie, nigdy nie miała sposobności ukształtować. Podobnie jak Kannick, zawsze komuś zawadzała. Nic, tylko kłopot. Każdego lata przyjeżdżają tu polscy robotnicy sezonowi do pracy na farmach. Dziewczyna była wtedy kasjerką na stacji benzynowej, gdzie ci mężczyźni co tydzień przychodzili po tanie papierosy i może jakiegoś świerszczyka, gdy czuli, że są przy forsie. Niewątpliwie byli dla niej dużą atrakcją. Tacy inni, egzotyczni. Powiedziała mi też, że są o wiele bardziej uprzejmi wobec kobiet niż ci, których znała wcześniej. „Traktowali mnie jak damę, Margunn!” Jasne, że to robiło duże wrażenie na dziewczynie, która już dawno straciła resztki niewinności i nawet przestała tego żałować. Pewnego dnia pojawił się w sklepie ojciec Kannicka. Wyjechał z Polski cztery miesiące wcześniej i pewnie tęsknił za domem. Przynajmniej tak mówiła. Nietrudno to sobie wyobrazić.

Margunn posłała Sejerowi pojednawczy uśmiech.

– Kannick został poczęty w nocy, w magazynie, po zamknięciu stacji, między skrzynkami frytek oraz irchowych ścierek. I nigdy nie przyszło jej do głowy, by tego żałować,

przynajmniej dopóki nie zdała sobie sprawy, że dziecko jest w drodze. Kiedy Kannick był mały, często płakał, ale odkryła, że gdy jest najedzony, robi się spokojniejszy. Zaraz pan zobaczy, jaki może być efekt takiego podejścia do obowiązków rodzicielskich. Matka przez cały czas próbuje znaleźć kogoś, kto by ją pokochał. Nie chce Kannicka. Nie chodzi o to, że go nie lubi, po prostu nie może uwierzyć, że odpowiada za jego pojawienie się na świecie. Uważa, że przytrafił jej się niespodziewanie, jak choroba.

– Dlaczego trafił tutaj?

– Sprawiał kłopoty, bo był zbyt impulsywny i nie radził sobie w zwykłej szkole. A teraz zaczyna zamykać się w sobie. Dużo marzy, nie cieszy się niczym i z nikim nie przyjaźni. Bardzo chce, żeby się nim interesować, a kiedy znajdzie się w centrum uwagi, rozkwita. Jednak wystarczy, że jedna osoba nie okaże mu zainteresowania, i już nie zależy mu na niczym. Co tydzień przychodzi do niego instruktor i uczy go strzelać z łuku. Wtedy chłopak kipi energią, bo trener poświęca uwagę tylko jemu i temu, co on potrafi albo czego nie potrafi zrobić. Ale w klasie, gdzie jest jednym z wielu uczniów, nie ma ochoty brać udziału w zajęciach.

– To znaczy, że musi mieć wszystko albo nic?

– Tak, coś w tym rodzaju.

– Gdzie jest jego pokój?

– Piętro wyżej, na tyłach budynku. Na drzwiach jest naklejka z czekolady Freia Marabou.

Sejer przyniósł ze sobą torebkę cukierków. Wiedział, że nie odwiedza chorego pacjenta, ale biedny chłopak przeżył właśnie koszmar i na pewno trochę życzliwości nie zawadzi. Lecz gdy zauważył leżącego na łóżku otyłego chłopca, pożałował swojej decyzji.

– Cześć, Kannick. Jestem Konrad.

Stał w drzwiach pokoju, który chłopiec dzielił z Philipem. Kannick leżał na wznak, czytał komiks i chrupał jakieś chipsy. Spojrzał w górę, najpierw na Sejera, a potem na torebkę, którą trzymał w dłoni.

– Jestem z policji.

Kannick odłożył komiks na bok.

– Mówiłem innym chłopakom, że na pewno pan przyjdzie, ale oni mi nie wierzyli. Mówili, że jestem nieważny.

Sejer uśmiechnął się.

– Wręcz przeciwnie, jesteś bardzo ważny. Rozmawiałem z Margunn w jej gabinecie. Mogę się przysiąc do ciebie?

Chłopiec podwinął nogi.

Ciała na pewno wystarczyłoby na dwóch, pomyślał Sejer, podając chłopcu cukierki.

– Obiecujesz, że podzielisz się z innymi?

– Pewnie. – Odłożył torebkę na nocną szafkę.

– To ty zawiadomiłeś posterunkowego Gurvina?

Chłopiec odrzucił grzywkę z czoła. Nosił obcięte dzinsy i T-shirt, a na bosych nogach miał czarne mokasyny.

– Kilka razy pytał mnie o godzinę, ale nie miałem przy sobie zegarka. Wcześniej oddałem go do naprawy.

– Szkoda – powiedział Sejer. – Jeden z najważniejszych obowiązków policji to sprawdzanie, kiedy dokładnie miały miejsce pewne wydarzenia. Gdy już to ustalimy, zwykle udaje nam się wyjaśnić całą resztę albo zdemaskować ludzi, którzy próbują nas oszukać.

Kannick rzucił mu przestraszone spojrzenie, jakby Sejer o coś go posądzał.

– Przecież ja nawet nie mam jak was oszukać – powiedział – bo nie miałem pojęcia, która godzina. Wiem tylko, że była siódma, kiedy stąd wychodziłem, bo sprawdziłem. – Pokazał na budzik stojący na nocnej szafce.

– Można powiedzieć, że ranny z ciebie ptaszek. Teraz macie wakacje, prawda?

– Było strasznie gorąco. Nie mogłem spać. A Philip ma astmę i strasznie chrapie.

Sejer rozejrzał się po pokoju. W materacu, na którym pewnie wcześniej leżał Philip, pozostało wgłębienie. Na nocnej szafce stały fiołki z lekami i inhalator. Przez szybę widział głowy trzech chłopców, którzy z uwagą oglądali jego radiowóz i co jakiś czas popatrywali w górę na okno pokoju Kannicka.

– Jeżeli nawzajem sobie pomożemy, na pewno uda nam się w przybliżeniu określić czas tego wydarzenia. Spróbuj sobie przypomnieć wszystko, co robiłeś, od chwili, kiedy stąd wyszedłeś. Mówisz, że była siódma. Poszedłeś prosto do lasu?

– Tak.

– I zabrałeś ze sobą łuk?

– N-no tak. – Chłopiec spuścił głowę.

– Nie mam zamiaru cię za to aresztować. To sprawa Margunn, więc ona cię za to ukarze. Szybko szedłeś?

– Nie za bardzo.

– Zatrzymywałeś się gdzieś po drodze?

– Co jakiś czas przystawałem, żeby posłuchać. Żeby się zorientować, gdzie są wrony i takie tam. Parę razy.

– Masz w górach swoje ulubione miejsce, prawda?

Chłopiec naciągnął koszulkę, chcąc zasłonić brzuch.

– Nad farmą Halldis jest kawałek płaskiego terenu. Krzyżuje się tam kilka ścieżek, no i można wybrać, którądy chce się pójść. Znam to miejsce jak własną kieszeń.

Głos chłopca podnosił się i opadał. Siedział na skraju łóżka z szeroko rozstawionymi udami. Ze względu na tuszę, nawet gdyby chciał, nie mógł złączyć nóg.

– Poszedłeś więc w tamto miejsce, aż do grani, a po drodze zatrzymywałeś się dwa razy?

– Tak.

– Możesz mi powiedzieć w przybliżeniu, ile czasu zabrała ci droga? Spróbuj ją z czymś porównać, wtedy będzie ci łatwiej.

– Zajęła mi mniej więcej tyle samo, co jeden odcinek *Z Archiwum X*.

– *Z Archiwum X*? Pozwalają wam to tutaj oglądać?

– Jezu, no pewnie, że tak.

– Trwa jakieś czterdzieści pięć minut, prawda?

– Mhm.

– No tak. – Sejer skrzyżował nogi i uśmiechnął się zachęcająco. – W ten sposób znalazłeś się na grani mniej więcej o godzinie 7.45 rano?

– Mniej więcej tak.

Kannick spojrzał na torbę z cukierkami. Była duża. Szybko obliczył: w dużej mieściły się pięćdziesiąt dwa cukierki, co oznaczało po pięć dla każdego z nich i dwa dla Margunn. Oczywiście gdyby podzielił się z innymi, jak radził policjant.

– I wtedy wybrałeś jedną ze ścieżek?

– Ścieżki są cztery. Jedna przechodzi przez grań. Jedna prowadzi na punkt widokowy. Jedna do starych zagród. I jedna na farmę Halldis.

– I właśnie tę wybrałeś?

– Tak. Bo nie chciałem się spóźnić na śniadanie.

– A z miejsca, w którym stałeś, jak daleko jest na jej farmę?

– Niedaleko, ale po drodze trafiłem wronę i zgubiłem dwie strzały. Szukałem ich, ale nie mogłem znaleźć. To też mi zajęło trochę czasu. Strzały są bardzo drogie – wyjaśnił. – Z włókna węglowego, po sto dwadzieścia koron sztuka.

Sejer skinął głową i spojrzał na zegarek.

– Szukałeś ich więc przez jakiś czas, ale potem przestałeś. Poszedłeś do Halldis. Czy to zajęło ci więcej czasu niż wejście pod górę?

- Myślę, że trochę mniej.
- Powiedzmy, że kiedy znalazłeś się pod domem Halldis, była 8.15.
- Myślę, że dobrze pan kombinuje.
- Powiedz mi, co zobaczyłeś.
- Zamrugnął oczami, przestraszony.
- Zobaczyłem Halldis.
- Kiedy ją zobaczyłeś?
- Kiedy ją zobaczyłem?
- Gdzie stałeś, kiedy zauważyłeś jej ciało?
- Przy studni.
- Zatrzymałeś się przy studni i właśnie wtedy ją zobaczyłeś?
- Tak.

Kannick mówił teraz przytłumionym głosem. Nie chciał myśleć o tym, co kazano mu sobie przypomnieć.

- Powiedz mi, jak daleko jest od studni do schodów. Świetnie strzelasz z łuku, zatem chyba potrafisz oceniać odległość, prawda?
- Jakieś trzydzieści metrów.
- To by się z grubsza zgadzało. Podszedłeś do niej?
- Nie.
- To skąd wiedziałeś, że nie żyje?
- Trudno było nie zauważyć.
- Racja – przyznał Sejer. – Zatrzymajmy się tam. Stoisz przy studni i patrzysz na Halldis. Przestraszyłeś się, prawda?
- Tak, przestraszyłem się.
- Kiedy zauważyłeś Errkiego?
- Rozejrzałem się – powiedział cicho. – Byłem przestraszony, więc rozejrzałem się dookoła. Na wszystkie strony.
- Postąpiłbym tak samo. Czy był daleko od ciebie?
- Stał w lesie, między drzewami.
- Widziałeś go wyraźnie?
- Bardzo wyraźnie. Poznałem go po włosach, bo ma przedziałek na środku głowy. Długie czarne włosy, jak woalka. Gapił się na mnie.
- Co zrobił, kiedy się zorientował, że go zauważyłeś?
- Nic. Nie ruszał się. No to uciekłem.

– I wybrałeś drogę prosto w dół, do miasta?
– Tak. Biegłem tak szybko, jak mogłem, z futerałem.
– Wcześniej spakowałeś łuk i schowałeś go do futerału?
– Tak. Biegłem przez cały czas, z zagrody Halldis na posterunek.
– Dobrze znasz Errkiego?
– W ogóle go nie znam. Przez okrągły rok szwenda się po okolicy. Jakiś czas temu zamknęli go w szpitalu. Zawsze nosi takie same czarne ciuchy, obojętnie czy to lato, czy zima. Zawsze. Jedyna rzecz, która była innego koloru to klamra od paska. Duża i błyszcząca.

Sejer skinął głową.

– Czy Errki cię zna?
– Widział mnie kilka razy.
– Czy wyglądał na przestraszonego?
– On nigdy nie wygląda na przestraszonego.
– I nic nie mówił?
– Nie. Tylko schował się za drzewa. Słyszałem trzask gałęzi. Potem szelest liści.
– Dlaczego miałeś zamiar odwiedzić Halldis?
– Chciałem się czegoś napić. Zresztą byłem tam już wcześniej. Znała nas wszystkich.
– Lubieś ją?
– Była bardzo surowa.
– Bardziej niż Margunn?
– Margunn wcale nie jest surowa.
– Ale wiedziałeś, że poczęstuje cię czymś do picia, musiała więc być miła.
– Była i miła, i surowa. Zawsze dawała nam to, o co prosiliśmy, ale przy okazji nas opieprzała.

– Dorośli bywają dziwni, prawda? – Sejer uśmiechnął się. – Czy wszyscy chłopcy stąd ją znali?

– Wszyscy oprócz Simona. Niedawno tu przyjechał.
– I od czasu do czasu chodziliście do niej, żeby porozmawiać?
– Prosimy ją o sok albo kromkę chleba.
– Czy któryś z was wchodził kiedyś do jej kuchni? – Sejer rzucił chłopcu badawcze spojrzenie.

– Skąd. Musieliśmy czekać przed drzwiami. Zawsze zmywała podłogę. Tak mówiła: „Właśnie zmyłam podłogę”.

– Rozumiem. Więc potem pobiegłeś do posterunkowego Gurvina, żeby mu

opowiedzieć, co się stało?

– Tak. A on pomyślał, że kłamię.

– Niemożliwe.

– Musiałem mu podać adres – powiedział zrezygnowany. – Wie pan, jak to jest.

– Wiem, wiem. – Sejer pokiwał głową. – Słyszałem, że dobrze strzelasz z łuku.

– Bardzo dobrze – odparł z dumą chłopak.

– Od kogo dostałeś ten łuk? Musiał sporo kosztować, prawda?

– Zapłacili za niego z opieki społecznej, żebym spędzał wolny czas w sensowny sposób. Kosztował dwa tysiące koron, ale to w sumie niedrogo. Kiedy będę... kiedy będę miał kasę, kupię sobie Super Meteora z włókna węglowego. Błękitny metalik.

Sejer mrugnął z podziwem.

– Kto cię uczy strzelać?

– Christian. Przychodzi dwa razy w tygodniu. Niedługo wystartuję w zawodach. Mówi, że mam do tego smykałkę.

– Wiesz, że z łuku można zabić człowieka, prawda?

– No pewnie – odpowiedział Kannick butnie.

Wiedział, co go teraz czeka. Skłonił głowę i zamknął oczy, przygotowując się na wymówki. W ten sposób udawało mu się zmieniać słowa w brzęczenie muchy.

– Kiedy się skradasz, inni cię nie słyszą. Jeśli nawet niechcący trafisz człowieka, który zbiera jagody, możesz go zabić. Czy kiedykolwiek o tym pomyślałeś?

– Przecież w lesie nigdy nikogo nie ma.

– Oprócz Errkiego?

Kannick zarumienił się.

– Tak, oprócz Errkiego. Ale on zwykle nie chodzi na jagody.

Obaj zamilkli. Sejer usłyszał stłumione głosy, dobiegające z podwórza. Chłopiec popatrzył na policjanta i przygryzł wargę.

– Gdzie jest teraz Halldis? – zapytał cicho.

– W piwnicach szpitala.

– Czy to prawda, że ciała wkładają do lodówek?

Sejer uśmiechnął się smutnie.

– Z wyglądu bardziej przypominają długie szuflady. Znałeś jej męża? – zapytał, zmieniając temat.

– Nie, ale dobrze go pamiętam. Zawsze jeździł traktorem. Nigdy się do nas nie odzywał. Dzieci go nie obchodziły. Poza tym miał psa. Kiedy Thorvald umarł, pies też

zdechł. Przestał jeść.

To ostatnie wspomnienie najwyraźniej rozbawiło Kannicka.

– Myślisz, że jak długo zostaniesz w Guttebakken?

– Nie wiem. – Chłopiec wbił wzrok w swoje kolana. – To nie ja o tym decyduję.

– Nie ty? – Sejer popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Robią, co chcą, i nic ich nie obchodzi to, czego ja chcę – odparł ze smutkiem.

– Ale tutaj dobrze się zaaklimatyzowałeś, prawda? Margunn powiedziała, że nieźle ci idzie.

– Nie mam się gdzie podziąć. Moja matka nie potrafi się mną zająć, a ja potrzebuję pomocy.

Utyskiwanie chłopca zwróciło uwagę Sejera.

– Życie nie jest łatwe, prawda? Co sprawia ci największą trudność?

Kannick zastanowił się przez chwilę, a potem powtórzył słowa, które słyszał tak wiele razy.

– Najpierw coś robię, a dopiero potem myślę.

– To się nazywa impulsywność – pocieszył go Sejer. – I jest typowe dla dzieci. Nie przejmuj się, z czasem wszystko samo się ułoży. Albo prawie wszystko. Zastanawiam się – zmienił temat – czy z miejsca, w którym stałeś, zauważyłeś, czy Errki nosił rękawiczki?

Zaskoczony Kannick zamrugnął powiekami, a jego źrenice poszerzyły się.

– Rękawiczki? Na taki upał? Nie widziałem jego rąk. Może trzymał je w kieszeniach? Trudno powiedzieć.

– Pytam dlatego – wyjaśnił Sejer – że musimy zidentyfikować odciski palców. Kilka z nich znaleźliśmy w domu. Jesteś pewien, że nie zauważyłeś ani nie usłyszałeś tam nikogo innego?

– Jestem pewien – mówił Kannick, energicznie przytakując. – Nie zauważyłem tam nikogo innego.

– Ale jeżeli był ktoś inny – kontynuował Sejer – Errki mógł go zobaczyć, nawet jeżeli ty go nie widziałeś?

– Myśli pan, że Errki nie zabił Halldis? – zapytał z zaskoczeniem.

– Nigdy nie zakładam niczego z góry.

– Przecież on jest stuknięty.

– Jest niezupełnie taki jak my – poprawił go Sejer z uśmiechem. – Powiedzmy, że potrzebuje pomocy. Jednak mam wrażenie, że trochę zbyt wielu miejscowych widzi w nim mordercę. Ludzie lubią mieć rację. Co powiedziałyby Halldis, gdyby Errki przybłąkał się do

jej ogrodu? – zapytał. – Znała go?

– Pewnie tak.

– Myślisz, że się go bała?

– Ona niczego się nie bała, to mogę panu powiedzieć. Ale Errki zawsze bierze to, co chce. Przynajmniej ze sklepów. Może wpadł do niej prosto do domu? Taki już jest.

– I wtedy się zdenerwowała?

– Potrafiła się wściec, kiedy jej nie słuchaliśmy. A Errki nigdy nie słucha nikogo.

– Aha. W takim razie najlepiej byłoby go odnaleźć, nie sądzisz?

– Załóżcie mu kaftan bezpieczeństwa?

Sejer roześmiał się.

– Mam nadzieję, że nie będziemy musieli. Ale na razie, może wy, chłopcy, powinniście się trzymać bliżej domu i przez jakiś czas nie biegać po lasach. Dopóki nie wyjaśnimy tej sprawy.

– Mnie to pasuje – zgodził się Kannick, kiwając głową. – Zresztą Margunn i tak zabrała mi luk.

Chłopcy zbili się w grupkę, obserwując, jak Sejer wsiada do samochodu. Nie miał czasu z nimi porozmawiać, wnieść powiewu świeżego powietrza z zewnątrz do zamkniętego świata, w którym żyli. Patrzyli na niego z lekceważeniem zmieszonym ze strachem. Kilku z nich już wcześniej było notowanych, innych dopiero czekały kłopoty z policją. Mały, ciemnowłosy chłopiec o imieniu Simon pomachał do odjeżdżającego Sejera. Inspektor myślał o nich przez całą drogę do szpitala. O grupce ponurych chłopców, którzy nie potrafili znaleźć dla siebie miejsca na świecie. Buntownicy. Z pewnością zainteresowałiby Sarę Struel.

Rozdział 15

– Elsi Johrma. – Sejer patrzył wyczekująco. – Urodzona 4 września 1950 roku. 18 stycznia 1980 roku miała wypadek i przetransportowano ją do tego szpitala. Nie wiem, czy przywieźli ją martwą, czy zmarła później w następstwie odniesionych obrażeń. Ale gdzieś w tym budynku musi się znajdować jej karta. Czy mogłaby pani spróbować znaleźć coś na jej temat?

W oczach pielęgniarki dało się zauważyć ciekawość, lecz równocześnie sprawiała wrażenie niechętnej. Był okres urlopowy, panował nieznośny upał, a szpital cierpiał na braki kadrowe. Sejer rozejrzał się po pomieszczeniu – ciasnym gabinecie zawalonym stosami skoroszytów i książek. Niedługo zabraknie tu miejsca dla ludzi.

– To było szesnaście lat temu – powiedziała, jakby Sejer nie mógł sobie tego obliczyć. – Teraz mamy komputery, ale jej przypadek chyba nie został wprowadzony do bazy danych, będę musiała zejść do archiwum w piwnicy i tam poszukać.

– Proszę popatrzeć pod 1980, litera „J”. Jestem pewien, że zna pani tam na dole wszystkie zakamarki, a ja mogę poczekać – powiedział.

Miała około dwudziestu pięciu lat. Była wysoka i dobrze zbudowana, z włosami upiętymi w koński ogon. Zsunęła okulary na czubek nosa i spojrzała na niego z nad czerwonych oprawek.

– Ale uprzedzam, jeżeli nie odzyskam czegoś od razu, będzie pan musiał przyjść później.

Wyszła, a on czekał cierpliwie, rozglądając się za czymś do czytania. Jediną rzeczą, jaką znalazł, był periodyk Stowarzyszenia do Walki z Rakiem, który go nie skusił. Usiadł więc i pograżył się w myślach. W takim miejscu nie mógł oprzeć się fali wspomnień z czasów, kiedy nerwowo pokonywał niekończące się korytarze, podczas gdy ciało Elise, poddawane najróżniejszym testom i badaniom, faszerowane lekami i naświetlane, stawało się coraz słabsze. Ten charakterystyczny zapach i stłumione głosy. Był w zupełnie innym świecie, gdy pielęgniarka znów pojawiła się w drzwiach.

– Udało mi się znaleźć tylko coś takiego.

Wręczyła mu krótki, jednostronicowy formularz przyjęcia pacjentki do szpitala.

– A protokół z sekcji zwłok? – zapytał.

– Nie było go tam.

– Czy mogłaby go pani poszukać? To dla mnie bardzo ważne.

– Musi pan poczekać do niedzieli. Może będę miała trochę czasu. Na razie to wszystko.

– Dziękuję – powiedział pokornie. – Czy mogę to zabrać ze sobą?

Wręczyła mu formularz do podpisu.

– Czy mogłaby pani poczekać jeszcze ze dwie minutki? – poprosił. – Chciałbym go przeczytać, a pewnie są tam jakieś medyczne terminy, których nie zrozumiałem.

Przebiegła wzrokiem kartkę i przeczytała na głos:

– Data przyjęcia: 18 stycznia, godzina 17.45. Zmarła w drodze do szpitala. Widoczne złamanie ręki i szczęki. Znaczny upływ krwi.

– Przepraszam, co? – spytał szybko Sejer. – Znaczny upływ krwi? Przecież ona tylko spadła ze schodów!

– Nie było mnie przy tym. Miałam wtedy dopiero dziesięć lat – odparła szorstko. Jednak potem ciekawość przeważała. – Naprawdę spadła ze schodów?

– Tak mi powiedziano. Jej syn był przy tym – wyjaśnił. – Ale miał wtedy tylko osiem lat.

– Przypuszczam, że to możliwe – powiedziała niepewnie. – Niestety, nie mogę panu pomóc. Chyba że znajdzie się protokół z sekcji zwłok.

Jeszcze raz uważnie przeczytała dokument.

– Tak – powiedziała wreszcie – to dziwne. Duży upływ krwi rzeczywiście mógł spowodować zgon. Ale z tego, co tutaj mamy, nie wynika, co było jego przyczyną.

– Jakie obrażenia można odnieść, spadając ze schodów?

– Całkiem poważne – odpowiedziała – zwłaszcza jeżeli jest się w podeszłym wieku.

– Tylko że ona nie była w podeszłym wieku. – Wskazał na dokument. – „Elsi Johrma, urodzona w 1950 roku”. To znaczy, że w chwili śmierci miała trzydzieści lat, prawda?

– Nie może pan spytać jej syna? Przecież mówi pan, że był przy tym.

– Właśnie próbujemy go odnaleźć.

Wstał i podziękował pielęgniarce. Po wyjściu zatrzymał się przed budynkiem Instytutu Medycyny Sądowej. Ciało Halldis było gdzieś w środku. Skierował się do głównych drzwi, nie wiedząc, co ma zamiar zrobić. Było o wiele za wcześnie na zadawanie pytań. Minie przynajmniej tydzień lub dwa, zanim przyjdzie kolej na autopsję zwłok Halldis. Pokazał odznakę przy recepcji i natychmiast wpuszczono go do środka. Tak, jak się spodziewał, zastał Snorrasona w jednej z sal operacyjnych. Stał odwrócony plecami do drzwi, zakładając lateksowe rękawiczki. Na stole leżał blady, niezbyt duży kształt. Nie większy od psa. Sejer skrzywił się na myśl, że mogłoby to być niemowlę.

Lekarz odwrócił się i uniósł brew.

– Konrad?

– Kto to jest? – zapytał inspektor, odwracając głowę ku zwłokom.

Snorrason zmarszczył brwi.

– Nie Halldis Horn, ale jestem pewien, że to zdążyłeś już zauważyć. Dziwię się, co tu robisz o tak niezwykłej porze.

Sejer uśmiechnął się krzywo.

– Wiem, że jeszcze nie kolej na nią. Ale byłem w pobliżu i pomyślałem, że cię tu znajdę.

– Aha.

– Wpadłem tylko po to, żeby na nią popatrzeć. Nic więcej. Żebym mógł zacząć myśleć. Słowo.

– Masz nadzieję, że coś ci powie?

– Coś w tym rodzaju.

Snorrason ściągnął rękawiczki.

– Nie ma zbyt wiele do powiedzenia.

– Wiem, ale chciałbym tylko raz szybko rzucić na nią okiem. Może nawet sam powiem kilka słów, jeżeli milczenie stanie się zbyt uciążliwe.

– Ale wolałbyś, żebym stał obok ciebie i głośno myślał. Jak cię znam, właśnie o to ci chodzi. Chociaż dobrze wiesz, jak bardzo tego nie znoszę.

– Tylko szybki rzut okiem.

– Nie widziałeś jej na miejscu przestępstwa? A może zdjęcia wam nie wyszły?

– Wyszły. Ale to było wczoraj.

W końcu patolog się poddał. Sejer wyszedł za nim z sali operacyjnej. Skręcili w lewo i zagłębiając się w trzewiach budynku, zeszli na dół do chłodzonego pomieszczenia, w którym leżało ciało Halldis. Po wyszperaniu właściwego numeru kartoteki, lekarz wysunął jedną z szuflad.

– Oto ona, panie inspektorze. – Odkrył prześcieradło.

To nie był ładny widok. Oko, które pozostało nietknięte, było czarne jak smoła. W miejscu, gdzie powinno znajdować się drugie, ziała głęboka dziura po motyce. Ostrze przecięło nos na pół, a krwawienie wewnętrzne zabarwiło czoło i skronie na ciemnoczerwony odcień fioleto.

– Osiem i pół centymetra szerokości, czternaście centymetrów głębokości. Dokładnie pasuje do rozmiarów ostrza – Snorrason ożywił się. – Lekka rana obronna na spodzie prawej

ręki, gdzie została draśnięta. Widoczny krwiak oczodołu w objętej urazem tkance łącznej prawego oka. W następstwie złamania kości czaszki.

Sejer przewyciężył odrazę i pochylił się nad twarzą martwej kobiety.

– Czy możesz mi powiedzieć coś o kącie uderzenia?

– Jedno z dwojga – Snorrason walczył ze swoimi zasadami – albo leżała, kiedy otrzymała cios, albo stała i właśnie podnosiła głowę ze zgrozą, kiedy zobaczyła, co się dzieje. Jak widzisz, ostrze trafiło w oczodół tuż pod brwią i zagłębiło się prawie pod samą podstawę czaszki.

– To wszystko stało się nagle i niespodziewanie, prawda?

– Nie mam zielonego pojęcia – stwierdził Snorrason. – Ale nie widać żadnych zewnętrznych oznak walki. Na przykład ubranie było nietknięte. Pamiętasz też chyba, że na nogach miała jeszcze saboty. Więc pewnie masz rację. I to mnie dziwi. Skoro zginęła od ciosu zadanego jej własną motyką, morderca nie mógł tego zaplanować. Spanikował i chwycił to, co miał pod ręką. Straszliwa wściekłość, ogromny strach albo jedno i drugie. Statystycznie rzecz biorąc, to rzadki typ morderstwa: zbrodnia w afekcie. Macie sporo odcisków palców, prawda?

– Tak – odparł Sejer. – Ale z domu. Z motyki udało nam się zdjąć tylko dwa niekompletne. Na szczęście mieszkała sama. Niewielu ludzi wpuszczała do środka, czyli niewielu cegokolwiek tam dotykało. Czas pracuje dla nas.

– Już dość widziałeś?

– Tak, dzięki.

Snorrason przykrył prześcieradłem twarz zmarłej i wsunął szufladę z powrotem na miejsce.

– Raport dostaniesz we właściwym czasie.

Sejer pojechał do komisariatu. Po drodze zauważył, że myśl o doktor Struel zakrada się do jego umysłu i zastępuje zmasakrowaną twarz, którą właśnie oglądał. Gładka, pokryta meszkiem skóra Sary. Ciemne oczy z jasnymi obwódkami wokół źrenic.

Tyle lat samotności. Ale przecież chciałem być sam, pomyślał. Dlaczego teraz pragnę czegoś innego?

Pomyślał znów o Elsi Johrmie. Dlaczego potknęła się na schodach? Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie, jakaś przyczyna nagłej utraty równowagi. Spadła ze schodów we własnym domu, ze schodów, po których wspinała się do góry i schodziła na dół niezliczoną ilość razy. Może biegła, a może schody były mokre? Musiał istnieć jakiś powód, podobnie jak istniał

powód, że odniesione urazy spowodowały jej śmierć, chociaż równie dobrze mogła wyjść z tego ze wstrząśnieniem mózgu i złamaniem nadgarstka. Kiedy będę stary, postanowił, wróć do wszystkich nierozwiązanych spraw, których akta trzymamy na komendzie. Popracuję nad nimi w spokoju, dziennikarze nie będą mi suszyć głowy, a ja przeanalizuję wszystko jeszcze raz, ale tym razem tak, jak sam chcę. Pracę zamienię w hobby, a żyć będę z emerytury. Kollberg będzie mnie grzał w nogi. Będę popijał whisky i robił sobie skręty. Co za radość!

Podobnie w Piśmie Świętym opisano przejście przez Morze Czerwone. Na widok Skarrego, stojącego w otwartych drzwiach, ubrani na biało, zaaferowani ludzie rozstąpili się na boki. Wszedł do ogromnej, parnej kuchni i spojrzał w kierunku wskazanym przez kucharza. Tam, przy zmywarce. To jest Kristoffer Mai.

Na razie Skarre widział tylko szerokie plecy, krótką szyję i rude włosy chłopaka. Był jedyną osobą w pomieszczeniu, która nie zauważyła, że wchodzi ktoś obcy. Właśnie wyjmował ze zmywarki kosz z kilkudziesięcioma parującymi kieliszkami do wina. Nie zwrócił uwagi na ciszę, która zaległa w kuchni, dopóki nie odstawił ciężaru. Wtedy odwrócił się i zobaczył Skarrego.

– Kristoffer Mai?

Chłopak skinął głową. Sprawiał wrażenie, że gorączkowo przetrząsa zakamarki pamięci, by wyjaśnić przyczynę niespodziewanej wizyty. Potem sobie przypomniał. Musiało chodzić o ciotkę Halldis. Opanował się i szybko skinął głową, wycierając dłonie. Wyłączył maszynę. Kropelki potu wystąpiły mu na czoło.

– Czy możemy gdzieś usiąść i porozmawiać?

– W pokoju socjalnym – powiedział Mai, wskazując gościowi drogę. Oczy miał wbite w ziemię, bo czuł, że wszyscy mu się przyglądają. Nigdy przedtem nie zwracali na niego uwagi, nie wiedział więc, jak sobie poradzić z nową sytuacją.

Pomieszczenie było długie i wąskie. Usiedli w kącie, odwrócenii plecami do drzwi. Skarre spojrzał na młodą twarz mężczyzny i poczuł, że ogarnia go przygnębienie. Ilu ludzi jeszcze w życiu poznam, pomyślał, z powodu jakiegoś makabrycznego i brutalnego morderstwa? Co będę o tym wszystkim sądził za dziesięć lat? Bez przerwy wypyuję niewinnych ludzi: Gdzie wczoraj byłeś? Kiedy wróciłeś do domu? Jak opisałbyś teraz swoją sytuację finansową? Takie rzeczy pozostawiają ślady w psychice.

Z tylnej kieszeni wyjął notatnik.

– Trudno nie zauważyć, że macie tu gorąco – zaczął przyjaźnie, spoglądając na poczerwieniałą twarz.

– Mnie to odpowiada – odparł Mai z przelotnym uśmiechem. – Pochodzę z Hammerfest. My, ludzie z północy, zawsze marzniemy.

Skarre otworzył notatnik i zaczął.

– Kiedy się pan dowiedział o śmierci ciotki?

– Wczoraj wieczorem zadzwoniła do mnie moja matka.

– I co panu powiedziała?

Podniósł wzrok ku elektrycznemu wentylatorowi na suficie i westchnął ciężko.

– Że ktoś włamał się do jej domu, ukradł jej wszystkie pieniądze, zabił ją siekierą i uciekł.

– Motyką – poprawił go Skarre.

– Co za różnica – powiedział cicho. – Ludzie mówią, że miała dużo pieniędzy.

– Co panu o nich wiadomo?

– Miała pół miliona – odparł Mai. – Ale wszystko trzymała w banku.

– Wiedział pan o tym?

– Cholera, no pewnie że wiedziałem. Była dumna z tych pieniędzy.

– Czy mówił pan o tym jeszcze komuś?

Chłopak rzucił Skarremu badawcze spojrzenie.

– Komu na przykład?

– Znajomym. Kolegom.

– Raczej trzymam się z dala od innych – powiedział otwarcie.

– Ale rozmawia pan z ludźmi?

– Tylko z gościem, od którego wynajmuję pokój. Z nikim innym.

Chłopak poprawił się na krześle i rzucił Skarremu badawcze spojrzenie.

– Jest pan tutaj, żeby mnie przesłuchać w tej sprawie? Czy nie tak to nazywacie?

Skarre odłożył notatnik i spojrzał na Maia. Ani przez chwilę nie przeszło mu przez myśl, że ten miody człowiek mógłby kogokolwiek zamordować, a już z pewnością nie własną ciotkę dla pieniędzy. Wizyta policjanta została jednak właśnie w ten sposób odebrana. Zastanawiał się, jak czuje się teraz przesłuchiwany. Czy wystarcza mu przekonanie, że ma sumienie czyste jak kryształ? A może gdzieś w duchu czaił się niepokój, bo wiedział, że ktoś brał taką możliwość pod rozwagę? Kristoffer Mai miał zielone oczy. Wyglądały niewinnie. Skarre nagle uświadomił sobie, że wszyscy tak wyglądali – absolutnie wszyscy, których przesłuchiwał, pytał i z którymi rozmawiał. Może wystarczyło, że kiedyś, w tragicznym położeniu, każdy z nich o czymś takim pomyślał. Halldis ma furę pieniędzy, a ja haruję na zmywaku jak wół za marne grosze. A gdyby tak... ?

– Odwiedzał ją pan od czasu do czasu, prawda?

– Jeżeli trzy razy na rok znaczy od czasu do czasu, odpowiedź brzmi: tak.

Skarre spróbował złagodzić uśmiechem sugestię, kryjącą się za następnym pytaniem.

– Kiedy był pan u niej ostatni raz?

Mai zerknął przez okno i wzruszył ramionami.

– Jakież trzy miesiące temu. Czy to dawno, czy nie, zależy od pana interpretacji.

– Wysłał jej pan list? Nadany sześć dni temu?

Pokręcił się na krześle nieswojo.

– Właśnie o tym myślałem. Że w ostatnich dniach życia czekała na kogoś, kto nie przyjechał.

– Dlaczego nie przyjechał pan, tak jak obiecywał?

– Duża część personelu poszła na chorobowe i musiałem brać nadgodziny.

– Czy zatelefonował pan do niej, żeby uprzedzić, że przyjedzie pan później?

– Niestety nie – wymamrotał. – Jestem taki sam jak większość ludzi. Zajęty swoim własnym życiem. Przynajmniej teraz to zrozumiałem.

Skarre znał ten rodzaj poczucia winy, który pojawiał się zawsze, gdy ktoś umierał. W takich okolicznościach, nawet jeżeli ludzie nie mieli powodu, czuli się winni.

– Lubi pan swoją pracę? – zapytał. Miał wrażenie, że traci tu czas, siedząc i wypytując jednego z niewielu krewnych zamordowanej kobiety, jedną z nielicznych osób, które od czasu do czasu ją odwiedzały. Równocześnie nie mógł zrozumieć własnego skrepowania. Przecież po to tu przyjechał. Może jestem przepracowany, pomyślał, a to znak, że przydałby się urlop.

– Od kogo wynajmuje pan mieszkanie? – zapytał. – Bo nie ma pan swojego, prawda?

– Tak, wynajmuję małe mieszkanie z osobnym wejściem i łazienką. Płacę dwa i pół tysiąca miesięcznie. Jest zupełnie w porządku, a i na właściciela nie mogę narzekać. Czasami robi gofry, wtedy puka do mnie, żeby mnie poczęstować. Chyba czuje się samotny. Może mieć około siedemdziesiątki. Wspominam panu o jego wieku tak na wszelki wypadek. Nawet jeżeli coś mi się przy nim wyrwało o pieniądzach Halldis, nie dalby rady pojechać tak wysoko do lasu, żeby je ukraść.

Skarre uśmiechnął się.

– Wiem, co chce pan przez to powiedzieć. Nie sędzę, żebym musiał się z nim spotykać. Przyjmijmy, że skreślał go z listy podejrzanych ze względu na wiek.

Kiedy wypowiadał te słowa, przyszło mu do głowy, że właśnie popełnił błąd. Być może mężczyzna był dużo młodszy i spędzał z Kristofferem sporo czasu. Przy kieliszku gawędzili o różnych sprawach. Samotnemu chłopakowi z północy nie udało się z nikim

zaprzyjaźnić, ale miał ciotkę, która mieszkała sama w lesie. A ciotka miała pieniądze. Wypnęło mu się to kiedyś nad podwójną whisky. Pół miliona. A gdyby tak... ?

– Ale na wszelki wypadek poproszę pana o jego nazwisko – dodał po namyśle Skarre.

Mai wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni. Przejrzał jego zawartość, wyjął paragon i przesunął po stole w stronę policjanta.

– Dowód przelewu czynszu – powiedział. – Tu jest nazwisko i adres. Proszę bardzo, niech pan sobie zapisze.

Skarre otworzył szeroko oczy i prawie krzyknął ze zdumienia. Adres we wschodniej dzielnicy. A do tego nazwisko: Rein. *Thomas Rein*.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Muszę sprawdzić jeden mały szczegół. Wynajmuje pan mieszkanie od mężczyzny, który nazywa się Rein? Thomas Rein? Czy używa imienia Tommy? I czy nie jest przypadkiem trochę młodszy, niż pan powiedział?

Mai spojrział na niego zaskoczony, ale jednocześnie miał się na baczności. Wyraz jego twarzy zdradzał szczerą zmieszanie z lękiem.

– Nie. Facet ma swoje lata – powiedział zdecydowanie. – Ale ma syna. To on ma na imię Tommy i oficjalnie to on jest właścicielem mieszkania. Wynajmuje, gdy nie jest mu potrzebne.

– A gdzie jest teraz?

– Nie wiem. Słyszałem tylko, że gdzieś wyjechał.

Skarre opanował się. Pośpiesznie nagryzmołił coś w notesie, starając się oddychać miarowo i spokojnie. Naśladując swojego szefa, przywołał na twarz wyraz niewzruszonego spokoju.

– A wczoraj, o której zaczął pan pracę?

– W południe. Jest parę osób, które mogą to potwierdzić. Ale skoro zabójstwa dokonano wcześniej rano, oczywiście nie można mnie wykluczyć. – Ton głosu chłopaka stał się arogancki. Zauważył, że policjant jest w stanie najwyższego pogotowia i próbował się bronić przed niedostrzegalnym niebezpieczeństwem.

– Czy ma pan samochód?

– Starego gruchota.

– Rozumiem – powiedział Skarre. – Czy był pan blisko z Halldis?

– Raczej nie.

– Ale odwiedzał ją pan.

– Tylko dlatego, że matka suszyła mi o to głowę. Sam pan rozumie, dostaniemy po niej spadek. Ale te kilka razy, kiedy byłem u niej, wspominam bardzo miło. Nawet nie

myślałem o tym wcześniej. Dopiero teraz, kiedy nie żyje.

– Więc nigdy nie spotkał pan mężczyzny nazwiskiem Tommy Rein? – spytał Skarre.

– Nie. Dlaczego pan pyta?

– To przedostatnie pytanie na mojej liście.

– Czysta rutyna? – upewnił się Mai.

– Coś w tym rodzaju.

– Więc jakie jest ostatnie pytanie?

– Errki Peter Johrma. Czy kiedykolwiek słyszał pan takie nazwisko?

Kristoffer Mai wstał i zasunął krzesło pod stół. Kosmyk rudych włosów opadł mu na czoło, gdy wkładał portfel z powrotem do kieszeni.

– Nie – odpowiedział. – Nigdy o nim nie słyszałem.

Rozdział 16

Errki powoli budził się z twardego snu. Ostrożnie przewrócił się na bok i leżał wpatrzony w ścianę. Stopniowo zbierał myśli i przypominał sobie, gdzie jest. Miał rewolwer. Nigdy wcześniej nie strzelał, ale wiedział, że wymaga to dużej siły. Z bronią w dłoni wyszedł z sypialni, minął kuchnię i zajrzał do pokoju dziennego.

Morgan spał. Miał mokre włosy, a jego czoło lśniło od potu. Może naprawdę rozwijała się u niego jakaś infekcja. Errki nie przejmował się tym. Tylko zanotował fakt, bez żadnego poczucia winy. Odgryzł mu nos w odruchu obronnym. Na dodatek wcale nie prosił się o jego towarzystwo. Poszedł do miasta, bo miał makabryczny sen, który wstrząsnął nim do głębi. Próbował od niego uciec. Gdy poczuł się bezpieczny, zasnął i spał długo w pustej stodole, z workiem pod głową, więc kiedy się obudził, piekła go twarz i szyja. Potem poszedł do miasta. Musiał się przekonać, czy istnieje jeszcze świat pełen ludzi i samochodów. Na asfaltowych ulicach zrobiło się jeszcze goręcej, wszedł więc do banku, bo tam było chłodno, poza tym w oknie zauważył fotele sprawiające wrażenie wygodnych. Nie było żadnego innego powodu.

Zatrzymał się przy tapczanie, na którym leżał Morgan, i ukrył broń za plecami. Przez chwilę wyobrażał sobie, że celuje i pociąga za spust, a blond głowa na zielonej kanapie eksploduje jak melon, rozpryskując swoją zawartość we wszystkich kierunkach. I będzie po nim. Za sekundę przestanie istnieć. Tak samo jak ten stary przy kościele.

Morgan przewrócił się i jęknął cicho, a potem otworzył oczy.

– Jesteś chory – powiedział Errki.

Mężczyzna mruknął, że tak, że naprawdę jest bardzo chory. Czuł słabość rozlewającą się po całym ciele. Miał wrażenie, że tonie. Gdyby tylko mógł oddać się pod opiekę komuś, kto zająłby się nim i wziął za niego odpowiedzialność.

– Trzeba ci czegoś? – spytał Errki przyjaznym tonem.

Morgan jęknął.

– Tylko kulę w łeb, to wszystko.

Errki wyjął broń zza pleców, pochylił się i przyłożył mu lufę do głowy dokładnie między oczami.

– Szach-mat – powiedział, uśmiechając się. – I po królu.

– Co tak studiujesz? – zapytał Skarre. Wyjął z kieszeni notatnik i rzucił go na fotel stojący obok miejsca, na którym siedział Sejer.

– Ślady butów – mruknął inspektor. – Siedzę tutaj, przyglądam im się i mam dziwne wrażenie, że coś tu nie gra.

Podał fotografie Skarremu, który taktownie postanowił, że później opowie szefowi o własnych odkryciach.

– Powiedz mi, co widzisz – poprosił Sejer.

Skarre przyjrzał się zdjęciom.

– Siedem śladów podeszew, z których trzy, nie, cztery faktycznie do niczego nam się nie przydadzą. Ale pozostałe trzy są całkiem wyraźne. Widać dobrze wzór bieżnika. Rowki – stwierdził. – Albo fale. Rozmiar średniej wielkości, chyba dziewiątka, prawda?

Sejer skinął głową.

– Mów dalej.

– Jest jeszcze coś, co powinienem zauważyć?

– Tak mi się wydaje.

Skarre znów przyjrzał się fotografiom. Odłożył na bok jedną z nich, zostawiając sobie dwie pozostałe. Te same, które wybrał Sejer i w które wpatrywał się przez całą wieczność.

– Oba to ślady prawych butów – Skarre powiedział cicho. – Najprawdopodobniej butów sportowych. Zgadza się.

– Jeden z nich jest wyraźniejszy od drugiego.

– Zgadza się.

– A tutaj – wskazał palcem – jedna z fal bieżnika ma przerwę. Wydaje mi się, że podeszwa jest pęknięta.

– Tylko, że na drugim zdjęciu niczego takiego nie ma – Sejer wpatrywał się w niego uważnie.

– Jesteś pewien, że to ten sam but? Oba to ślady prawych butów, nie?

– Ale czy na pewno są takie same?

– Nie bardzo wiem, do czego zmierzasz. Może to kamyk? Kamyk, który zaklinował się w rowku i zakłóca wzór jednej z fal.

– Kamień w podeszwie, który później wypadł? O tym myślisz? – Sejer wciąż wpatrywał się w niego.

– No właśnie. To całkiem możliwe.

– Albo podeszwa jest uszkodzona – mówił dalej Sejer. – Jeszcze coś: jeden ślad jest słabszy od drugiego. Jakby ta druga była bardziej wytarta.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Skarre.

– Kto wie, czy nie było ich dwóch.

– Zabójców?

– Tak.

– I obaj nosili takie same sportowe buty z falistym bieżnikiem?

– Właśnie takie buty teraz się nosi. Zwłaszcza wśród młodych ludzi.

– W takim razie to raczej nie był Errki – wyrzekł powoli. – On zawsze chodzi sam.

– Skok ze spadochronem jest coraz bliżej – oznajmił wesoło Sejer. – Myślę, że powinniśmy spróbować z pięciu tysięcy stóp. Wtedy na pewno będziesz zadowolony.

Skarre czuł, jak ogarnia go fala niepokoju. Odetchnął głęboko, żeby uporządkować myśli.

– Najgorsza chwila przychodzi wtedy, kiedy otwierają drzwi – dodał Sejer. – Ryk wiatru i lodowate powietrze. Zdziwisz się, jak zimno może być na takiej wysokości.

– Coś ci pokażę – zagadał Skarre, szybko zmieniając temat.

Otworzył notatnik i wskazał palcem. Sejer czytał ze zmarszczonymi brwiami, a potem powoli skinął głową.

– Znalazłeś go?

– Zdaniem Kristoffera, Tommy wyjechał, ale mówi, że nie wie dokąd. Poszedłem pod wskazany adres, ale ojca nie zastałem. Sąsiad powiedział, że wybrał się gdzieś na weekend.

– W takim razie spróbujemy jeszcze raz w niedzielę wieczorem. Może kogoś zastaniemy. A skoro już o tym mówimy, może powinieneś wykupić jakieś ubezpieczenie na życie? Polecam Duo Insurance. Znajdę ci numer telefonu.

– Niepokoi mnie trochę, że syn wyjechał, a kiedy chcę znaleźć ojca, on też znika.

– Pewnie ma chatę w górach. Masz narty albo coś w tym rodzaju? Nie ma po co kupować kombinezonu do skoków ze spadochronem tylko na jeden raz. Ale buty są ważne. Na wszelki wypadek dokup w aptece ochraniacze na kolana.

Sejer, siedząc w fotelu, przechylił się do tyłu i uśmiechnął wesoło do podwładnego.

– Wiedziałeś, że w „King's Arms” jest pięćdziesiąt różnych gatunków piwa? – odgryzł się Skarre. – Mają otwarte do drugiej w nocy, więc jak zaczniemy o ósmej wieczorem, może nam się udać posmakować większości z nich. Na wszelki wypadek zarezerwuję stolik blisko toalety.

– Ciśnienie wiatru jest tak olbrzymie, że gdybyś otworzył usta podczas spadania, nie dasz rady ich zamknąć. Wywracają się na lewą stronę i masz wtedy uśmiech jak ropucha.

– W barze powiedzieli mi, że mają Famous Grouse, twoją ulubioną whisky.

– Lepiej skup się na skoku. Ale wracając do tematu, może w całej tej sprawie nie chodzi wcale o to, co nam się wydaje. Ktoś musiał bardzo potrzebować tych pieniędzy. Jeżeli

Tommy Rein się ukrywa, prawdopodobnie ma swoje powody. Może wszedł z kimś w znowę?

– W takim razie napadliby ją wieczorem, a nie wcześniej rano. Poza tym przyjechaliby samochodem, żeby szybciej uciec – Skarre wstał. – Nie zapomnij załadować lodówki piwem. Nie znam nic lepszego na kaca.

Sejer nie usłyszał pukania. Nagle w drzwiach pojawiła się Sara z torebką w ręku. Zdążyła wpaść do domu i się przebrać. Do domu i do Gerharda, pomyślał.

Zrobiła kilka kroków naprzód i zatrzymała się przed biurkiem głównego inspektora, a on próbował ukryć zaskoczenie i emocje, które nim zawładnęły.

Sara Struel wpatrywała się w niego. Sejer wyglądał na zaskoczonego, jednak robił wszystko, żeby się opanować.

– Czym mogę pani służyć? – wyjąkał.

– Jeszcze nie wiem – powiedziała wesoło.

Zaległa kompletna cisza. Oczy jej się śmiały. Sejer odpowiedział speszonym uśmiechem, czując, że zastyga mu on na twarzy.

– Nie zapyta mnie pan, dlaczego jestem tutaj? – mówiła, nadal się uśmiechając.

Wybierasz się z Gerhardem w podróż do Izraela i potrzebujesz nowych dokumentów, a biuro paszportowe jest na pierwszym piętrze, więc pomyślałaś, że załatwisz obie sprawy naraz.

– Nie jest pan ciekawy?

Raczej przestraszony.

– W tej chwili jest pan tak samo bezradny, jak tamta ropucha – zauważyła bez cienia złośliwości. – Przyszłam tutaj, bo chciałam znów pana zobaczyć.

Za chwilę nie będę w stanie odróżnić snu od jawy.

– Zaszło mi w gardle. – Rozejrzała się po gabinecie. – Czy ma pan coś do picia?

Wstał, jak we śnie, i podał szklankę wody.

Może Gerhard ją bije, więc Sara chce od niego odejść?

– Przepraszam – powiedziała miękko. – Postawiłam pana w kłopotliwej sytuacji, ale uważam, że dobrze być szczerym.

– Tak, oczywiście – odpowiedział z powagą, jakby była świadkiem, który poinformował go o czymś tak ważnym, że natychmiast musiał zająć się sprawą.

– Wiem, że uczucia innych ludzi mogą być zupełnie odmienne. Ale przecież jesteśmy dorośli.

– Nie ma w tym nic złego.

Jednym haustem opróżnił całą szklanę wody i wlepił wzrok w podkładkę leżącą na biurku, w targany wojnami kontynent afrykański. Jakież uczucia wzbierały także w jego wnętrzu. Czuł się łatwopalny jak beczka z benzyną. Gdyby jej dłoń – drobna iskra – zbliżyła się do niego, wzniciłaby pożar. Leżała na biurku, miękka i smukła, niedaleko jego ręki.

– Nie groziłam panu śmiercią – powiedziała, uśmiechając się łagodnie i poklepując go po dłoni.

– Śmiercią? – zapytał.

– Powiedziałam tylko, że chciałam pana znów zobaczyć. Nic więcej.

– Jesteśmy wdzięczni za każdą pomoc – wyjąkał nieskładnie. Na pewno przypomniała sobie o jakimś ważnym dla sprawy szczególe.

– W takim razie pomogę panu trochę – powiedziała, spoglądając mu głęboko w oczy.

– Proszę tylko odpowiedzieć na jedno pytanie.

Skinął głową ulegle i uprzejmie, ściskając w dłoni szklanę.

– Cieszy się pan, że mnie widzi?

Główny inspektor Konrad Sejer, waga – osiemdziesiąt trzy kilogramy, wzrost – metr dziewięćdziesiąt sześć centymetrów, wstał i podszedł do okna. Przez chwilę przyglądał się rzece i łodziom. Nie sądził, że coś takiego będzie możliwe.

Mój system obronny załamuje się, pomyślał. Odsłaniam się aż po zakamarki mojej duszy. I nie mam się gdzie ukryć.

– Mam dużo czasu – mówiła łagodnie. – Zaczekam na odpowiedź.

Czy coś zacznę, jeżeli odpowiem? Weź się w garść, człowieku, pomyślał. Przecież nie przyznajesz się do zabójstwa. Wystarczy, że powiesz tak.

Powoli odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

Zgłoszenia od osób utrzymujących, że widziały Errkiego, zasypywały centralę telefoniczną komisariatu policji. Miał przebywać w czterech miejscach odległych od siebie tak bardzo, że fizyczną niemożliwością było pokonanie dzielących je dystansów w tak krótkim czasie. Młoda kobieta z wózkiem spacerowym spotkała go na drodze numer 285 i zapamiętała napis na jego koszulce. W tym samym czasie kasjerka na stacji benzynowej Shella pod Oslo stwierdziła, że coś u niej kupował. Przyszedł pieszo i tak samo odszedł. Kierowca ciężarówki przewiózł go przez szwedzką granicę w Orje.

Niestety, tylko ta ostatnia informacja dotarła do Kannicka Snellingena. Powtórzył ją Palte.

– Przed chwilą mówili w radiu, że jedzie teraz do Szwecji. Pomyśl o tym biednym

kierowcy, Kannick. Gość nie ma pojęcia, kogo wiezie w kabinie!

Przerażony? Nie on. Kannick zgubił w lesie dwie strzały. Dwie strzały z włókna węglowego marki Green Eagle, z prawdziwymi piórami, po sto dwadzieścia koron sztuka. Perspektywa czekania choć chwilę dłużej była nieznośna. Musiał je odnaleźć. W lesie są zwierzęta i mogą je stratować. Albo zaczną padać, i powoli, ale systematycznie będą się zapadać w ziemię, aż wreszcie znikną. Dokładnie pamiętał miejsce, w którym stał, gdy je wystrzelił, i w myślach potrafił odtworzyć tor ich lotu poprzez korony drzew, do miejsca, w którym powinny były spaść. Kiedy tylko usłyszał o Errkim, postanowił wyruszyć na poszukiwania, ale robiło się późno, a na jego wyprawę nie wyraził zgody żaden z wychowawców. Teraz siedział w swoim pokoju i wyglądał na podwórze. Udało mu się wywołać długie i satysfakcjonujące beknięcie. W ustach poczuł smak pora i brukwi z potrawki, którą jedli na obiad. Dzisiaj nie wybierali się na pływalnię, a Margunn jak zwykle była pochłonięta papierkową robotą i podobnymi rzeczami. Łuk schowała w swoim gabinecie, w dużej metalowej szafce, gdzie trzymała tych kilka wartościowych przedmiotów, które posiadali. Karsten miał aparat fotograficzny, a Philip – scyzoryk, którego wolno mu było używać tylko w obecności kogoś dorosłego. Szafka była zamykana na klucz, który Margunn przechowywała w szufladzie swojego biurka w małym plastikowym pudełku, razem z innymi ważnymi kluczami. Wszyscy o tym wiedzieli.

Spojrzał tęsknie w stronę lasu i spostrzegł kilka wron szybujących po niebie. Zauważył też parę mew. Nie więcej niż kilometr od nich znajdowało się wysypisko śmieci, gdzie miały dość pożywienia, dlatego rosły duże i tłuste jak albatrosy. Widział też Karstena. Stał przy piecu do spalania śmieci, pochylony nad rowerem. Próbował przymocowywać koszyk bidonu do ramy. Uchwyt musiał być za luźny, bo właśnie wpychał pod niego ucięty wcześniej kawałek gumowego węża jako podkładkę. Bez przerwy ocierał pot z czoła, więc zdążył już pomazać sobie całą twarz. Inga stała obok i przyglądała się. Była najwyższa w Guttebakken, wyższa nawet niż Richard, chuda jak lalka Barbie i piękna jak madonna.

Karsten próbował się skupić, ale to nie było łatwe. A Inga, co było wyraźnie widać, miała niezły ubaw.

Plusem życia w Guttebakken jest to, że gorzej już być nie może, pomyślał Kannick. Przynajmniej nie dużo gorzej. Gdyby uciekł albo złamał jakieś zasady, wysłano by go z powrotem do domu. Czyli do Guttebakken. Nie można go było zamknąć w żadnym okropnym miejscu, bo był jeszcze za młody. Miejsc takich jak Ullersmo albo więzienie w Ila nie musiał się jeszcze obawiać. Należały do przyszłości, którą tak naprawdę się nie przejmował. Ale właśnie o niej zawsze mówili dorośli. „Kannick, co z ciebie wyrośnie?” „Na

pewno nic podobnego do tego, co tu i teraz widzicie" – brzmiała odpowiedź. Ten okropny budynek i ten regulamin. Wspólny pokój z Philipem i słuchanie noc w noc jego charczenia. Mycie naczyń i odkurzanie pokoju telewizyjnego. Do tego zrzęczenie Margunn.

Podjął decyzję. Odszedł od okna i otworzył drzwi na korytarz. W oddali słyszał głos wychowawczynie i szum wody. To oznaczało, że pierze i że jest z nią Simon, który, jak zawsze, coś plecie. Musiała być na dole w pralni, czyli na pierwszym piętrze obok pryszniców. Gabinet, w którym zamknęła jego łuk, znajdował się w przeciwległej części budynku. Kannick był gruby, ale wcale nie ociężały. Wymknął się i ukradkiem zszedł zewnętrzną klatką schodową, która pełniła funkcję wyjścia ewakuacyjnego i, zgodnie z przepisami, zawsze była otwarta. Przeżyli już dwa pożary, bo Jafa uwielbiał strażackie mundury. Stopnie skrzypiały. Z największą ostrożnością Kannick rozkładał ogromną masę swojego ciała na wąskich stopniach schodów. Podszedł do drzwi gabinetu, obawiając się przez chwilę, że zamknęła je na klucz. Margunn uważała jednak, że chłopcy nie powinni nigdy całować klamki. Kannick wśliznął się do środka, obrzucił szafkę przelotnym spojrzeniem i palcem odsunął szufladę, w której znalazł pudełko z kluczami. Starał się działać szybko, nie robiąc zbyt wiele hałasu. Zdjął małą kłódkę. W środku szafki, schowana w futerale, spoczywała jego duma i radość – jego własna ciemnoczerwona centra z czarnymi ramionami. Serce waliło mu w piersi, gdy wyjmował futerał, zamykał szafkę, odkładał klucz na miejsce i wychodził z gabinetu. Zszedł do sutereny i opuścił budynek tylnymi drzwiami. Od strony dziedzińca nikt nie mógł go zauważyć. Z oddali słyszał śmiech Ingi.

Kannick znał w lesie każde drzewo. Wkrótce odnalazł ścieżkę, którą chodził już wcześniej setki razy. Jego kroki – teraz cięższe, bo nikt go nie słyszał – sprawiały, że ptaki przestawały śpiewać, jakby wyczuwając obecność uzbrojonego człowieka. Kannick wybrał drogę prowadzącą na zachód od zagrody Halldis. Nie chciał podchodzić zbyt blisko. Niepokoiła go myśl o martwej kobiecie i wiedział, że gdyby znów zobaczył jej dom, drzwi i schody, cała groza tamtych wydarzeń znów stanęłaby mu przed oczami. Poza tym strzały wylądowały gdzie indziej. A przecież chodziło mu o to, żeby je odzyskać. Gdy mu się to uda, spróbuje ustrzelić wronę lub dwie, a potem wróci do domu. Może nawet wystarczy mu czasu, żeby odłożyć łuk z powrotem na miejsce, a Margunn nie zorientuje się, że go zabrał? Nie pierwszy raz tak robił. Kannicka śmieszyli ludzie tacy, jak ona, którzy zawsze mieli jak najlepsze mniemanie o innych. Uważała, że to jej moralny obowiązek, swego rodzaju wyznanie wiary. Jak wtedy, gdy zamienił w kasetce z pieniędzmi banknot tysiąckoronowy na pięćsetkoronowy, a ona nie mogła uwierzyć, że jeden z jej podopiecznych zrobił coś takiego. Złożyła to na karb własnej omylnej pamięci, twierdząc, że w dzisiejszych czasach wszystkie

banknoty wyglądają podobnie.

Mozolnie posuwał się naprzód. Mimo swej tuszy miał dobrą kondycję, ale i tak oddychał szybciej i zaczął się pocić. Zagłębiając się w las, stopniowo wchodził w świat własnej fantazji. Znajdował się w sekretnym miejscu, o którym nie wiedział nikt inny, gdzie prawie zapominał o czasie i przestrzeni, a otaczające go drzewa zmieniały kształty, stając się egzotycznym lasem z rwącą rzeką w oddali. Był Geronimo w górach Arizony. Jego zadaniem było schwytać szesnaście koni, by zdobyć rękę pięknej Alope. Zamknął oczy, otwierając je tylko na krótkie chwile, żeby się nie potknąć.

Wiatr szeptał mu na ucho: Nimo, Nimo. W łóżku ukrywał pięćset skalpów białych twarzy. Pieścił futerał dłonią i myślał tak samo, jak wielki wódz: We wszystkim ukryta jest moc. Dotknij jej, a wtedy ona przejdzie na ciebie.

W oddali usłyszał szczekanie psa. Poza tym w lesie panowała cisza.

Rozdział 17

Morgan poczuł, jak krople zimnego potu występują mu na czoło. Przed jego oczami kołysała się lufa broni. Może jeszcze nie całkiem się rozbudził? A może to infekcja, która rozprzestrzeniała się stopniowo po całym ciele, dotarła już do mózgu i wywoływała przywidzenia, gorączkowe majaki?

Spojrzał na Errkiego i pomyślał, jak koszmarnym doznaniem muszą być dla niego wizje śmierci, zniszczenia i kary, upiorne lęki przeżywane bez przerwy dzień po dniu, rok za rokiem.

– Jestem chory – jęczał. – Chyba się zaraz zrzygam.

Spał długo. Światło na zewnątrz zmieniło się, a cienie urosły.

Errki zauważył, że skóra Morgana nabrała żółtawego odcienia. Opuścił broń.

– No to rzygaj – powiedział. – Na podłodze i tak jest chlew. Nie będzie widać różnicy.

– Gdzie, do cholery, znalazłeś tę broń? Przecież widziałem, jak wrzucasz ją do wody!

– Morgan z wysiłkiem podniósł się i usiadł, żeby lepiej widzieć. – Miałeś ją przy sobie przez cały czas, prawda?

Skulił się, chcąc mu utrudnić trafienie.

– Dlaczego nie zastrzeleś tej starej? Mówili w radiu, że zakatowałeś ją na śmierć!

Errki czuł, jak policzki czerwienieją mu z gniewu. Znów podniósł rewolwer.

Morgan krzyknął:

– No, dalej, strzelaj! Guzik mnie to obchodzi!

Zaskoczyły go własne słowa, ale zorientował się, że mówi poważnie i że już mu na niczym nie zależy.

– Musisz iść do lekarza – powiedział Errki z namysłem.

Broń zadrżała mu w dłoni. Jeżeli teraz strzeli, na pewno w coś trafi: albo w żołądek Morgana, albo w tapczan.

– Od kiedy tak się przejmujesz moim zdrowiem? Myślisz, że w to uwierzę? Myślisz, że kogoś obchodzi, co ma do powiedzenia jakiś wariat? Ha! Jestem za słaby, żeby dojść do drogi. Jestem chory. Czuję się osłabiony. Zimny pot to objaw zakażenia, prawda?

Znów położył się na wznak i zamknął oczy. Ten wariat pewnie go teraz zastrzeli. Leżał bez ruchu, czekając na strzał. Przeczytał gdzieś, że trafienie kulą zbytnio nie boli, że raczej przypomina potężne uderzenie, a potem wszystko się kończy.

Errki wpatrywał się w nos Morgana, który spuchł i nabrał ohydneho sinego odcienia.

Przejechał językiem po zębach. Przypomniawszy sobie smak skóry i tłuszczu w ustach, a potem mdły smak krwi.

Mężczyzna czekał, lecz strzał nie padał.

– Do jasnej cholery! – jęczał. – Naprawdę spieprzyłeś wszystko. Dostanę zakażenia i umrę.

Errki opuścił ręce.

– Uronię po tobie łzę.

– Idź do diabła!

– Jesteś tylko jajkiem w dłoniach dziecka.

– Przestań pierdolić głodne kawałki!

Morgan miał teraz wrażenie, że znalazł się w samym środku jakiejś farsy. Wszystkie wydarzenia tego dnia wydawały się nieprawdziwe.

– Nie widzisz, że to zakażenie? Człowieku, cały się trzęsę z zimna.

– No to idź i zawołaj mamę – powiedział Errki. – Nikomu nie powiem.

Morgan chrząknął żałośnie.

– Sam sobie zawołaj.

– Moja nie żyje – powiedział Errki ponuro.

– Nie dziwię się. Ją też pewnie wykończyłeś.

Errki chciał mu odpowiedzieć. Słowa czekały na końcu języka, gotowe do wymówienia. Lecz powstrzymał się.

– Możesz mi pożyczyć kurtkę? – wymamrotał Morgan. – Mam dreszcze.

Spojrzał na Errkiego.

– Co z tobą? Jakoś dziwnie wyglądasz.

– Potknęła się na schodach.

Errki napiął wszystkie mięśnie i mocno ścisnął broń. Słowa były takie perfidne. Zdradziły go, wysypały się same z siebie, nie pozwalając mu się nawet zastanowić. Nagle upadł na podłogę. Broń z trzaskiem poleciała pod ścianę. Zgiął się wpół, miotany konwulsjami, próbując dłońmi utrzymać wszystko na swoim miejscu. Wylewało się z niego. Czuł fetor własnych jelit, zepsutego mięsa, odpadów, jadu i żółci. Małe błyszczące pęcherzyki, które pękały, gulgot oślizgłych organów ściskanych razem i wypychanych na zewnątrz, powietrze i gazy, które wydawały najdziwniejsze odgłosy. Wił się na podłodze, tonąc we własnej boleści.

– Ty też masz zamiar rzygać? – spytał przerażony Morgan. – Nie możesz! Musisz iść po pomoc! Wolę przez jakiś czas posiedzieć w więzieniu, niż umrzeć na tętec w tym sraczu.

Znasz drogę, więc idź i znajdź kogoś, psiakrew, żebyśmy mogli się stąd wydostać!

Nie było żadnej odpowiedzi. Errki jęczał i rzucał się, waląc piętami o podłogę. Zupełnie jakby ktoś go bił, szarpał, targał i podrzucał na wszystkie strony. Po jakimś czasie przyszedł atak kaszlu i rżenia, a może czkawki i wymiotów. Morgan wzdrygnął się. Drogi Boże, co za dom wariatów! Coś w tym pokoju zatruło ich obu. Może w szczelinach między deskami podłogi czało się jakieś przekleństwo, które zaczęło się ulatniać, gdy tylko weszli do środka? Miał wrażenie, że napadł na bank całe wieki temu. Na pewno wysłali ludzi na poszukiwania, musieli już przecież znaleźć samochód! Po jaką cholere przykrywał go tym przeklętym brezentem?

Errki uspokoił się. Leżał na podłodze, ciężko dysząc. Morgan spoglądał na broń.

– Ale miałeś atak – powiedział miękko. – Co się stało?

Jedną po drugiej, Errki zaczął zbierać części swojego ciała. Morgan miał wrażenie, że szuka czegoś, co wcześniej zgubił. Czarne włosy opadły mu na oczy, a on szperał po omacku jak ślepiec.

– Masz przywidzenia? – spytał Morgan nieswojo. – Mógłbyś podać mi whisky?

Errki usiadł z trudem. Nie otwierał oczu. Pochylił się, osłaniając brzuch. Wszystkie mięśnie miał napięte jak stalowe sprężyny. Po brodzie ciekła mu ślina.

– Nie męcz mnie – wybulgotał.

– Nie mam zamiaru cię męczyć, tylko jest mi zimno. Myślałem, że mógłbyś mi pożyczyć swoją kurtkę. Zostało jeszcze trochę whisky? Mógłbyś sprawdzić? Wtedy, kiedy ci się skończy... ten atak?

– Mówiłem ci, nie męcz mnie!

Po jakimś czasie Errki wstał, cicho szeleszcząc poliestrowymi spodniami. Zgarbiony jak starzec wyszedł z pokoju, wciąż trzymając się kurczowo za brzuch. Najpierw podniósł broń, a potem poszedł do sypialni. Kurtka leżała na łóżku, zwinięta w poduszkę. Sięgnął po nią i na chwiejnych nogach wrócił do pokoju dziennego. Otwarta butelka whisky stała obok radia. Podniósł ją i pociągnął duży łyk, gapiąc się na jezioro. Potrzebował czasu, żeby się uspokoić. Tym razem rozpadł się bez najmniejszego ostrzeżenia. Życie, które miał przed sobą, nie wydawało mu się szczególnie atrakcyjne. Wpatrywał się w ciemną powierzchnię wody. Ani jednej fali. Woda była martwa. Wszystko było martwe. Tak naprawdę, nikt go nie potrzebował. Wszyscy chcieli tylko tego, co mógł im dać. Morgan chciał kurtkę i whisky. Czy masz jeszcze coś do oddania, Errki?

Trzymając kurtkę, pił whisky. Mógłby przykryć Morgana w geście przyjaźni. Pytanie – co to zmieni? Czy to sprawi, że będzie warto żyć?

– Nie wypij wszystkiego!

Errki wzruszył ramionami.

– Ty rzeczywiście masz problemy z alkoholem – powiedział z roztargnieniem.

– Nos mnie boli jak diabli.

– Kraść razem to radość. Umierać razem to prawdziwy bal – powiedział Errki, podając mu whisky. Morgan pił, aż łyzy nabiegły mu do oczu. Potem odłożył butelkę, chwytając z trudem powietrze. Podciągnął kolana i położył się na boku, jakby robił miejsce dla Errkiego, zapraszając go, by przysiadł na skraju tapczanu. Albo usiądzie, albo go zastrzeli. Ale już nie czuł się zagrożony i nie wiedział dlaczego.

Errki zawahał się. Patrzył na miejsce na tapczanie i zdał sobie sprawę, że jest przeznaczone dla niego. Delikatnie okrył kurtką Morgana. W piwnicy rozległ się chóralny ryk śmiechu, który odbijał się echem w jego uszach.

– Zamknijcie się! – krzyknął zirytowany.

– Nie powiedziałem ani słowa – oświadczył Morgan. – A tak w ogóle, to co one do ciebie mówią? Te twoje głosy. Opowiedz mi o nich. Opowiedz mi, jak to jest. Wtedy przynajmniej umrę mądrzejszy. – Whisky zapiekła go w żołądku i poczuł się lepiej. – Dlaczego ich słuchasz? Przecież wiesz, że tak naprawdę wcale ich tam nie ma, no nie? Kiedyś słyszałem, że szaleńcy wiedzą, że są szaleni. Właśnie tego nie rozumiem. Słyszymy głosy, mówią. Psiakrew, ja też co jakiś czas je słyszę. Wewnętrzne głosy, tak jak w wyobraźni. Ale wiem, że istnieją tylko w moim umyśle i nigdy nie przysłoby mi do głowy, by robić to, co mi każą.

– A wtedy, kiedy kazały ci napaść na bank, co?

– Hej! Ja sam podjąłem taką decyzję.

– Skąd ta pewność?

– Potrafię chyba rozpoznać własny głos. – Errki nadal wpatrywał się w puste miejsce na tapczanie. Morgan spojrzał na niego z niekłamaną ciekawością. – Opowiedz mi o nich. Widzisz ich? Wiesz, jak wyglądają? Mają kły i zielone łuski? Czy mówią czasem coś miłego? Nie pozwalaj im tak tobą pomiatać. Chryste, myślałem, że cię wykończą. Może ja powinienem do nich przemówić. Może posłuchają kogoś obcego?

Morgan zachichotał głucho.

– Jak mawiają, dzieci i wściekłe psy to kłopot sąsiadów.

Mozolnie podciągnął się do pozycji siedzącej i przysunął do Errkiego. Potem podniósł dłoń i postukał go trzy razy w czoło.

– Hej, ty tam! Przestań straszyć tego chłopaka. Jest wykończony. Znajdź sobie jakąś

inną czaszkę. Już dosyć!

Errki mrugnął niepewnie oczami. Morgan mówił ze śmiertelną powagą. Nagle zaczął chichotać.

– Jest ich więcej niż jeden? Cała banda?

– Tak. Dwóch.

– Dwóch na jednego? Co za tchórze. Każ jednemu się wynosić, a resztę załatwisz z szefem, jak mężczyzna z mężczyzną.

Errki roześmiał się nerwowo.

– Płaszczem nie trzeba się przejmować. On tylko leży w kącie i łopocze.

– Płaszcz?

Morgan spojrzał na niego z zaskoczeniem. Wreszcie zaczynały do niego docierać pełne rozmiary obląkania Errkiego.

– Był na wieszaku w korytarzu.

Czas nagle pomknął wstecz. Wszystko wróciło w takiej samej postaci jak przed laty. Przelotnie widział twarze i dłonie, uniesione brwi, odwrócone plecy, jedwab i aksamit, szpulki nici w wielu kolorach. Mknął do tyłu drogą pełną wybojów, po obu stronach której ciągnęły się zielone rowy, i znalazł się przed domem. Otwarte drzwi, wąski korytarz, schody prowadzące na poddasze. Siedział na stopniu prawie na samej górze. Jego ojciec zrobił te schody z sosnowego drewna. Deski były pełne przymkniętych, zezujących oczek, które przez cały czas go obserwowały.

– Po prostu tam wisiał. Płaszcz ojca. Nic w nim nie było, tylko powietrze. Łopotał, poruszał się na przeciągu z poddasza. Kiedyś wyrócił się na lewą stronę i właśnie wtedy spadła. Czuję podmuch powietrza.

– Spadła? – Morgan rzucił mu lekko zdziwione spojrzenie.

– Moja matka. Pośliznęła się na schodach. Popchnąłem ją.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Morgan ściszył głos. – Nienawidziłeś jej?

– Każdemu mówię, że ją popchnąłem.

– Ale tego nie zrobiłeś? A może nie jesteś pewny? Dlaczego mówisz, że ją popchnąłeś?

Przed oczyma Errkiego na tle grubo ciosanych bali migały obrazy. Podniósł dłoń i pokazał jeden z nich. Mimowolnie spojrzenie Morgana powędrowało w ślad za jego dłonią. Zauważył tylko brudną ścianę. Errki milczał.

– Wiesz co? – powiedział Morgan, podciągając się, żeby wygodniej usiąść. – Nie byłoby lepiej, gdyby twoje głosy mówiły do innych głosów zamiast do ciebie? To znaczy, do

głosów innych pacjentów w szpitalu. Wtedy walczyłyby między sobą, a was wszystkich zostawiłyby w spokoju. Cholera, czasami mam takie pomysły, jakbym był jakimś pieprzonym geniuszem. Wiesz, jak możesz się ich pozbyć? Użyj starego sposobu: poszczuj ich na siebie, a one same się wykończą. Podaj whisky! – Errki podniósł butelkę z podłogi i trzymał. – Daj mi. Chcę jeszcze!

Morgan wyciągnął dłoń po butelkę. Errki nie poruszył się.

– Kto niszczy źródło, umrze z pragnienia – powiedział z powagą. Potem podał butelkę Morganowi.

Ten pociągnął z niej dwa łyki.

– Dlaczego twoja matka spadła ze schodów? Opowiedz mi o tym. Będziemy udawać, że jestem twoim lekarzem. Jestem dobry w te klocki, tylko musisz dać mi szansę. No dalej, opowiedz wujkowi Morganowi. Opowiedz mi o tym, przyjacielu, i wszystko będzie dobrze.

Zachichotał cicho. Był bardzo pijany.

Errki zaczął dotykać swoich ud, jakby czegoś szukając. Jedną dłonią chwycił rewolwer za kolbę i poczuł, że się uspokaja. Broń doskonale leżała mu w dłoni. To musiało coś znaczyć.

– Szyła ludziom różne rzeczy.

– Była krawcową?

– Szyła suknie ślubne z jedwabiu. Garnitury i płaszcze. Albo klienci przynosili stare ubrania, które trzeba było rozpruć i znów zeszyć. Tego robiła najczęściej. Pruła stare garnitury.

– Napij się – przerwał mu Morgan. – Trudno wspominać stare dzieje.

Errki napił się i oddał butelkę. W piwnicy panowała cisza. Kurz opadł, wszystko było szare. Przez jedną szaloną chwilę pomyślał, że sobie poszli. W ciszy jego głos stał się krystalicznie czysty. Jego własny głos. Słowa nie były wcześniej zaplanowane – pojawiały się stopniowo, a gdy czuł się niepewnie i powstrzymywał je, ich miejsce zajmowały nowe, po czym ulatniały się. Jedno słowo wiodło do drugiego i nie miał sił, by temu zapobiec.

– Miałem osiem lat – wyjaśnił cicho. – Bawiłem się na schodach.

Nie bawiłeś się. Zastawiłeś pułapkę. Nie przekraczajmy faktów, byliśmy tam i widzieliśmy wszystko. Płaszcz cię widział najlepiej, bo wisiał w korytarzu.

Errki jęknął. Narastała w nim wściekłość. A może rozpacz? Jak mógł tu siedzieć z otwartymi ustami, z których wysypywały się takie bzdury? Choroba, śmierć i niedola. Ślimaki, robaki i ropuchy. Gniewnie pokręcił głową. Morgan wsłuchał się w jego słowa. Errki czuł, że słucha łapczywie, zupełnie jakby go dotykał, a on przecież nie znosił, by go dotykano. Nawet tego, by Sara machała mu ręką. W myślach słyszał cudowny dźwięk harfy,

który towarzyszył jej słowom.

– Dlaczego na schodach? – Morgan pociągnął kolejny łyk. Na razie nie miał żadnego innego planu, chciał się tylko spać na umór. Krótkowzroczna, lecz przyjemna perspektywa. – Sam rozumiesz, to dość dziwne miejsce do zabaw.

– Schody – rzekł ciężko Errki. – Strych. W korytarzu świeciło się światło. Słyszałem terkot maszyny do szycia. Jak tykanie zegara. Bawiłem się na schodach, bo chciałem być blisko niej.

– Więc dekoracje są już gotowe i przedstawienie może się zacząć – stwierdził Morgan. – Światło się pali, maszyna do szycia chodzi, a mały Errki ma osiem lat.

– Znalazłem w piwnicy starą żyłkę do wędki i zbudowałem z niej kolejkę linową. Z najwyższego stopnia schodów na poddasze aż do podłogi w korytarzu.

Morgan nie spuszczał z niego oka.

– Rozciągnąłeś na schodach cholerną żyłkę do wędki?

– Przedziurawiłem kilka pustych pudełek po zapalkach i zrobiłem z nich wagoniki. Wsypywałem do nich migdały i rodzyнки, a potem wysyłałem na dół. Zadzwoił telefon. Zawołała: „Mógłbyś odebrać, Errki?”. Nie chciało mi się, byłem zajęty zabawą, bo właśnie załadowałem wagonik migdałami. Siedziałem na schodach i czekałem. Stała w drzwiach i zaczęła zbiegać, pokonując po dwa stopnie naraz. Zaplątała stopę w żyłkę i straciła równowagę. Zawsze była bardzo cicha, ale wtedy krzyczała. Przewróciła się i spadła, zupełnie jak mebel zrzucony ze schodów.

Morgan zaniemówił. Oczy mu się świeciły, zupełnie jak dziecku słuchającemu trochę zbyt przerażającej historii.

– Siedziałem na trzecim stopniu przy ścianie. Przeleciała obok mnie i zatrzymała się dopiero po uderzeniu w podłogę, owinięta wokół poręczy.

– Skręciła sobie kark? – wyszeptał Morgan. – Jesteś dziwny. Teraz mam wrażenie, że jesteś zupełnie normalny. Mówisz jak zwykły człowiek. Dlaczego nagle ci się odmieniło?

Errki wydawał się budzić ze snu.

– Najpierw krzyczysz na mnie, bo jestem pomyłony, a teraz mam się tłumaczyć z tego, że jestem normalny? Pewnie, że jestem normalny. A czy ty jesteś normalny? Napadasz na banki, a do tego gnije ci nos.

– Ale dlaczego umarła?

– Z upływu krwi.

– Co powiedziałeś?

– Cała krew wypłynęła jej z ust. Tryskała z niej jak wodospad i zrobiła kałużę pod

schodami. Widziałem, jak we krwi odbija się światło lampy. Płaszcz też się odbijał, jak cień. Telefon dzwonił, ale nie mogłem go odebrać. Musiałbym wdepnąć w kałużę krwi i roznieść ją po całym domu, po dywanach i podłogach. Wreszcie przestał dzwonić. Odczepiłem żyłkę i schowałem do kieszeni, a potem siedziałem cicho i czekałem. Krew przestała jej lecieć z ust, a twarz zrobiła się szara jak kamień. Prędzej czy później ktoś przyjdzie, myślałem. Ojciec albo klient. Ktoś. Ale nikt nie przychodził. Krew stała się matowa i nie widziałem już odbitego światła.

Wreszcie Errki zamilkł. Nie poczuł ulgi tylko pustkę. Dotknął broni. Pojedyncza kula w magazynku. To musi coś znaczyć. Na pewno jest przeznaczona dla niego.

– Tak, ale dlaczego krew płynęła jej z ust? Dlaczego to się stało?

– Daj mi trochę whisky.

– Czy rozbiła sobie głowę?

– Była krawcową.

– Już mi to mówiłeś.

– Pruła stary garnitur. Szew po szwie, żyłką. Zawsze wkładała żyłkę do ust, kiedy musiała trochę podciągnąć materiał albo się przesiąść. Potem zadzwonił telefon. Wyszła z poddasza z ostrzem w ustach i potknęła się na żyłce do wędki. Żyłka zniknęła jej w gardle.

Morgan zakrztusił się i chwycił się kurczowo dłonią za szyję. Wyczuwał puls bijący łagodnie pod wilgotną i zimną skórą. Myśl o połknięciu żyłki wywołała u niego niemal wymioty.

– Jak dla mnie, rozumiesz zupełnie logicznie – stwierdził ostrożnie. – Może po prostu za długo trzymali cię w szpitalu. Śmierć twojej matki była wypadkiem. To nie twoja wina. A przy okazji, to cholernie lekkomyślne trzymać żyłkę między wargami. I cholernie głupio z twojej strony, że wziąłeś winę na siebie.

– Ale to ja rozwiesiłem żyłkę.

– Przecież ty się tylko bawiłeś, no nie? Dlatego cały incydent zostaje niniejszym uznany za wypadek.

Ostatnia uwaga miała pocieszyć Errkiego, ale nie wyglądało na to, żeby odniosła jakikolwiek skutek.

– My, ludzie, uważamy, że panujemy nad naszym własnym życiem – wyrzekł Errki powoli. – Ale nie panujemy. Pewne rzeczy po prostu się dzieją.

Obaj długo milczeli.

– O czym myślisz? – zapytał w końcu Morgan.

– O tym rolniku. O Johannesie.

– No to opowiedz mi o Johannesie, skoro zaszliśmy już tak daleko.

Morgan miał wrażenie, że czas się zatrzymał. Przyszłość nie istniała, tylko teraźniejszość. Tutaj, w czterech ścianach z grubo ciosanych bali, istnieli tylko oni dwaj. Nastrojowa, słaba poświata. Whisky płonęła mu w żyłach, dając uczucie unoszenia się w powietrzu.

Errki wrócił myślą do Johannesesa. Szarego, pomarszczonego, suchego starca z martwymi oczami. Wydawało mu się, że w tych oczach widzi samego siebie, zupełnie jakby byli spokrewnieni. Oczy bez nadziei. A pewnego dnia zobaczył go na samym szczycie wysokiej drabiny.

– Zaczął pić. Żona mu umarła, a Johannes w ciągu kilku miesięcy skurczył się nie do poznania.

– Zupełnie jak moja matka po śmierci ojca – wtrącił Morgan.

– Zaczął pić. Pił przez cały czas, bez przerwy, całymi miesiącami. Ludzie przychodzili i próbowali mu pomagać, ale nic z tego nie wychodziło.

– I zapił się na śmierć?

– Nie. Kiedy obalił butelkę z pastorem, w końcu otrząsnął się i przestał.

– Równy gość z tego pastora.

– Pastor mnie zauważył i zaczął krzyczeć, ale nie zatrzymywałem się. Mogłem się zatrzymać, ale uciekłem tak szybko, jak tylko mogłem, i schowałem się za szklarniami.

– Dlaczego krzyczał?

– Przestań mnie tak męczyć.

Errki odwrócił się i wyciągnął dłoń po butelkę. Morgan podał mu ją.

– Johannes dostał pracę u pastora jako złota rączka. Bielił kościół i stał na samym szczycie długiej drabiny. Malował jakiś trudny fragment. Wtedy pojawił się Errki Johrma. Johannes nic nie słyszał, bo był zajęty pracą, a poza tym gwizdał. Był szczęśliwy i trzeźwy. Właśnie dlatego byłem rozczarowany. Zaczął wyglądać tak samo, jak wszyscy inni. Ale krzyknąłem do niego. Krzyczałem: „Hej, ty tam u góry!”. Dobry Boże, ale go przestraszyłem! Odepchnął się od ściany ze strachu, drabina zatoczyła duży łuk, a on spadł.

– Pierdolisz!

– Uderzył w skalę. Stałem tam i patrzyłem na jego pękniętą czaszkę. Nogi drgały mu jeszcze przez jakiś czas, a potem przestały. Schowałem się za nagrobkiem. Za jakiś czas przybiegł pastor i słyszałem, jak krzyczy i lamentuje.

– I dlatego powiedzieli, że to twoja wina?

– To była moja wina.

– Jak można mieć tak niesamowitego pecha? – dziwił się Morgan. – Czy ty się przypadkiem nie urodziłeś w piątek trzynastego?

– Później przyszli po mnie do domu.

– Co im powiedziałaś?

– Nic. Nestor kazał mi trzymać głowę na kłódkę.

– Nestor? – Morgan potarł oczy. – Ludzkie pojęcie przechodzi, jak ci się udaje pakować w takie kłopoty. Myślałem, że to ja mam pecha. A ta staruszka, którą wczoraj znaleźli? Czy to też był wypadek? Opowiedz mi, co tam się stało.

Errki powoli odwrócił się twarzą do Morgana.

– Już ci mówiłem. Różne rzeczy dzieją się same z siebie.

– To dość cwana wymówka, nie sądzisz? Policja będzie cię przesłuchiwać. Powinieneś się zastanowić, co im powiedzieć.

– Jestem jak fala – powiedział Errki, teatralnie zawieszając głos. – Załamuję się tylko raz.

– Dlatego myślę, że właśnie to powinieneś im powiedzieć. Od razu wylądujesz z powrotem w psychiatryku. – Potarł brwi. – Boli mnie nos – poskarżył się.

Errki wzruszył ramionami.

– Gdybyś się tylko postarał, mógłbyś go zagoić siłą woli.

– Jesteś pewien?

– Musisz użyć całej swojej mocy, żeby wypłoszyć zakażenie. Sam powinieneś się wyleczyć.

– Nie jestem jakimś pierdolonym szamanem. Nie wierzę w takie rzeczy.

– Dlatego jesteś chory.

– A ty nie możesz tego dla mnie zrobić? – spytał sarkastycznie. – Nie mam siły, żeby się tak wyteżać. Kości mam jak galareta.

– Musisz sam.

– Tak też myślałem, ale i tak ci dziękuję – powiedział. – Wiesz, kiedyś widziałem w telewizji faceta, który rozbijał szkło siłą własnej woli. Robiło to naprawdę duże wrażenie. Ale to wszystko sztuczki.

– Rozbijanie szkła siłą woli nie jest takie trudne – powiedział Errki. – Ja też tak potrafię. To proste, bo szkło przez cały czas jest w stanie naprężenia.

– No co ty nie powiesz! Dlaczego nie jeździsz po świecie i nie dajesz przedstawień?

– Nie mam na to ochoty.

– Kto cię tego nauczył?

– Magik. W Central Parku.

– Dobrze, że masz poczucie humoru. Przyda nam się.

– Wiesz, co on potrafił? – zapytał Errki. – Naciągał skórę na dłoniach, aż pękała.

– No to zrób mi mały pokaz. Tylko nie rozwal butelki.

– Nie ma tu szkła – powiedział Errki z namysłem. – Wszystkie szyby są już powybijane.

– Pewnie ktoś tu już był wcześniej i odwalił za ciebie robotę.

– Ale w tamtym oknie zostało jeszcze kilka dużych kawałków – powiedział Errki, wskazując na okno wychodzące na podwórze.

– W takim razie rozbij je – powiedział Morgan niecierpliwie. Dobrze się bawił, chociaż jednocześnie prześladowało go uczucie, że może się zdarzyć coś bardzo złego.

Errki niepewnie wstał z tapczanu. Wpatrywał się w okno, a potem osunął na podłogę, pochylił głowę i zamknął oczy. Morgan spojrzał na niego z mieszaniną radości i smutku. Kawałek szyby w prawym górnym rogu ramy okiennej błyszczał w świetle słońca. Errki nie odzywał się ani słowem. Siedział bez ruchu jak posąg. Morgan myślał, czy przypadkiem nie powinien postanowić, co dalej z nimi będzie. Lecz upał i whisky odebrały mu siły. Tak miło było siedzieć sobie spokojnie i drzemać. Życie niezupełnie okazało się takie, jak się spodziewał. Dla Errkiego też nie. Wyglądał śmiesznie, siedząc na podłodze. Twardy jak skala supeł upartej siły woli. Morgan zdumiał się, jak bardzo chłopak był chudy. Delikatny jak owad. A teraz miał pokazać magiczną sztuczkę. Myśl o tym, jak bardzo się rozczaruje, kiedy nic się nie stanie, była prawie nie do zniesienia. Zastanawiał się, co ma powiedzieć, żeby go pocieszyć. Może zrzuci winę na whisky, mówiąc, że pozbawiła go sił?

Nagle szyba pękła. Nie dla zabawy, z cichym brzękiem, lecz z hukiem. Odłamki szkła wpadły do pokoju. Morgan podskoczył, czując, jak serce zakołatało mu w piersi ze strachu. Errki jeszcze siedział na podłodze. Podniósł głowę i rozejrzał się. Z początku sprawiał wrażenie sennego. Potem zdziwionego.

– Coś tu jest nie tak – zawyrokował i podszedł ku drzwiom.

– Co jest nie tak? Jak ty to, do cholery, zrobiłeś? – pytał oszołomiony Morgan. – I gdzie się wybierasz?

– Wychodzę – odparł Errki. – Muszę coś sprawdzić.

Rozdział 18

Kannick opuścił łuk. Stał w odległości mniej więcej trzydziestu metrów i patrzył na puste okno. Tego, co zrobił, nie można nazwać wielkim wyczynem, ale z drugiej strony, wybicie przezroczystej, lśniącej w słońcu szyby nie było łatwym zadaniem. Uderzając w cel, strzała wydała wspaniały odgłos. W jego wymyślanym świecie właśnie przeszła oko generała Crooka. Podszedł bliżej i przyglądał się opuszczonej chacie. W popołudniowym słońcu wyglądała, jakby miała się zaraz rozpaść. Wiedział, że strzałę znajdzie w środku, wbiją w ścianę. Rozejrzał się za innym celem, bo w kołczanie została mu jeszcze jedna strzała. Robiło się późno, ale nie przejmował się nieprzyjemnościami, które czekały na niego w Guttebakken. Wiedział dokładnie, co się stanie, wiele razy wcześniej to przerabiał, więc się nie bał. Wszystko było takie przewidywalne. Dorośli zupełnie nie mieli wyobraźni. Margunn mogłaby wymyślić inny schowek na klucz do szafki. Prawdopodobnie nie zdarzy się nic gorszego. Poza tym będzie zadowolona, że znalazł brakujące strzały, bo wiedziała, że było mu ich szkoda. A nową skrytkę i tak odszuka, kiedy zajdzie potrzeba. I tyle.

Patrzył na starą chatę, na poszarzałe drewno, na płaskie kamienne stopnie wiodące do drzwi i na puste okna. Był w środku wiele razy, myszkował po wszystkich szafkach, a nawet spał na starym tapczanie w pokoju dziennym. Spojrzał na drzwi wejściowe. Zauważył na nich kilka ciemnych plam i postanowił obrać jedną z nich za cel.

Kannick był teraz Geronimem, drzwi – meksykańskim żołnierzem, a ciemna plama – sercem żołnierza. Wroga. To oni gwałcili i zabijali kobiety i dzieci z jego szczepu. Nienawidził ich całą duszą wojownika!

Tym razem chciał strzelić z przykłęku, jak przystało na wodza. To było duże wyzwanie. Zgiął kolano i wyciągnął strzałę z kołczana, tę z żółtymi i czerwonymi lotkami. Założył ją na cięciwę i wyprostował się. Upewnił się, że łuk jest wypoziomowany. Znów spojrzał na ciemne plamy i wybrał jedną pośrodku drzwi, trochę na lewo od miejsca, w którym znajdowała się klamka. Potem naciągnął cięciwę, poczuł, jak płytka wślizguje się pod podbródek, a cięciwa luku wsuwa się na właściwe miejsce tuż nad końcem jego nosa.

Niech żyją Apacze!

Nieznaczną korekta i na celowniku pojawiła się plama. Kątem oka zauważył, że coś się dzieje. Drzwi otworzyły się i w wejściu pojawiła się czarna sylwetka. Ale mózg już wydał rozkaz. Zwolnić cięciwę. Kannick chciał opuścić łuk, ale nie mógł powstrzymać strzały. Poleciała z szybkością ponad stu metrów na sekundę.

Bezgłośnie trafiła w cel. Errki stał na schodach i wydal tylko stłumiony okrzyk zaskoczenia. Kannick zobaczył, jak żółta strzała sterczy z nogawki czarnych spodni. Errki patrzył zdumiony, ale nie wypowiedział ani słowa. Z wahaniem sięgnął dłonią, żeby wyciągnąć ją z rany. Wtedy spostrzegł Kannicka. *Tego grubasa.*

Poznał postrzępione spodnie i pękate ciało. Teraz zrozumiał, co chłopak miał w futerale, który ścisnął kurczowo, kiedy pędził w dół ścieżką z obłędem w oczach. Łuk. Właśnie go opuścił. Broń zaślnęła czerwienią w słonecznym świetle, a strzała, którą chłopiec przed chwilą wypuścił, sterczała z prawego uda Errkiego. Nie bolało. Chwycił strzałę tuż przy spodniach i zacisnął zęby. Wysunęła się dość łatwo. Natychmiast poczuł, że coś ustępuje, jak nagle rozluźniony zacisk. Chłopiec odwrócił się i zaczął uciekać.

Errki zrobił coś, czego nie czynił od lat – pobiegł za nim. Gorąca krew puściła mu się strumieniem po udzie. Kannick ledwie chwycił dech, ale oprócz tego ani jeden dźwięk nie wydobywał się z jego ust. Pędził na złamanie karku. Porzucił nawet łuk. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że jest w stanie zrobić coś podobnego, ale przeszkadzał mu w ucieczce, a czarna sylwetka, którą okazał się Errki Johrma, chciała go dopaść! Gdy zorientował się w powadze sytuacji, na moment opuściły go siły. Zdekoncentrował się i zaczął się potykać o gałęzie i poszycie. Jeżeli teraz się przewrócę, już po mnie, pomyślał. Pędził co sił. Chciał wrócić do domu, do Guttebakken. Do domu, do Margunn i wszystkich innych, do bezpiecznego znajomego życia w paskudnym budynku, do Philipa, który charczał w łóżku obok. Do domu, do Christiana, do marzeń o pokonaniu wszystkich rywali w mistrzostwach kraju, do domu, w którym na obiad był świeżo pieczony chleb, do migoczącego telewizora i czystej pościeli co drugi tydzień. Nagle życie nabrało wielkiej wartości, stało się czymś, o co chciał walczyć, i to uczucie przytłoczyło go.

Nagle potknął się i upadł prosto w suchą trawę. Ale nie poddawał się, jeszcze walczył; musiał znaleźć coś, żeby się bronić, żeby zabić swojego prześladowcę, zanim prześladowca zabije jego! Rozglądał się za jakimś kijem, ale znajdował tylko gałązki, nie było nawet kamienia, którym mógłby w niego rzucić. Wyczerpany, widział, jak życie umyka, gaśnie mu w oczach. Skapitulował, zwinął się w kłębek i legł bez ruchu. Nigdy nie sądził, że umrze tak młodo. Ostatkiem sił przygotował się. Errki był coraz bliżej. Wreszcie zatrzymał się tuż obok niego. Ten człowiek był szalony. Nie zachowa się tak jak inni. To było najgorsze – nie wiedzieć, czego można się spodziewać. Przez myśl przelatywały mu wszystkie historie, które o nim słyszał.

– Ten, kto się boi dzikiej bestii, nie powinien chodzić do lasu – wyszeptał Errki.

Kannick usłyszał jego głos. Nie ruszał się, zresztą i tak już był prawie martwy.

Ostrożnie odwrócił głowę i zauważył nogę Errkiego odzianą w powypychane, czarne spodnie. Wydawało się, że rana wcale mu nie przeszkadza. Jeszcze jeden dowód na to, że nie jest człowiekiem. Widać, że nie odczuwa bólu, swojego własnego, a już z pewnością tego, który zadaje innym. Był pozbawiony uczuć. Ktoś, kto nie jest człowiekiem, nie może żywić żadnych uczuć.

– Wstań.

Głos mu nie groził. Pobrzmiwała w nim nawet nuta zaskoczenia. Kannick wstał niepewnie, nadal ze spuszczoną głową. Zaraz zaczęło się bicie, lepiej więc było przyjąć ciosy na czoło i skronie. Silne uderzenie w policzek to najgorsze, co Kannick mógł sobie wyobrazić. Tego rodzaju cios był bardzo upokarzający. Ale nic się nie stało.

– Do domu – powiedział tylko Errki.

Było coś niepokojącego w tym, że nie podnosił głosu. Tak mówią sadyści, ludzie, którym sprawia przyjemność zadawanie bólu, pomyślał chłopak. Głos był tak wyraźny i spokojny, że zupełnie nie pasował do swego właściciela. Z bliska Errki robił złowrogie wrażenie. Kannick nie śmiał spojrzeć mu w oczy. Chciał tego uniknąć tak długo, jak to tylko możliwe, bo gdy do tego dojdzie, będzie zgubiony.

Do domu. A więc przez cały czas ukrywał się w starej chacie. Wcale nie pojechał do Szwecji, jak podawali w radiu. Wejście do chaty razem z Errkim nie różniło się niczym od wyprawy do królestwa umarłych. Kiedy będzie w środku, nikt nie usłyszy jego wołania o pomoc. Zaczął się trząść, spodziewając się, że teraz zostanie ukarany za wszystko, co kiedykolwiek zrobił.

Kannick, jeżeli nie weźmiesz się za siebie, to nie wiem, co z ciebie wyrośnie.

Przyszłość, którą nigdy wcześniej się nie przejmował, nie tylko dopadła go, ale właśnie miała zniknąć. Zanosilo się na to, że umrze na torturach. Jedyłą rzeczą, której Kannick naprawdę się bał, był ból. Trząsał się tak bardzo, że warstwy tłuszczu na jego ciele falowały. Był jeszcze czas, by zemdleć i zniknąć, zatonać we wrzosach – cokolwiek, byle tylko uniknąć koszmaru. Ale nie miał dokąd iść i nie zemdlał. Errki czekał. Był cierpliwy, bo wiedział, że wygra. Kannick nie miał żadnych szans na ucieczkę.

Wtedy chłopak zauważył broń. Pośród rozpaczki przyszła mu do głowy pewna myśl – myśl duszy stojącej na progu śmierci: gdyby tak od razu dostał kulę w głowę i uniknął tortur. To była jego ostatnia nadzieja. Ruszył wolnym krokiem po trawie. Nie miał pojęcia, skąd brał siłę w nogach. Poruszały się wbrew jego woli, z powrotem ku starej chacie, w kierunku, w którym nie chciał iść, ku kresowi swojego życia. Errki szedł z tyłu. Wetknął broń za pas z kłamrą w kształcie ogromnego orła i jedną dłonią przycisnął ranę. Krwawiła obficie, ale

zabandażuje ją i zatamuje krew. To nie mogło być nic poważnego.

– Boisz się – stwierdził Errki.

Kannick przystanął i starał się zrozumieć, co ten szaleniec ma na myśli. Czy tortury już się zaczęły? Miał poczuć się bezpiecznie i właśnie wtedy otrzymać śmiertelny cios? Errki będzie się delektował przerażeniem Kannicka, gdy ten uświadomi sobie, że ma umrzeć? Stojąc bez ruchu na ścieżce, zastanawiał się nad tym tak długo, że Errki musiał go lekko popchnąć. Kannick skulił się i jęknął cicho, ale strzał nie padł. Znow ruszył przed siebie. Po chwili zza drzew wyłoniła się chata. Miał wrażenie, że biegli przez całą wieczność, ale w rzeczywistości dzieliło ich od domu tylko kilkaset metrów. Gdy zatrzymali się w miejscu, gdzie kiedyś był ogród, chłopak przeżył drugi szok. W drzwiach chaty stał ranny w nos jasnowłosa mężczyzna ubrany w jaskrawe szorty.

A więc jest ich dwóch. Jeden będzie go trzymał, a drugi znęcał się nad nim! Próbował znow zemdleć, starał się upaść, ale kolana odmawiały mu posłuszeństwa. Tutaj umrę, pomyślał, zamykając oczy. Z pochyloną głową, czekał na strzał. Errki znow go popchnął.

– Ten gość, który tam stoi, chce, żeby go nazywać Morgan.

Na widok idących, mężczyzna wybałuszył oczy.

– Hej, Errki! Wpadłeś do rzeźnika po słoninę?

Opierał się o futrynę drzwi i z niedowierzaniem patrzył na imponujący podwójny podbródek Kannicka i uda, których obwód dorównywał rozmiarami talii Errkiego.

Kannick skrzywił się, widząc jego nos.

– Trafił mnie w udo – powiedział Errki.

– Psiakrew, Errki, krwawisz jak zarzynana świnia!

– Przecież ci mówiłem, że mnie trafił. – Pochylił się i podniósł strzałę. – Tym.

Morgan przyjrzał się jej z zaciekawieniem, wodząc palcem po żółtych i czerwonych piórach.

– A niech mnie. Bawiłeś się w Indian? Czy to znaczy, że gdzieś tam ukrywa się jeszcze kowboj?

Kannick pokręcił energicznie głową.

– J-ja t-tu t-tylko ć-ćwiczyłem.

– Ćwiczyłeś? Co takiego?

– N-na k-krajowe m-mistrzostwa j-juniorów.

Ledwie udało mu się wykrztusić te słowa. Errki całkiem wyraźnie słyszał nieco fałszywe brzmienie dud.

– Weź go do środka.

Morgan odsunął się na bok, pozwalając im przejść. Errki popychał Kannicka przed sobą, zastanawiając się, czym mógłby prze wiązać nogę, żeby zatamować krwawienie.

– Muszę iść do domu – jęknął chłopak.

– Siadaj na kanapie – rzucił szorstko Morgan. – Musimy najpierw ocenić sytuację. Może przydasz nam się do czegoś.

Kannick wbił wzrok w nos Morgana. Wyglądał gorzej niż wcześniej, bo odgryziona część zwisała luźno, sprawiając odrażające wrażenie. Kolorem przypominał zgniłego ziemniaka. Na podłodze chłopak zauważył butelkę whisky, a na parapecie – radio, obok którego sterczała ze ściany jego strzała. Mężczyzna o kręconych włosach był najwyraźniej pijany. Lecz Kannick wcale nie poczuł się pewniej. Osunął się na tapczan i siedział oszołomiony z dłońmi na kolanach. Wtedy padło pytanie, którego się obawiał.

– Czy ktoś wie, gdzie jesteś?

Nie. Nikt nie wiedział. Nie wiedzieliby nawet, gdzie zacząć poszukiwania, jeżeli Margunn nie okazałaby się dostatecznie przewidująca, by sprawdzić w szafce i zorientować się, że brakuje łuku i wywnioskować z tego, że Kannick włóczy się z nim po lasach. A lasy są ogromne. Odnalezienie go zabierze im sporo czasu, poza tym będą długo czekać, zanim w ogóle zaczną go szukać. Margunn najpierw wyśle tylko Karstena i Philipa – beznadziejnych leniuchów, którzy nie znali zbyt dobrze okolicy.

– Odpowiedz! – krzyknął Morgan i czknął.

– Nikt – wyszeptał. – Nikt nie wie.

– To niezbyt fajnie, prawda?

Kannick pochylił głowę. Znacznie gorzej niż niefajnie, to początek końca.

– Nie masz przypadkiem zimnego piwa? – Morgan oblizał się. Kiedy zadawał pytanie, poczuł nagle straszliwe pragnienie.

Nie tego Kannick się spodziewał.

– Mam parę dropsów – wymamrotał.

– W porządku, pokaż. Nie mam już ani kropli śliny.

Kannick wsunął dłoń do kieszeni i wyjął paczkę cukierków z lukrecją. Morgan wyrwał mu pudełko, walczył przez chwilę z lepką zbitką cukierków i włożył sobie do ust trzy naraz.

– Pozwól, że się przedstawimy – powiedział, mlaskając. – To jest Errki. Opętany przez złe duchy, które bez przerwy do niego mówią i nie dają mu spokoju. Ja jestem Morgan. Szuka mnie policja za małe przedstawienie, które odegrałem dziś rano. Po południu razem zabijaliśmy czas. – Potem dodał: – To ten czubek odgryzł mi nos. Mówię ci, żebyś wiedział, z

kim się zadajesz.

Kannick pokiwał posepnie głową. Już wiedział.

– Teraz kolej na ciebie. Jak się nazywasz?

Chcę, żeby mnie nazywać Geronimo. Jestem tropicielem śladów. Mistrzem w strzelaniu z luku.

– Że co? Co mówiłeś?

– Kannick.

– Naprawdę tak cię wołają?

– Czasem nawet słyszę – odparł, próbując złapać dech.

– Oho! Młody ma poczucie humoru!

Errki osunął się na podłogę. Znalazł swoją skórzaną kurtkę, owinął się nią, a potem chwycił oburącz za udo.

– Już go kiedyś widziałem – powiedział cicho.

Morgan spojrzał na niego z zaskoczeniem.

– Gdzie?

– Przy domu zabitej kobiety.

– Co ty wygadujesz?

Morgan zwrócił się do Kannicka.

– Widział cię? To ty bawiłeś się w pobliżu, kiedy to się stało? To o tobie mówili w radiu? O tobie?

Kannick spuścił wzrok.

– O nie, to poważna sprawa. Cholera, on cię widział, Errki. Musimy się go pozbyć!

Kannick cicho jęknął ze strachu, jakby ktoś nastąpił na gumową zabawkę. Nerwowo zamrugał oczami.

– Słyszałem też, że zeznawałeś na policji, prawda?

Kannick nie odpowiadał.

– Mniejsza o to. Errkiemu to nie przeszkadza. Jest trochę dziwny, ale zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Nudzimy się jak mopsy. Siedzimy tutaj i czekamy na noc. Powinieneś wiedzieć, że wieczorem Errki naprawdę dostaje kota. Rosną mu kły, a uszy robią się szpiczaste. Prawda, Errki?

Zapytany nie odpowiadał. Kątem oka uważnie przyglądał się Kannickowi. Chłopiec mocno przygryzł wargę, a jego oczy, osadzone głęboko w nalanej, bladej twarzy, płonęły z przerażenia.

– Hej, młody! – zawołał Morgan. – Nie masz ze sobą przypadkiem czegoś do jedzenia

albo do picia? Umieramy z głodu.

– W futerale mam czekoladę. Ale chyba zdążyła się już rozpuścić.

Errki zareagował błyskawicznie. Z trudem podniósł się i zaczął wymachiwać rękami.

– Idź i przynieś ten futerał!

– Uspokój się – powiedział łagodnie Morgan. – Sam go sobie przynieś, bo inaczej chłopak zwieje. I pamiętaj, że masz się podzielić ze mną!

Utykając, Errki wyszedł z chaty i rozpoczął poszukiwania futerału. Przetrzęsając zarośla, jedną dłoń mocno przyciskał do rany. Wreszcie znalazł zgubę, a trochę dalej natrafił też na łuk. Przywłókł wszystko pod dom i otworzył futerał. W środku było kilka strzał, jakieś inne przedmioty, których przeznaczenia nie znał, i czekolada. Mars i snickers. Ręce mu się trzęsły, gdy je wyciągał, a potem szedł do domu, trzymając po jednym w dłoni. Snickers i mars, snickers i mars. Miękka, lekko stopiona czekolada. Jeden z orzeszkami ziemnymi i karmelem, drugi z toffi. Papierek szeleścił. Wszedł do domu, ważąc je w dłoniach. Oba były dobre. Lubił snickersy, ale mars zawsze bardziej mu smakował. Nie miał wyboru, a mógł dostać tylko jeden. Morgan zerwał się na równe nogi i porwał snickersa.

– Ja wezmę ten. Ty weź marsa. A pulpetowi damy za to whisky.

Kannick rzucił okiem na butelkę stojącą na parapecie okiennym. Nigdy nie miał nic przeciwko piwu. Lubił się upijać, o ile nie działo się to zbyt szybko, ale niespecjalnie przepadał za mocnymi trunkami. Pokręcił głową. Mężczyźni zajadali się czekoladą, mlaszcząc jak dzieci. Mimo rozpaczliwego położenia, w jakim się znalazł, miał ochotę wybuchnąć śmiechem, ale udało mu się wydać z siebie tylko żalony jęk.

– Nie zrobimy ci nic złego – powiedział Errki, posyłając mu dziwny uśmiech.

– Jeszcze nic nie postanowiliśmy – zaoponował Morgan, połykając ostatni kęs batonika.

– Nie ma nic, co mogłoby nam się przydać. Oprócz czekolady.

– A może pulpet mógłby nam w czymś pomóc? – zastanawiał się Morgan. – I tak wszystko diabli wzięli. Z Jannickiem czy bez Jannicka.

– Kannicka – poprawił go chłopak.

Morgan otarł usta grzbietem dłoni.

– Pewnie chcesz iść do domu, do mamy, co?

– Raczej nie.

– Naprawdę? Więc dokąd chcesz iść?

– Do Guttebakken.

W jego głosie pojawiła się nuta arogancji, jakby odzyskał nadzieję, że jednak go nie

zabiją. Zjedli batony z taką radością, że wydali mu się o wiele bardziej ludzcy.

– A co to jest?

– Dom poprawczy.

Morgan parsknął.

– Chryste, wygląda na to, że wszyscy jesteśmy ulepieni z jednej gliny. A co takiego zrobiłeś w swoim młodym życiu, że tam cię posiali? Oprócz tego, że opychasz się jak prosię?

– Mam zaburzenia przemiany materii – zaoponował Kannick.

– Dokładnie to samo powtarzała moja matka, kiedy nie mogła się ruszyć z przejedzenia. Strzel sobie whisky, powinna ci pomóc na ten twój metabolizm.

– Nie, dzięki. – Pomyślał o Margunn. Próbował wyobrazić sobie, co ona teraz robi. Ile razy spojrzy na zegar. Upłynie sporo czasu, zanim zacznie się niepokoić, bo często nie wracał przez kilka godzin. Pewnie dopiero wieczorem zacznie się zastanawiać, co się z nim stało. Ale wiedziała, że nigdy nie opuszcza kolacji. Koło ósmej zacznie wyglądać przez okno i minie następna godzina, zanim wyśle Karstena i Philipa na poszukiwania. Do tej pory wszystko się może zdarzyć! Do wieczora było jeszcze dużo czasu, całe morze czasu sam na sam z dwoma pijanymi szaleńcami, a do tego jeden z nich miał broń! Desperacja kazała mu rzucić drugie spojrzenie na butelkę whisky. Nie uszło to uwadze Morgana.

– Wal, młody. Przy nas nie musisz się kępować.

Kannick posłuchał rady. To była jego jedyna nadzieja na wyjście z kłopotliwej sytuacji. Pierwszy łyk wywołał wewnętrzną eksplozję, która rozpoczęła się w gardle i torowała sobie drogę aż do żołądka. Z trudem chwycił powietrze, ocierając łzy z oczu.

– Golnij sobie jeszcze – zachęcał go Morgan. Siedział na podłodze, oblizując palce. – Za chwilę poczujesz się świetnie. Powiedz nam, dlaczego trzymają cię w poprawczaku.

– Skąd mam wiedzieć? – zachnął się rozdrażniony Kannick. Natychmiast tego pożałował. Kto wie, czy nie obraził Morgana.

– Nie masz pojęcia, dlaczego dorośli cię tam wsadzili? Ale z ciebie idiota. Myślisz, że ja zwałam winę na moją matkę za to, że napadam na banki? Myślisz, że Errki zwała winę na swoją matkę, bo ma niepokładane w tej swojej głowinie?

Kannick rzucił Morganowi szybkie spojrzenie. Napada na banki?

– Tylko przeczytaj napis na jego koszulce. Jego zdaniem, wszystkiemu winni są „inni”.

– Czy ktoś mnie przypadkiem nie obraża? – spytał Errki. Wydłubał kamyk z podeszwy swojego sportowego buta, a potem zaczął wyciągać sznurowadła. Miał zamiar obwiązać nimi udo, które nie przestawało krwawić.

Kannick wiercił się na tapczanie. Za każdym razem, kiedy się poruszył, skrzypiały sprężyny.

Morgan nagle poczuł, że kręci mu się w głowie. Co tu robili? Jak długo mieli zamiar tu siedzieć? Z jakiejś przyczyny nie mógł znieść myśli o samotności. Nie mógł znieść myśli, że zostaną złapani, a wtedy każdego z nich wyślą w inne miejsce. Errkiego zamkną w psychiatryku i nigdy więcej się nie zobaczą. Nie miał nikogo innego. Ten nagrany, obskurny pokój, szum whisky w głowie, miły, cichy głos Errkiego i grubas ze spuszczonego wzrokiem – nagle zapragnął, żeby to wszystko nigdy się nie skończyło. Sama myśl o tym zapierała mu dech w piersiach. Zdezorientowany, wyciągnął dłoń po butelkę.

– Korzeń, łądyga i liść – wymamrotał.

Kannick zorientował się, że obaj są obłąkani. Na pewno razem uciekli ze szpitala dla umysłowo chorych. Dwie tykające bomby zegarowe. Najlepiej było zachować spokój. Starał się oddychać najwolniej, jak potrafił.

Errki odsunął się na bok. Siedział na podłodze, oparty o starą, połamaną szafę. Teraz wszystko się uspokoiło. Dźwięk werbli i dud wreszcie ucichł. Odpoczywał z bronią w ręce.

Rozdział 19

Czerwony traktor skręcił na płaskowyż, kierując się w stronę leśnego duktu, gdzie zamierzał zaparkować jego kierowca, pracownik nadleśnictwa. Z zaskoczeniem spojrzął na blokującą drogę pojazd przykryty zielonym brezentem. Wyłączył silnik i wysiadł.

Zsunął gładką zieloną tkaninę z dachu samochodu i zajrzał do środka. Renault megane. W środku żywej duszy. Z przodu na wykładzinie pod fotelem dla pasażera leżała zakręcona fiołka. Otworzył drzwiczki, wziął ją do ręki i przeczytał etykietę. *Trilafon, pastylki 25 miligramów, trzy razy dziennie. Lek dla pacjenta Errkiego Johrmy, przepisany przez doktor S. Struel.*

Porzucony mały, biały samochód. Otwarte zamki w drzwiach.

Przypomniał sobie informację o skoku na bank z porannych wiadomości. Wsiadł do traktora, zapalił silnik i potężny massey ferguson zawrócił do bazy.

W niecałą godzinę później na płaskowyżu pojawiły się dwa samochody. Wsiadło z nich pięciu mężczyzn i trzy psy, podekscytowane owczarki alzackie. Natychmiast zaczęły warczeć i skomleć. Pięcioletni samiec, wabiący się Szarif, wyskoczył pierwszy, za nim Neron, trochę mniejszy i jaśniejszej maści. Był tak samo przejęty jak Szarif i nerwowo szarpał smycz. Trzeci pies miał gęstsza sierść i poruszał się wolniej niż dwa pierwsze. Wabił się Zeb, a jego treserem był Ellmann. Gdy razem wychodzili na patrol, zastanawiał się, czy to przypadkiem nie będzie ich ostatni raz. Policjant spojrzął na ciemny łeb zwierzęcia. Zbliżała się pora psiej emerytury, a nie wiedział, czy wystarczy mu sił na tresurę nowego zwierzęcia. Miał wrażenie, że po Zębie każdy inny przyniesie mu rozczarowanie.

Punkt wyjścia poszukiwań nie był idealny, gdyż tropy dość krótko utrzymywały się w zeschniętej leśnej ściółce.

Szarif wskoczył do białego renault megane. Machając ogonem, obwąchał fotel kierowcy i podłogę, wykładzinę pod gumowymi wycieraczkami, a potem miejsce pasażera. Wskoczył i ciągle żywo merdając ogonem, przyłożył nos do ziemi i ruszył przed siebie. Pozostałe psy poszły w jego ślady. Mężczyźni przyjrzeni się gęstym lasom i pozamykali radiowozy. Psy wpatrywały się w swoich panów, czekając na magiczne słowa, które pozwolą im działać.

Cała piątka była uzbrojona. Twardy kawałek metalu u pasa jednocześnie dodawał otuchy i przerażał. Przed trzema treserami psów policyjnych postawiono ekscytujące zadanie. Właśnie o czymś takim marzyli, kiedy rozpoczynali pracę w policji jako młodzi rekruci,

zanim zgłosili się do patroli z psami. Wszyscy trzej byli dojrzałymi mężczyznami. Oczywiście, jeżeli wiek pomiędzy trzydziestką i czterdziestką można uznać za dojrzały, jak cierpko skonstatował Sejer. Podczas wielu lat służby poszukiwali różnych rzeczy i wiele razy odnosili sukcesy. Lubili spokój lasów, dreszcz niepewności i pracę z psami. Złajanie biegnących zwierząt, trzask łamanych gałązek, szelest liści, brzęczenie tysięcy owadów. Zmysły w stanie najwyższego pogotowia. Wzrok utkwiony w ziemi notował najmniejsze szczegóły: niedopałki papierosów, nadłamane gałązki, resztki ognisk. Obserwowali zachowanie psów, a zwłaszcza ich ogony: czy poruszają się żwawo, czy nagle się zatrzymują, czy też zupełnie opadają i zwisają bez ruchu. Jednocześnie czekali na informację z komisariatu, że uciekinierów znaleziono gdzie indziej. Albo że bandyta znów zaatakował, a zakładnik odnalazł się cały i zdrowy lub leżał w rowie z pękniętą czaszką. Wszystko było możliwe.

Ekscytowała ich niepewność – w tej pracy każdego dnia działo się coś nowego. Mogli znaleźć człowieka powieszzonego na drzewie. Albo siedzącego pod drzewem, wyczerpanego, ale szczęśliwego, że go odnaleziono. Albo zmarłego z przedawkowania. Koniec misji to poczucie ulgi, rozładowanie napięcia. Jednak tym razem było inaczej. Mieli odnaleźć dwóch uciekinierów, najprawdopodobniej desperatów.

Szukaj!

Czarodziejskie słowo! Psy natychmiast stanęły w pogotowiu. Przez kilka sekund kręciły się wokół siebie, lecz bardzo szybko ruszyły w drogę, skupione tylko na jednym: podążać za zapachem odkrytym w samochodzie.

– Nie ma dwóch zdań, podjęły trop – szepnął Ellmann.

Pozostali treserzy skinęli głowami. Napinając mięśnie, psy pociągnęły ich w górę po pochyłym stoku. Prowadził Szarif. Za nimi sapali mężczyźni, pocąc się obficie w swoich kombinezonach. Zwierzęta trzymały się razem. Zanim wyruszyły w drogę, dano im pić. Nawet bez tego mężczyźni mogli im tylko pozazdrościć energii, chociaż po latach żmudnego treningu byli w dobrej kondycji. Ale przekłety upał dawał im się we znaki. Jak daleko mogli uciec ci dwaj?

Martwy, suchy las błagał o deszcz. Mężczyźni mieli mapy, znali ścieżki i lokalizację starych fińskich zagród. Jeden z treserów wsunął rękę do kieszeni, szukając gumy do żucia. Nie spuszczał oczu z Nerona. Pies węszył z lewa na prawo, co jakiś czas nadkładając drogi, jakby chciał zawrócić, jednak po chwili parł dalej naprzód. Szarif nadal prowadził. Duże, silne łapy stąpały pewnie po ziemi, ogon przypominał wielki złoty sztandar, a czarne, grube futro na głowie i grzbiecie lśniło w świetle zachodzącego słońca. Żaden z mężczyzn nie mógł

sobie wyobrazić piękniejszego zwierzęcia niż zadbany owczarek alzacki. Był kwintesencją doskonałości psiej rasy.

Po piętnastu minutach treserzy zamienili się miejscami i pozwolili Zębowi wysforować się naprzód. Natychmiast zadziałał instynkt współzawodnictwa i psy wzmogły wysiłki. Mimo to, stopniowo zaczęły się wahać, ogony zaczęły im opadać i węszyły ze znacznie mniejszym zapamię. Neron i Szarif szybko pokonały pierwszy odcinek, lecz potem zdecydowanie zwolniły i sprawiały wrażenie, jakby chciały zawrócić. Mężczyźni nie spieszyli się, korzystając z okazji, by trochę odpocząć po trudach wspinaczki. Znaleźli się na grani. Z tego miejsca widzieli daleko w dole nitkę głównej drogi i szlaban przy budce poboru opłat.

– Założę się, że tutaj zatrzymali się na odpoczynek – powiedział cicho Sejer.

Pozostali mężczyźni przytaknęli. Uciekinierzy przez jakiś czas stali tu i patrzyli w dół na szlaban i na wóz patrolowy, a potem ruszyli w drogę. Tylko w którą stronę?

– Tutaj jest niedopałek.

Skarre podniósł go.

– Skręt. Bibułka firmy Big Ben.

Wsunął go do plastikowej torebki i włożył do kieszeni. Potem wznowił poszukiwania, lecz nie znalazł niczego więcej.

– Niech teraz Zeb poprowadzi, a reszta niech przeszuka teren – zaproponował Ellman.

Neron i Szarif zatoczyły łuk o promieniu około pięćdziesięciu metrów, a Zeb truchtał naprzód, trzymając się tropu. Trop był niewyraźny. Psy sprawiały wrażenie mniej pewnych siebie, od czasu do czasu robiły przerwy, nie mogły się skupić. Treserzy obejrzeni się za siebie. Uciekinierzy na pewno nie podążali w stronę domu zamordowanej kobiety. Może do starych chat? Z powodu upału najprawdopodobniej zatrzymają się na odpoczynek w jednej z nich. W takim razie psy podejmą trop na górze. To dobrze, bo będzie silniejszy niż tutaj, w suchej trawie.

W lasach było teraz cicho i spokojnie. Jesienią panował tu znacznie większy ruch. Trudno było nie natrafić na myśliwego albo na zbieracza jagód. Jednak teraz, ze względu na upał, ludzie nie włóczyli się po lasach, jeżeli nie musieli. Chyba że płacono im za to i prześladowała ich nieuleczalna żądza przygody, krążąca w żyłach jak małe mrówki i nie dawała im spokoju.

Sejer otarł pot z czoła, a potem skontrolował broń. Dobrze sobie radził na strzelnicy, ale wiedział, jak niewiele to znaczy, gdyby przyszło do prawdziwej wymiany ognia. Myśl ta wprawiała go w zakłopotanie. Jeden błąd w ocenie sytuacji mógł przynieść zgubne

konsekwencje. Zawieszenie. Kalectwo. Śmierć. Wszystko mogło się zdarzyć. Z jakiejś przyczyny poczuł się bezbronny, jakby życie stało się nagle ważniejsze. Porzucił te myśli i kroczył żwawo dalej, rzucając spojrzenie na Skarrego, który zsunął na czoło daszek swojej czapki, by uchronić się przed słońcem.

– Bóg jeden wie, co się stało z tym biedakiem, który uciekł ze szpitala – mruknął Sejer.

– Moim zdaniem, powinniśmy się raczej martwić o tego drugiego – stwierdził Skarre, patrząc na nadinspektora.

– Nie wiemy, czy ją zabił. Wiemy tylko, że tam był.

Skarre nosił okulary w stalowych oprawkach z nakładkami przeciwsłonecznymi.

– Rozejrzyj się – powiedział. – Czy oprócz nas zauważyłeś tu jeszcze kogoś?

– Wspomniałem o tym tylko dlatego, żeby być w zgodzie z faktami. Powiedzmy, że obaj są siebie warci.

– Pomijając fakt, że jeden z nich ma broń – uzupełnił Skarre.

Maszerowali dalej. Psy prowadziły ich teraz przez szeroki, porośnięty lasem płaskowyż. Od czasu do czasu musieli przedzierać się przez gęste zarośla, w innych miejscach marsz ułatwiały skąpane w słońcu polany. Gorąca krew pulsowała im w żyłach. Piękna, złocista poświata eksponowała zadziwiający wachlarz barw liści na drzewach. Ciemne i nasycone w cieniu, złoto-żółte na otwartym terenie. Łagodnie przeplatające się konary, kłujące igły, trawa, która pieściła ich nogi, gałęzie, które po odgięciu uderzały ich w twarze. Krążyły nad nimi chmary owadów, lecz mężczyźni szybko przestali się od nich oganiać, bo kosztowało ich to zbyt wiele energii. Tylko raz Skarre przepędził rozjuszoną osę, która z jakiegoś powodu upodobała sobie jego kręcone włosy.

Chwilę później zatrzymali się przy strumyku. Psy piły łapczywie, a mężczyźni ochlapywali sobie chłodną wodą twarze i szyje. Zwierzęta nadal coś wyczuwały, choć sprawiały wrażenie trochę zniecierpliwionych, bo trop był coraz słabszy. Mimo to nie miały zamiaru się poddać, co pewnie uczyniliby ludzie, gdyby się okazało, że zbiegowie zaszli za daleko. Może obaj leżą teraz gdzieś w cieniu i odpoczywają, mocząc nogi w jednym z okolicznych stawów? Myśl o kąpieli zdawała się zaprzętać głowy każdego z nich. Niesamowite, ale gdy już się pojawiła, nie dawała spokoju. Lodowato zimna, falująca woda. Marzenie, by zanurzyć rozpalone ciała w chłodnej kąpieli i zmyć pot z włosów.

– W Wietnamie – odezwał się nagle Ellmann – Amerykanie chodzili po buszu w takim upale, że mózgi im się lasowały pod hełmami.

– Lasowały się? Dobry Boże! – pokręcił głową Sejer.

– Później wszystko im się poprzestawiało.

– I tak by im się poprzestawiało, bez względu na pogodę. Ale mówmy serio – odwrócił się i spojrzał na innych – naprawdę myślicie, że to możliwe?

– Pewnie, że nie.

– Ale żaden z was nie jest lekarzem, prawda? – powiedział z przekąsem Sejer, ocierając brwi.

Treserzy zachichotali. Psom nie przeszkadzała rozmowa. Szły wciąż przed siebie, od czasu do czasu wtykając nosy w zarośla. Trzymały się ścieżki, z czego policjanci wywnioskowali, że zbiegowie nie mieli ochoty schodzić ze szlaku w gęstwinę.

– Znajdziemy ich – powiedział Sejer z determinacją.

– Tym, co mnie uderza w takich przypadkach, jest tragiczny los mężczyzn – westchnął Ellmann.

– Co ty wygadujesz! – Skarre odwrócił się w jego stronę.

– Testosteron. To przez niego mężczyźni są tak agresywni. Ten hormon nazywa się testosteron, prawda?

– I co z tego?

– To z tego, że prawie nigdy nie szukamy kobiet. Pomyślcie tylko, jak skąpo byłyby ubrane na tym upale!

Sejer pokręcił głową. Pomyślał o Sarze, o świetlistych obwódkach wokół jej źrenic.

Skarre zauważył nagłą zmianę wyrazu twarzy przełożonego.

– Gryziesz się czymś, Konrad?

– Nie, nic mi nie jest. Dzięki.

Optyzmizm ich nie opuszczał. Na błękitnym niebie pojawił się mały samolot – biały punkcik połyskujący w słonecznym świetle. Sejer wpatrywał się w niego przez dłuższy czas. Tam w górze było chłodno i przewiewnie. Wyobrażał sobie, że znajduje się w samolocie ze spadochronem na plecach. Otwiera drzwi, zatrzymuje się na chwilę, żeby spojrzeć w dół. Potem wyskakuje, spada przez moment, a po chwili spokojnie szybuje niesiony wiatrem.

– Widzisz go, Jacob?

Zaniepokojony Skarre spojrzał na samolot. Jego wyobraźnia zaczęła pracować na przyspieszonych obrotach.

– Czy ktoś ma lusterko?

Zezując, Morgan próbował przyjrzeć się swojemu nosowi.

– Ten, kto ma przyjaciół, nie potrzebuje lusterka – wymamrotał Errki, siedząc przy

szafie.

– Facet ma cięty język, prawda? Aż trudno uwierzyć – skomentował Morgan.

– Chyba mam w futerale na łuk – powiedział Kannick. Bał się jeszcze spojrzeć Errkiemu w oczy. Pewnie siedział tam w kącie i wybierał jakiś straszliwy sposób zadania mu śmierci. Miał taki dziwny wyraz twarzy.

– No to idź i przynieś, Errki – powiedział mu Morgan.

Errki nie odpowiadał. Nadal czuł przyjemną senność, zmęczenie po dobrze spełnionym obowiązku. Morgan dał za wygraną. Wszedł na ganek, gdzie stał futerał i wciągnął go do środka wraz z łukiem. Pomiędzy strzałami a ekwipunkiem znalazł małe, kwadratowe lustro, o rozmiarach mniej więcej dziesięć na dziesięć centymetrów. Niepewnie spojrzął w swoje odbicie.

– O kurwa! To najgorsza masakra, jaką w życiu widziałem!

Kannickowi nie przyszło do głowy, że Morgan mógł jeszcze nie widzieć własnego nosa. Mężczyzna mówił prawdę. Rzeczywiście wyglądał okropnie.

– Dostałem zakażenia, Errki. Wiedziałem! – Nerwowym krokiem zaczął chodzić po domu z lustrem w dłoni.

– Cały świat jest zakażony – mruknął Errki. – Choroba, śmierć i niedola.

– Jak długo rozwija się tężec? – zastanawiał się Morgan na głos. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że o mało nie wypuścił z ręki lustro.

– Kilka dni – poinformował Kannick.

– Jesteś pewien? Znasz się na takich sprawach?

– Nie za bardzo.

Mężczyzna westchnął jak naburmuszone dziecko i cisnął lustro na ziemię. Widok nosa pozbawił go resztek odwagi. Ból, podobnie jak gorączka, nie dawały mu się już tak bardzo we znaki. Czuł raczej apatię, ale tę wywołało co innego – brak jedzenia i picia. Powinien pomyśleć o czymś innym. Spojrzął na Kannicka i zmrużył oczy.

– Młody, podobno byłeś świadkiem morderstwa. Opowiedz mi, jak to było. Co się tam właściwie stało?

Kannick wytrzeszczył oczy.

– Nie – zaoponował. – Nie byłem żadnym świadkiem.

– Nie byłeś? W radiu mówili, że byłeś.

Kannick schylił głowę i szepnął:

– Widziałem tylko, jak on ucieka.

– Czy ten człowiek jest obecny na sali rozpraw? Proszę podnieść dłoń i wskazać go

ławie przysięgłych – zaintonował dramatycznie Morgan.

Kannick splótł dłonie na kolanach. Za żadne skarby nie wskaże Errkiego.

– Musiałeś iść na policję i wszystko wygadać?

– Nic nie wygadałem. Pytali mnie, czy coś widziałem. Ja tylko odpowiadałem na pytania – bronił się.

Morgan musiał się nachylić, żeby usłyszeć słowa chłopca.

– Nie masz po co kręcić. I tak wiem, że wygadałeś. Znałeś starą?

– Tak.

Głowa opadła Errkiemu na ramię. Wyglądało na to, że zasnął.

– Nie mógł się powstrzymać – wyjaśniał Morgan. – Ma pomieszane w głowie.

– Pomieszane?

– Nawet tego nie pamięta.

– Nie pamięta?

– Może nawet nie pamięta, że wziąłem go jako zakładnika, kiedy dzisiaj rano okradłem Fokus Bank.

Rzucił chłopcu rozbawione spojrzenie.

– Znalazł się pod ręką, a ja potrzebowałem kogoś, żeby zaszantażować kasjerkę. Wiesz co? Morgan zachichotał. – Napad na bank i wzięcie zakładnika to tak, jakbyś kupował jajko-niespodziankę. Niektórzy mają szczęście i trafia im się kompletna zabawka. A ja dostałem kilka puzzli do ułożenia.

Zapomniał o zmasakrowanym nosie.

– W ogóle niczego nie pamięta. A poza tym robi tylko to, co mu każą jego wewnętrzne głosy. Pewnie tego nie zrozumiesz, ale ja mu współczuję.

Morgan usiadł na podłodze i spojrzał na Kannicka z poważnym wyrazem twarzy.

– Wiesz co? Kiedy byłem dzieckiem, chodziłem do przedszkola. Co rano mieliśmy apel. Musieliśmy siedzieć w kółku na podłodze, a jedna z opiekunek czytała nam albo śpiewała. Mieliśmy taką zabawę, która polegała na łapaniu myśli. Pani patrzyła nam głęboko w oczy i szeptała: „Pomyślcie o czymś!”. I myśleliśmy naprawdę mocno. Wtedy krzyczała: „Łapcie ją, łapcie!” I wyciągała dłoń w powietrze, jakby naprawdę łapała jakąś myśl. A my robiliśmy to samo. – Morgan przerwał. – „Teraz trzymajcie!” – krzyczała, a my trzymaliśmy mocno, przerażeni, że odleci. I odlatywała. Bo kiedy otwieraliśmy dłonie, nic w nich nie było. Tylko brud i pot. Teraz myślę, że miało to być jakieś ćwiczenie na koncentrację, ale wtedy czuliśmy się okropnie. Dorośli wyprawiają z dziećmi cholernie dziwne rzeczy.

Potrząsnął głową zrezygnowany.

– Errki ma ten sam problem. Albo ma mętlik w głowie i nie może poukładać myśli, albo bez przerwy wałkuje jedną. To się nazywa obsesja. Wiem, że są takie choroby, bo pracowałem z ludźmi podobnymi do niego.

Od strony szafy dobiegało ich ciche postękiwanie Errkiego.

– Wiesz, dlaczego ugryzł mnie w nos?

– Nie mam pojęcia – jęknął Kannick.

– Chciałem, żeby sobie popływał w stawie, tam na dole, a on odmówił. Nie umie pływać. Nie lubi, jak mu ludzie ciosają kołki na głowie. Więc ty też nie powinienes. Bo bez uprzedzenia przysię ci się do ucha, albo jeszcze gorzej.

– Mogę już iść? – Kannick zniżył głos do szeptu, żeby Errki go nie usłyszał.

Morgan przewrócił oczami.

– Czy możesz już iść? A gdzie ty się, do cholery, wybierasz? Dlaczego mamy pozwolić, żebyś się z tego wywinął łatwiej niż my sami? Zrobiłeś coś, żeby na to zasłużyć? To nasze przeznaczenie – wyrzekł uroczyście. – Znaleźliśmy się w pułapce. Czekamy na policję, żeby przyszła i nas pozamykała. Ale nie zamierzamy składać broni. Jesteśmy dumni, odważni i nie poddamy się bez walki.

Głos Morgana tchnął pijackim patosem. Mówi jak Geronimo, pomyślał Kannick. Nie tylko Errki jest szalony. Obaj mają nie po kolei w głowie. Może ja też jestem nienormalny? Jeżeli już o to chodzi, trudno było powiedzieć. Ale przecież mieszkam w domu poprawczym, a nie w zakładzie dla umysłowo chorych. Kto wie, może to jednak jest zakład dla umysłowo chorych? Nagle dostał ataku mdłości i starał się pozbyć wrażenia, że w gardle rośnie mu wełniana kulka. W pewnym sensie pasował do tego miejsca i do tych koleś. Dobrze o tym wiedział.

– Czy twoja matka żyje? – zapytał nagle Morgan. Wyciągnął strzałę Kannicka ze ściany i przyglądał jej się z uwagą.

– Chyba tak – mruknął ponuro chłopiec.

– Zaraz, zaraz – warknął Morgan. – Czy naprawdę tak mało cię to obchodzi? Nie próbuj mi wmówić, że nie wiesz, czy żyje, czy nie. Moja matka żyje. Jest na zasiłku. Mam jeszcze siostrę, która prowadzi salon kosmetyczny.

– Więc pewnie przyszyje ci nos.

– Nie bądź taki cyniczny. Naprawdę dobrze sobie radzi. No więc, Kannick, czy twoja matka żyje?

– Tak.

– Na koszt państwa?

- Co?
- Znaczą: ma pracę czy jest na zasiłku?
- Naprawdę nie wiem.
- Przysłała ci pieniądze?
- Tylko paczki, od czasu do czasu.
- Dam ci dobrą radę na następne urodziny. Poproś o paczkę SlimFastu.

Kannick nie miał pojęcia, co to jest SlimFast. Pomyślał o matce, którą widywał bardzo rzadko. Odwiedzała go tylko wtedy, kiedy zadzwoniła do niej Margunn z wymówkami. Zwykle przynosiła mu czekoladę. Prawie zapomniał, jak wygląda. Niewiele ze sobą rozmawiali. Matka właściwie nigdy na niego nie patrzyła, tylko rzucała ukradkowe spojrzenia, a potem kuliła się i z przerażeniem odwracała wzrok. Nagle pomyślał o czymś, co zdarzyło się dawno temu. Pewnego dnia wrócił ze szkoły, zatrzymał się w drzwiach do kuchni i spojrzał na nią. Wyglądała inaczej. Jej włosy nagle urosły o jakieś trzydzieści centymetrów, w jeden dzień, który on spędził w szkolnej ławce.

– Kupiłaś sobie perukę? – zapytał.

Odłożyła na bok brukowca, którego wcześniej czytała, i przyjrzała się z niechęcią synowi.

– Nie, nie kupiłam. To prawdziwe włosy, tylko specjalnie przymocowane.

– Co? – Zdziwił się tak bardzo, że aż usiadł przy stole. Nie tylko włosy się zmieniły. Jej paznokcie nagle stały się długie, ciemnoczerwone i błyszczące, jak lakier na nowym samochodzie.

– Co to znaczy „przymocowane”? – spytał z niekłamaną ciekawością. – Są przyklejone?

– Tak. Będą się trzymać przez kilka tygodni.

Potrząsnęła głową, rozkładając je na plecach w wachlarz, żeby mu zademonstrować. Nowa fryzura przydała jej powagi. Wyraz jej twarzy zmienił się, wyprostowała się, nosiła się jak królowa.

Pokusa była zbyt wielka. Kannick szybko nachylił się nad stołem, brudną dłonią chwycił garść włosów. Szarpnął i nic. Dziwne.

– Ty idioto! – wrzasnęła, wstając od stołu. – Wiesz, ile kosztowały?

– Mówiłaś, że są przyklejone.

– A ty oczywiście musiałeś spróbować, czy przypadkiem nie dadzą się wyrwać?

– Kto ci je zrobił?

– Moja fryzjerka.

– Ile kosztowały? – spytał ponuro.
– Chciałbyś wiedzieć, nie? Ale to nie twój interes. Nie masz swoich pieniędzy.
– Nie mam, bo mi nie dajesz kieszonkowego.
– A za co masz niby dostawać kieszonkowe? W domu nawet palcem nie kiwniesz!
– Nigdy mnie o nic nie prosisz.
– A co ty właściwie potrafisz? – Nagle pochyliła się nad stołem i rzuciła mu wyzywające spojrzenie. – Czy ty w ogóle cokolwiek potrafisz zrobić, Kannick?

Zaczął zeszkrobywać płamę zaschlęgo dżemu z obrusa. Nic nie przychodziło mu do głowy. Niezbyt dobrze radził sobie z czytaniem, w sportach był beznadziejny, ale nikt nie mógł z nim wygrać w strzałki. O tym nie wspomniał.

Później, kiedy weszła pod prysznic, chowając nowe włosy pod foliowym czepkiem, zajrzał do jej torebki. Wiedział, że nie znajdzie tam pieniędzy. Była sprytniejsza od Margunn i zabierała je z sobą. Ale znalazł paragon od fryzjerki. Trudno mu było odcyfrować odręczne pismo dorosłej osoby, ale tym razem postarał się. Włosy i paznokcie – dwa tysiące trzysta koron, zapłacono gotówką. Poczul, że wściekłość zapiera mu dech w piersiach. Z krzykiem poszedł do łazienki i szarpnął za zasłonę od prysznicza.

– Tyle forsy! Wystarczyłoby na rower! – krzyczał. – Wszystkie inne dzieci mają rowery!

Zaciągnęła zasłonę.

– Włosy rosną same – krzyczał – i to za darmo!

– Nie grzeb w moich rzeczach! – odkrzyknęła. – Potrzeba ci ojca, żeby ci pokazał, co to jest dyscyplina! Nigdy nie znajdę nikogo, jeżeli będę wyglądać jak wiedźma. Muszę dbać o urodę. To wszystko dla twojego dobra.

Przez zasłonę widział kontury jej ciała. Mógłby ją stamtąd wypłoszyć, gdyby naprawdę chciał. Mógł podejść do zlewu w kuchni i odkręcić kurek z zimną wodą. Wtedy woda pod prysznicem zrobiłaby się tak gorąca, że poparzyłaby ją. Ale nie miał na to ochoty. Ograna sztuczka.

Czuł się wyczerpany. Oparł czoło o kolana i westchnął. Dokuczał mu głód. Mężczyźni zjedli mu całą czekoladę. Wspomnienia z przeszłości nie dawały mu spokoju. Kiedyś wrócił wcześniej do domu. Matki nie było. Wpadła mu w ręce plastikowa butelka ze środkiem do udrażniania zatkanych zlewów kuchennych. Nagle przyszedł mu do głowy zabawny pomysł. Wiedział, jak działa: drobne, okrągłe, białe-niebieskie kryształki wsypywało się do zlewu, kiedy był zatkany, czyli prawie zawsze. Kontakt z wodą zmieniał je w żrący, cuchnący gaz. Znalazł pusty karton po mleku, wypłukał go starannie i wysuszył. Potem nasypał na dno sporą

garść kryształków i poszedł do łazienki. Rozmontował odpływ wody pod brodzikiem, włożył karton do środka i założył kratkę na miejsce. Nigdy nie zapomni wrzasku matki, gdy weszła pod natrysk. Odkręciła kurek z ciepłą wodą, a trujący gaz wypełnił całą łazienkę. Wskoczyła na korytarz, zanosząc się kaszlem. Wykrzykiwała najokropniejsze przekleństwa, jakie przyszły jej do głowy, a było ich sporo. Stworzył własną komorę gazową!

Morgan przerwał mu rozmyślenia.

– Co jeszcze masz tam w środku? – zapytał. – Może znalazłbyś coś, czym mógłbym się obandażować?

Chłopak zastanowił się przez chwilę. Miał dziewięć różnych rodzajów strzał. Zapasową cięciwę. Woreczek nasadek i tubkę kleju. Wosk do cięciw. Szczypce. I bawełnianą szmatkę do czyszczenia celownika.

– Bawełniana szmatka – powiedział.

– Zakryje mi nos?

Kannick podniósł głowę i spojrzał na pozółkły kikut.

– Zakryje.

Morgan wstał i podszedł do futerału. Tkanina była żółta i puchata, podobna do tych, którymi czyści się szkła w okularach.

– Wyłażą z niej kłaki – ostrzegł go Kannick.

– Gówno mnie to obchodzi. Potrzebne mi coś do opatrzenia rany. Za każdym razem, kiedy ruszam głową, czuję powiew powietrza, a to mi przeszkadza. Widzę, że masz też taśmę – przyda się. Pomóż mi! – zawołał, machając szmatką.

Chłopak męczył się trochę, lecz manipulując grubymi palcami, udało mu się delikatnie umieścić szmatkę na nosie Morgana, po czym odgryzł zębami kawałek taśmy i mocno ją przykleił.

– Jaki uroczy – skomentował.

– No to się zabawimy! – zawołał chrapliwie Morgan, chwytając butelkę. – Przy butelce i z dziewczyną traci się poczucie czasu! – mrugnął do Kannicka.

Errki spał. Morgan wyglądał zabawnie z żółtą szmatą na nosie. Taką samą nosiła matka w pierwsze słoneczne dni wiosny, żeby ochronić nos przed poparzeniem, kiedy opalała się za domem, pomyślał Kannick. Leżała tam z rozłożonymi nogami, żeby słońce mogło dotrzeć do każdego zakamarka jej skóry. Czasami ją podglądał. Zauważył w tym miejscu trochę ciemnych kręconych włosów. W miejscu, w którym był Polak i gdzie został powołany do życia. Matka nie mówiła mu o tym dosłownie, ale wiedział, że to prawda. Próbował sobie dokładnie przypomnieć chwilę, kiedy fakt ten stał się dla niego oczywisty, ale bez

powodzenia.

Pomyślał o Karstenie i Philipie, i zastanawiał się, czy już zaczęli go szukać. Co będzie, jeżeli trafią do tej chaty? Może od razu wparują do środka. Co jakiś czas spoglądał na obu mężczyzn, zastanawiając się, o czym rozmawiali. Nie bardzo rozumiał, jak Errki mógł być zakładnikiem, skoro to on miał broń, a Morgan wcale się tym nie przejmował. Sięgnął po butelkę, upił łyk, a potem ją odłożył. Whisky już nie parzyła go w gardło. Był prawie zupełnie znieczulony. Ciało miał zdrętwiałe i dziwnie ospałe. Musi uciec, zanim zaśnie na dobre.

– A teraz mogę już iść? – poprosił pokornie, spoglądając na Errkiego w kącie.

– Errki o tym zadecyduje – stwierdził lakonicznie Morgan. – On tu rządzi, a tak się składa, że teraz śpi. Będziesz musiał dotrzymywać mi towarzystwa, dopóki się nie obudzi. Taki pulpet jak ty powinien mi wystarczyć na długo. – Parsknął śmiechem.

Obydwu alkohol dobrze już szumiał w głowach. Morgan nie pamiętał, co tu robi ani jakie ma plany. Podobało mu się w spokojnym i cichym pomieszczeniu, zaskakująco ciemnym w porównaniu z oślepiającą jasnością na zewnątrz. Z lubością wsłuchiwał się w oddech Errkiego śpiącego przy szafie. Ludzie w ogóle nie powinni robić planów ani dotrzymywać terminów. Powinni siedzieć spokojnie i pozwalać się swobodnie unosić myślom. Siedzący obok niego grubas nagle zsunął się na podłogę. Z zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy. Ptaki nie śpiewały, nawet drzewa przestały szeleścić. Whisky już prawie się skończyła. To go trochę zaniepokoiło. Za kilka godzin znów będzie trzeźwy. Prędzej czy później będzie musiał podnieść swoje ciężkie, ospałe ciało z podłogi i coś zrobić. Ale nie miał pojęcia co. Miał pieniądze, lecz ani krzty energii, żeby wyjść z chaty i wrócić do głównej drogi albo spróbować ucieczki. Nie miał żadnych kolegów, oprócz jednego, który siedział w więzieniu za napad na urząd pocztowy i wkrótce wyjdzie na zwolnienie warunkowe. Morgan był kierowcą. Ledwie udało im się uciec i rozdzielili się, gdy tylko dotarli w bezpieczne miejsce. Dwa dni później jego przyjaciela złapano. Został aresztowany na podstawie zdjęć z napadu pokazanych w telewizji. Idiota miał dług, więc ktoś się na nim zemścił. Ukrył broń gdzieś w lesie, jak mówił, ale w jego mieszkaniu znaleźli pieniądze. Nie powiedział policji o Morganie. To było zdumiewające, naprawdę niewiarygodne, że oparł się naciskom i wziął całą odpowiedzialność na siebie. Nikt wcześniej nie zrobił dla Morgana czegoś podobnego! Dopiero później ogarnęło go uczucie dozgonnej wdzięczności. A podczas odwiedzin pojawiła się drobna aluzja.

– Kiedy wyjdę, będę splukany. Możesz coś na to poradzić?

Napad na Fokus Bank był tylko początkiem. Sto tysięcy koron, po połowie dla każdego, nie wystarczy na długo. Znał swojego przyjaciela, znał jego zwyczaje i jego

potrzeby. Gdy wydadzą pieniądze, znów będzie to samo. Byłoby lepiej, gdyby policja mnie też wtedy złapała, pomyślał Morgan z przygnębieniem. W jego mózgu rozległo się ciche brzęczenie. Może tracił zmysły tak jak Errki? To pierwszy głos – krążący w głowie owad, który próbuje wydostać się na zewnątrz.

Rozdział 20

Morgan poderwał się ze snu. Kannick z pochyloną głową spał obok. Ściśnięty podwójny podbródek rozpląszczył się na jego klatce piersiowej w ogromnej masie skóry i tłuszczu. Mężczyzna wyprostował zeszywniałe nogi i dotknął dłonią głowy. Nos nie bolał go już tak bardzo – miał wrażenie, że prawie zupełnie mu zdrętwiał. Może nawet był już martwy. Wkrótce urwie się i odpadnie jak kawałek zgniłego owocu.

Kannick otworzył oczy. Na zewnątrz zauważył niebieskawą poświatę.

– Jest wieczór – szepnął Morgan.

– Muszę iść do domu – błagał Kannick. – Będą mnie szukać!

Morgan spojrział na Errkiego, szukając broni. Zauważył ją wetkniętą za pasek od spodni. Powoli wstał i zachwiał się, łapiąc równowagę. Podszedł do szafy, postąpił tam chwilę zamyślony i pochylił się. W kącie było ciemno. Stał w rozkroku nad śpiącym ciałem i niezdecydowanie pogmerał dłonią przy pasku Errkiego. Nagle poślizgnął się na czymś mokrym i lepkiem i upadł. W ułamku sekundy zerwał się na nogi ze zdumionym wyrazem twarzy.

– Co jest, do kurwy nędzy!

Kannick wzdrygnął się i szeroko otworzył oczy.

– Co się dzieje?

– Tu wszędzie jest krew! On krwawi jak cholera!

Kannick poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po plecach.

– To Errki! – krzyknął Morgan, odskakując. – Wykrwawił się na śmierć. Jest zimny!

– Nie! – krzyknął ostro i ochryple Kannick. Z trudem wstał, lecz natychmiast musiał oprzeć się o ścianę.

– Nie żyje!

Jak w złym śnie Kannick patrzył na Morgana, który powoli odwracał się w jego stronę.

– Czy ty wiesz, co zrobiłeś? Zabiłeś Errkiego. A niech to wszystko cholera weźmie!

Kannick potrząsnął głową. Z jego ust wydobył się krzyk, który zaniki, nim zdążył się w pełni uformować.

– Ja tylko trafiłem go w nogę.

– Musiałeś mu przebić żyłę w pachwinie. Albo tętnicę.

Morgan cofnął się, nie spuszczać oka z Kannicka.

– Mam tego dość. Zjeżdżam z tego domu wariatów!

Zachwiał się. Przydałaby mu się broń, ale musiałby najpierw dotknąć zimnego ciała, może nawet poplamić sobie ręce krwią.

– Musisz mi pomóc!

Chłopak uczeplił się drewnianej ścianie i zalał się łzami.

– Nie chciałem! Otworzył drzwi, kiedy ja już wypuściłem strzałę. Musisz im powiedzieć, co się stało. Nikt inny tego nie widział!

Morgan przerwał, poruszony widokiem grubego, zdesperowanego chłopca. Z trudem przełknął ślinę, rzucił jeszcze jedno spojrzenie na ciało Errkiego i osunął się na podłogę.

– I bez tego mam już przechlapane. Napadłem na bank i wziąłem zakładnika. Nieźle za to beknę.

– Moglibyśmy wrzucić ciało do jeziora. Powiemy, że uciekł! – Kannick bezradnie zalał ręce. – Ja tego nie chciałem. To był wypadek! Wrzucmy go do jeziora!

– Wystarczy, że powiesz policji prawdę. Ale ja muszę stąd zjeżdżać.

Morgan zmrużył oczy. Próbował skupić się na tyle, by móc pomyśleć o ucieczce.

Zrozpaczony Kannick odchodził od zmysłów, wstrząsany wybuchami płaczu.

– Wrzucenie ciała do jeziora nic nie da – stwierdził Morgan niecierpliwie. – Wszędzie jest krew. Cała kałuża krwi.

– Możemy zastawić ją szafą.

– To nic nie pomoże.

– Proszę cię!

– Szukają nas. Mogą tu trafić lada chwila. Nie mamy czasu. Poza tym gdybyśmy spróbowali znieść go na dół do wody, umazemy się krwią. To bez sensu, Kannick. Jesteś za młody, żeby iść do więzienia. Wywiniesz się. Tak samo jak Errki za zamordowanie tej staruszki, bo jest walnięty. Ale ja – zawył, tłukąc pięściami w podłogę z furją – ja się nie wywinę. Nie mam żadnej choleralnej wymówki!

Jęczał i targał się za włosy, próbując sobie przypomnieć, jak zaczął się dzień. Zdziwił się, jak niewiarygodnie długo trwał. Prawie jak całe życie. Owładnęło nim straszliwe uczucie paraliżu. Jego mózg nie chciał działać. Wszystko przez tę pieprzoną whisky. Kannick leżał wyciągnięty na podłodze i z trudem łapał dech.

– Za domem jest stok – zaszlochał. – Może ciało samo stoczy się na dół?

– Jezu Chryste! Dłużej tego nie wytrzymam!

Kannick wstał, przyskoczył do Morgana i zaczął nim mocno potrząsać.

– Musisz! Musisz!

– Nie, nie muszę.

– Zrobimy to razem. A potem ruszymy w drogę. Musimy! Nikt za nim nie zateśkni.

– I tu się mylisz – zaoponował spokojnie Morgan. A gdy tylko wypowiedział te słowa, z zaskoczeniem odkrył, że to prawda.

Wyrzął przez okno i rozplakał się. Krajobraz w oddali wyglądał na zamglony. Wiedział, że musi uciec, albo straci rozum tak jak Errki. Zaraz zacznie pleść coś bez sensu, jeśli tylko sobie na to pozwoli. Teraz czuł, że może utonąć i zostawić świat samemu sobie, ze zdziwieniem przyglądać się ludziom, nie rozumiejąc, co mówią. Nic go nie będzie obchodzić. Niech się dalej zajmują swoimi sprawami. To nie jego interes. Ludzie są popieprzeni. Społeczeństwo zmusza do myślenia o zbyt wielu rzeczach naraz. Jak szantażysta czekający w więzieniu. Jak stojący przed nim gruby, pożałowania godny chłopak.

– Musimy! – krzyczał Kannick.

Morgan spuścił głowę. Słyszał sapanie Kannicka i jakiś odgłos z oddali, który stopniowo stawał się coraz wyraźniejszy. Szczekanie psów.

– Jest za późno – jęknął. – Już po nas idą.

Sejer uważnie studiował mapę.

– Zbliżamy się do starych zagród. – Zmrużył oczy i wskazał kierunek. – Idę o zakład, że ukrywają się w jednej z tych chat.

– Co zrobimy, kiedy ich znajdziemy? – zapytał Skarre.

Sejer przyjrzał się uważnie każdemu z mężczyzn.

– Myślę, że nie powinniśmy robić nic widowiskowego. Proponuję trzymać się na dystans i uprzedzić ich, żeby wiedzieli, ilu nas jest i że jesteśmy uzbrojeni.

– A co zrobimy, jeżeli zasłoni się zakładnikiem i zacznie grozić mu bronią?

– Wtedy go wypuścimy. Daleko nie zajdzie. Nas jest pięciu, a ich tylko dwóch.

Skarre otarł pot z twarzy.

– Niech nikt nie wyciąga broni – instruował Sejer. – Nie mam zamiaru nieść żadnego z was do domu w tym przeklętym upale. Pamiętajcie, że kiedy to wszystko się skończy, będziemy musieli szczegółowo wyjaśnić całą sprawę. Na piśmie. Zgodnie z prawdą i z czystym sumieniem. Bez mojego pozwolenia nawet nie patrzcie na broń. Jeżeli zmienię zdanie, poinformuję was o tym.

Ruszył. Pozostali mężczyźni, sapiąc, podążyli za nim. Pokładali w nim zupełną ufność, choć uważali, że niekiedy bywa zbyt ostrożny. Zadania tego rodzaju zdarzały się rzadko. Tak naprawdę nie mieli ochoty wałęsać się po dusznym i gorącym lesie, ale smaku

adrenaliny nie dało się z niczym porównać.

– Myślę, że jezioro Himmerik jest tam, w dole – powiedział Sejer, wskazując kierunek ręką. – Według mapy jest blisko, chociaż stąd jeszcze nic nie widać. Zakładam się o piwo, że psy poprowadzą nas właśnie w tamtym kierunku.

– Nie widzę żadnych zabudowań. – Ellmann osłonił oczy dłonią i wbił wzrok w gęsty zagajnik przed nimi.

– Pewnie są tam, za drzewami. To dobrze, bo nie od razu nas zobaczą.

Psy popędziły naprzód, prosto ku zagajnikowi. Od czasu do czasu Skarre spoglądał w górę, mając nadzieję, że Bóg ma na nich oko. Spokojny las emanował czymś groźnym, jakby cisza zapowiadała gwałtowną burzę. Lecz na niebie nie było żadnych chmur, tylko lekka mgielka unosiła się nad drzewami. Bezustannie i niepowstrzymanie upał odbierał ziemi resztki wilgoci – para wodna unosiła się w górę i osiadała jak mleczna mgła nad okolicą. Może obaj uciekinierzy czekali na nich przy otwartym oknie z bronią gotową do strzału albo już dawno przeszli na drugą stronę górskiego grzbietu. Policjanci krok po kroku zbliżali się do zagajnika. Żadnej zagrody w zasięgu wzroku.

Postanowili zaufać znakomitemu słuchowi Zeba. Ellmann wezwał psa, a reszta mężczyzn stanęła, z zaciekawieniem patrząc na czarne, podpalane zwierzę. Zeb delikatnie kołysał głową, a uszy drżały mu lekko jak czułki owada. Nagle odwrócił głowę ku drzewom. Nasłuchiwał odgłosów z miejsca, którego nie widzieli. W myślach Ellmann nakreślił linię prostą od uszu psa do zarośli.

– Tam ktoś jest – wyszeptał.

Sejer ruszył, żeby to sprawdzić. Zeb skoczył za nim, lecz treser powstrzymał go szarpnięciem smyczy. Niezadowolony pies szczeknął ostro. Włosy Sejera świeciły jak srebro na tle zieleni, gdy skradał się ku zaroślom. Sekundy mijały. Skarre pocił się. Przewodnicy głaskali psy. Sejer szedł dalej. Po kilku krokach skręcił w lewo i zanurzył się w gęstwinie. Próbował rozluźnić napięte mięśnie. Teraz pomiędzy drzewami zaczynał dostrzegać jakiś ciemniejszy i bardziej zwarty kształt. Sięgnął po broń. Rozgrzana skórzana kabura parzyła mu rękę. Wkrótce drzewa przerzedziły się, ukazując polanę, na której stał ciemny i masywny dom. Drewniana chata z powybijanymi szybami. Nikogo w zasięgu wzroku. Przykucnął w trawie, pewny, że nie widać go z żadnego okna. Z wnętrza chaty nie dobiegał żaden odgłos. Może spali albo odpoczywali? A może czekali na niego? Dach domu porastały kępy wyschniętej, wypalanej słońcem trawy. Małe okna ze szprosami nie wpuszczały do wnętrza zbyt wiele światła. W chacie prawdopodobnie panował miły chłód. Wyczuwał, że ktoś tam jest, ale nadal nie słyszał nawet najdrobniejszego szelestu. Gdyby teraz wstał i podszedł do

drzwi, z przerażenia mogliby otworzyć na oślepie ogień. Zatrzymał się. Postanowił rzucić szyszką w drewnianą ścianę. Może hałas wywabi kogoś z chaty? Albo jeden z nich podejdzie do okna, żeby sprawdzić, co się dzieje? Sejer rozejrzył się i pod wyschniętą sosną znalazł dużą szyszkę. Może lepiej celować w drzwi? Jeżeli ktoś tam jest, z pewnością usłyszy. Dostrzegł ciemną, brązową plamę na kamiennych schodach. Wyglądała jak zaschnięta krew. Zmarszczył brwi. Czy ktoś został ranny? Zamachnął się i rzucił szyszkę. Rozległo się ciche stuknięcie. Przykucnął, lecz nic się nie wydarzyło. Dał sobie całą minutę. Sekundy mijały. Trudno było kucać, mając na sobie przyciasny kombinezon.

Minuta minęła. Ostrożnie wycofał się i wrócił do czekającej grupy mężczyzn.

– Wchodzę do środka.

Skarre rzucił mu zafrasowane spojrzenie.

– Myślę, że nikogo tam nie ma. W środku jest bardzo cicho.

– Zeb na pewno coś słyszał – upierał się Ellmann.

Sejer i Skarre podeszli do chaty, podczas gdy treserzy zostali z psami. Sejer pchnął drzwi.

– Halo! Policja! Czy ktoś tu jest?

Nikt nie odpowiadał. Wszędzie panowała cisza. Inspektor nie sądził, że bandyta mógłby nagle wyskoczyć i do niego strzelić. Nie tak miał zginąć. Dom wydawał się zupełnie pusty. Zajrzał do salonu. Zauważył zielony tapczan, starą szafę i, co dziwne, szary futerał. Zrobił kilka kroków do przodu i rzucił przez ramię do Skarrego:

– Byli tu.

Stał na środku zakurzonego pokoju i rozglądał się, pozwalając oczom przywyknąć do panującego wewnątrz półmroku. Po chwili zauważył w kącie sylwetkę wychudzonego człowieka w ciemnym ubraniu i z czarnymi włosami. Pół siedział, pół leżał w nienaturalnej pozycji, z głową opartą o szafę. Musiało mu być bardzo niewygodnie. Sejer nie myślał już o własnym bezpieczeństwie, nie przejmował się, że ktoś go zaatakuje. Zrobił kilka kroków i przyklęknął obok leżącego. Był chudy i wymizerowany, miał zamknięte oczy i upiornie bladą twarz. Wyglądał jak skrajnie niedożywione dziecko, z czupryną czarnych włosów sięgających do ramion.

– Errki – szepnął Sejer.

Ciało Errkiego leżało w kałuży krwi. Dotknął jego chudej szyi, starając się wyczuć puls, ale bez powodzenia. W półmroku trudno było zauważyć ranę, ale najwyraźniej został trafiony gdzieś w brzuch. Był jeszcze ciepły. Inspektor miał właśnie wstać, kiedy usłyszał jakiś hałas. Pomyślał, że to Skarre, lecz nagle coś ciemnego ukazało się w jego polu widzenia.

Rozległo się nieprzyjemne skrzywienie – powoli otwierały się drzwi szafy. Włosy na karku zjeżyły mu się z przestachu. Wziął głęboki oddech. Skrzywienie ustało. Ze swojego miejsca nie mógł zajrzeć do wnętrza, ale nie sądził, by w środku mógł się ktoś ukrywać. Jeżeli bandyta zastrzelił zakładnika, po co miałby ukrywać się w starej szafie? Z pewnością już dawno uciekł. Drzwi otworzyły się na oścież tylko dlatego, że kroki Sejera poruszyły obluźowane deski, na których stał mebel. Podniósł się, zrobił kilka kroków, a potem zajrzał do środka. Błysnął metal.

Broń drgała w roztrzęsionej dłoni. Zaskoczony Sejer zaczerpnął szybko tchu i chciał wyjąć własny pistolet, ale zmienił zdanie. Ze zdumieniem wpatrywał się w stojącą tam istotę, w przerażoną, bladą twarz i w uniesiony rewolwer. W szafie stał Kannick.

Teraz żadnych błędów. Tylko spokojnie, bardzo spokojnie. Chłopiec jest u kresu wytrzymałości, a jego zachowanie jest kompletnie nieprzewidywalne. Zachowaj spokój, mów cicho. Nie okazuj, że się go boisz.

– Ja nie chciałem! – wrzasnął Kannick. Głos chłopaka eksplodował w ciszy i sprawił, że Sejer podskoczył, mimo że był na coś takiego przygotowany. – Stań mi na drodze! Może pan zapytać Morgana!

Mierzył w klatkę piersiową Sejera i na pewno by go trafił. Gdyby mógł nacisnąć spust.

Sejer opuścił dłonie.

– Kannick, broń nie jest odbezpieczona. Potem dodał: – Kim jest Morgan?

Zaskoczony chłopak gapił się na rewolwer. Oszołomiony, zaczął nerwowo szperać przy blokadzie, ale zdrtwiałe ze strachu palce odmawiały mu posłuszeństwa. W końcu poradził sobie. Jednak Sejer zdążył już wyciągnąć własną broń, a za nim stał kędzierzawy mężczyzna, także z pistoletem w dłoni.

– Jest w sypialni – Kannick pociągnął nosem. Potem upuścił broń na podłogę, zgiął się wpół i dostał gwałtownych torsji. Wciąż jeszcze stał w szafie i wymiotował prosto na butwiejące deski podłogi. Wylewała się z niego zupa i whisky. Sejer odczekał, aż chłopak skończy. Potem ostrożnie podniósł broń, podał ją Skarremu i zostawił chłopca z kolegą. Sam udał się do sypialni.

Morgan stał za drzwiami i czekał. Teraz resztką sił, jakie mu pozostały, puścił się biegiem w stronę lasu. Minął podwórze i znalazł się wśród drzew. Poprzez zarośla Ellmann dostrzegł jasne włosy i kolorowe szorty. Bandyta nie miał szans.

Policjant pochylił się, ujął głowę psa i szepnął mu do ucha:

– Zeb, bierz go!

Zwierzę skoczyło naprzód i popędziło jak futrzana błyskawica. Morgan nie słyszał pędzącego za sobą zwierzęcia ani żadnego okrzyku, jedynie własne kroki na suchym poszyciu. Biegł, lecz po chwili opadł z sił. Zeb zauważył dwie białe dłonie i postanowił chwycić za lewą. W tym, co miał właśnie zrobić, nie było nawet cienia agresji – lata treningu i rozkaz do wykonania, nic więcej. Morgan zatrzymał się, ciężko dysząc. Czuł, że kolana się pod nim uginają. Musiał sprawdzić, czy ktoś go nie goni. W tej samej chwili potknął się i wylądował na brzuchu. Odwrócił się na bok i usiadł na trawie. Przerażony gapił się na to, co pędziło ku niemu. Czarne podpalane zwierzę z wyszczerzonymi, żółtymi zębami i wywalonym, czerwonym językiem. Pies przykucnął, gotowy do skoku. Białe dłonie, w które wcześniej mierzył, zniknęły. Teraz widział tylko czerwoną twarz, a na środku żółtą plamę. Łatwy cel. Jednym potężnym skokiem znalazł się tam i kłapnął szczękami. Morgan wydal z siebie rozdzierający serce ryk. Kiedy dotarli do niego policjanci, siedział, szlochając, z twarzą ukrytą w dłoniach. Sejer zatrzymał się na chwilę, żeby go posłuchać. W tym skowycie słychać było niejaką ulgę.

Rozdział 21

Sara siedziała bez ruchu na skraju fotela, słuchając Sejera, który opowiadał jej o wszystkim, co zaszło w leśnej chacie. Pytała, w jakiej pozycji znaleziono Errkiego i czy odczuwał jakikolwiek ból. Główny inspektor odparł, że chyba nie. Najprawdopodobniej był wyczerpany, a upływ krwi ostatecznie pozbawił go sił. Jego śmierć przypominała zapadnięcie w sen. Sejer nie szczędził czasu, próbując przypomnieć sobie wszystkie szczegóły. Został tylko jeden detal.

– Nie mogę uwierzyć, że Errki nie żyje – wyszeptała. – Że naprawdę go nie ma. Widzę go w myślach całkiem wyraźnie. Gdzieś indziej.

– Gdzie?

Kobieta uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Unosi się gdzieś w przestrzeni, bez żadnych zmartwień, i patrzy na nas. Myśli sobie: gdyby tylko ci wszyscy ludzie, walczący z przeciwnościami losu na ziemi, wiedzieli, jak tu jest pięknie.

Ten obraz wywołał przelotny, melancholijny uśmiech na twarzy Sejera. Zastanawiał się właśnie nad tym, co jej powiedzieć, jakich użyć słów, by złagodzić wymowę tego, co będzie musiał jej przekazać.

– Rozplatałam ropuchę – powiedziała nagle.

– Dziękuję. Co za ulga.

Miała na sobie cienki żakiet, którym teraz szczerzej się otuliła. Sejer nie włączył górnego światła, tylko lampę na biurku. Zielony abażur rozsiewał po jego gabinecie wodnistą poświatę.

– Jest coś, o czym powinna pani wiedzieć.

Podniosła głowę i spróbowała odczytać wyraz jego twarzy.

– W kurtce Errkiego znaleźliśmy portmonetkę. – Odchrząknął. – Czerwoną portmonetkę, własność Halldis Horn. W środku było około czterystu koron.

Zamilkł, czekając na reakcję kobiety. Miał wrażenie, że pobladła, ale w zielonkawej poświacie trudno było stwierdzić na pewno.

– Jeden do zera dla Konrada – powiedziała, uśmiechając się smutno.

– Nie traktuję tego w kategoriach rozgrywki – powiedział. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– O czym pan myśli? – spytała Sara.

– Czy ktoś po panią przyjedzie?

Pytanie wymknęło mu się z ust, zanim zdążył się zastanowić. Chciał jej zaproponować odwiezienie do domu. Lecz Gerhard na pewno miał samochód, zjawi się więc na wezwanie. Wyobraził go sobie, jak siedzi w salonie, patrzy na zegar, potem na telefon, gotowy pojechać po kobietę, która należała do niego i do nikogo innego.

– Nie – powiedziała, wzruszając ramionami. – Wzięłam taksówkę. Pan domu jeździ tylko wózkiem inwalidzkim. Zamknięty w domu i skazany na moje towarzystwo. Jest chory na stwardnienie rozsiane.

Sejer osłupiał. Nie potrafił wyobrazić sobie Sary z mężem inwalidą, bo w myślach wszystko poukładał sobie zupełnie inaczej. Nadszedł czas złożyć kobiecie niezupełnie bezinteresowną propozycję.

– W takim razie może ja odwiozę panią do domu?

– A mógłby pan?

– I tak nikt na mnie nie czeka. Mieszkam sam.

Co za różnica – prędzej czy później i tak musiałby jej o tym powiedzieć.

Mieszkam sam.

Czy kiedykolwiek wcześniej scharakteryzował się w taki sposób? Czy tylko podawał swój stan cywilny – „wdowiec” lub „samotny”?

W samochodzie długo milczeli. Kątem oka Sejer dostrzegł jej kolana. Reszta była tylko obecnością, przecuciem, tęsknotą. Obie dłonie oparł na kierownicy, ujawniając głęboko skrywany sekret. Miał wrażenie, że ogłaszają wszem i wobec, że pragną kogoś przytulić. O czym myślała Sara? Nie śmiał odwrócić wzroku i spojrzeć na nią. Errki nie żył. Poświęciła mu tyle miesięcy, a mimo to nie udało jej się uratować chłopaka.

Pilotowała go do swojej ulicy. Kiedy zatrzymał się przed jej domem, zdał sobie sprawę, że pragnie wyruszyć z nią w podróż na koniec świata i z powrotem.

– Wiem, że to nieracjonalne – odezwała się nagle – ale bardzo trudno mi to zrozumieć.

– Śmierć Errkiego?

– To, że mógł zabić Halldis Horn.

Sejer przebierał nerwowo palcami. Po chwili powiedział z zakłopotaniem:

– Dzisiaj coś mi już pani powiedziała. Że raz na jakiś czas zdarzają się rzeczy, których po prostu nie potrafimy wyjaśnić.

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam zamiaru się poddawać.

– To znaczy?

– Będę musiała poszukać wyjaśnienia, przeanalizować, jak to wszystko mogło się stać.

– Gdzie będzie pani szukać?

– W moich papierach, w pamięci. Przypomnę sobie to, co mówił, i to wszystko, czego nie powiedział. Po prostu muszę go zrozumieć.

– Powie mi pani, co pani odkryje?

Wreszcie podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

– Czy mógłby mnie pan odprowadzić do domu? – spytała.

Zaskoczyła go ta prośba, ale posłusznie odprowadził ją do drzwi i poczekał, aż włoży klucz do zamka po tym, jak przelotnie nacisnęła przycisk dzwonka. To pewnie sygnał dla Gerharda, że wraca do domu. Sejer nie chciał spotkać się z jej mężem. Gdyby go poznał, myśli o ich związku stałyby się aż nadto realne. Mieszkała w parterowym domu z poszerzonymi drzwiami, wyposażonym w sprzęt ułatwiający życie osobie niepełnosprawnej. Stanęli w drzwiach salonu. Sejer przypomniał sobie pewną przeczytaną w młodości książkę. Główny bohater odprowadzał swoją ukochaną do domu. Miał nadzieję, że mieszka sama, jednak ta po drodze powiedziała mu, że czeka na nią Johnny. Tymi słowami złamała mu serce. Lecz gdy weszli do salonu, zorientował się, że Johnny to chomik.

Za biurkiem siedział Gerhard Struel i czytał. Mimo gorąca miał na sobie kamizelkę z dzianiny. Był starszy od Sejera, łysy, a jego ciemne oczy zasłaniały okulary. Obok niego, na podłodze, leżał wilczur. Pies podniósł głowę i obrzucił wchodzących badawczym spojrzeniem.

– Tatusiu – powiedziała Sara. – To jest główny inspektor Konrad Sejer.

Gerhard Struel nie był chomikiem. Był ojcem Sary!

Sejer spróbował się opanować, ściskając wyciągniętą ku sobie dłoń mężczyzny. Dlaczego chciała, żeby to zobaczył? Dom i ojca potrzebującego opieki. Może mówiła mu w ten sposób: „Zabierz mnie jak najdalej stąd!”.

– Muszę wracać do domu i wyprowadzić psa – tłumaczył się.

– Przepraszam – powiedziała, nerwowo skubiąc żakiet. – Nie chciałam panu zabierać czasu.

Gerhard Struel rzucił Sejerowi badawcze spojrzenie.

– A więc wszystko skończone?

Tak, pomyślał, skończone. Jeszcze zanim się zaczęło. To nie fair. Nie będę miał innego wyjścia. Sam się wpędziłem w tę niezręczną sytuację. Teraz to ja będę musiał podnieść słuchawkę i zadzwonić do niej, gdybym znów chciał się z nią zobaczyć. Ona zrobiła pierwszy ruch. Teraz kolej na mnie.

Sara wyciągnęła dłoń.

– Świetnie się nam razem pracowało, prawda?

Zasiała ziarno. Może zakiełkuje? Świetnie im się razem pracowało.

Odszukał jej imię w księdze imion. Sara. Znaczy – księżniczka.

Wieczorem leżał w łóżku i patrząc w sufit, prowadził z nią wymyśloną rozmowę.

– *Wiedziałem, że przyjdiesz. Czekałem na ciebie.*

– *Opowiedz mi coś o sobie – poprosiła z uśmiechem.*

– *Co mam ci opowiedzieć?*

– *Jakieś piękne wspomnienie z dzieciństwa.*

– *No to posłuchaj. Kiedy skończyłem cztery lata, ojciec zabrał mnie do katedry w Roskilde. Nie miałem pojęcia, co chce mi pokazać. Letnie słońce zostało na zewnątrz, a my znaleźliśmy się w nawie głównej. Było tam pełno grobowców. Ojciec powiedział mi, że leżą w nich wszyscy pastory, którzy pracowali w tym kościele. Rzędami, po obu stronach ławek, na oczach wszystkich. Grobowce były marmurowe i niewiarygodnie piękne. W kościele zrobiło mi się zimno. Zacząłem szarpać ojca za rękę i prosić, żebyśmy wyszli. Wreszcie zlitował się nade mną. „Śpij snem wiecznym – powiedział z uśmiechem. – A my dwaj pójdziemy do domu i popracujemy w ogródku, mimo że jest tak gorąco! Ja muszę wykosić trawę, a ty trochę poplewisz”.*

Nie mogłem przestać myśleć o tych wszystkich grobowcach, dopóki matka nie przyniosła nam do ogródka deseru truskawkowego. Był chłodny, bo wcześniej leżał w piwnicy, ale krem był ciepły. Jadłem deser i myślałem, że to nie może być prawda. W grobowcach na pewno były tylko pajęczyny i prochy. Deser był tak pyszny, że wydawało się niemożliwe, iż życie nie trwa wiecznie. Popatrzyłem na błękitne niebo i nagle zauważyłem unoszące się w górze stado aniołów z białymi skrzydłami. Wydało mi się, że przyleciały po nas, a przecież nie skończyliśmy jeszcze naszego deseru! Ojciec też je zobaczył. Uśmiechnął się radośnie. „Popatrz, Konrad! Popatrz, jaki piękny widok!”

To było piętnastu skoczków spadochronowych z gwardii narodowej. Wylądowali niedaleko, na boisku piłki nożnej. Nigdy nie zapomnę, jak pięknie wyglądali, gdy tak cicho opadali w dół.

Długo nie mógł zasnąć. Był bardzo zmęczony, ale jego oczy wydawały się jarzyć wewnętrznym światłem. Wbił wzrok w ciemność. Przewracał się z boku na bok, a za każdym razem, kiedy się poruszył, Kollberg nadstawiał ucha. Było zbyt gorąco na sen. Egzema znów

przypomniała o sobie i musiał się podrapać. Zrezygnowany wstał z łóżka, ubrał się i poszedł do salonu. Kollberg cicho poczłapał za nim. Czy naprawdę pragnął, by istniał ktoś aż tak bliski? Obok siebie w łóżku każdego ranka, dzień za dniem, rok za rokiem? Co na to Kollberg? Do tego dwa psy, samce – nie, to nie ma szans powodzenia.

– Chcesz iść na spacer? – zapytał. Pies szczeknął i podreptał do drzwi. Była druga w nocy. Budynek sterczał jak samotny filar na tle nieba bez gwiazd.

Najpierw miał zamiar pójść do centrum, w stronę cmentarza, ale zmienił zdanie. Nie mógł uwierzyć, że czuje się winny. Czytał, że coś takiego może się wydarzyć i nie wiedział, jak sobie z tym poradzić. Może powinienem się przeprowadzić? pomyślał. Kupić nowy samochód? Muszę wyznaczyć wyraźną kreskę: przed i po Elise. W przeciwnym razie nigdy sobie z tym nie poradzę. Coś mnie powstrzymuje.

Był bez marynarki. Powiew nocnego powietrza na nagich ramionach łagodził swędzenie. Wałęsał się po okolicy, tak samo jak Errki.

Jeżeli mam zostać na tym świecie, muszę prowadzić normalne życie, postanowił. Odwrócił się i spojrzał na swój apartamentowiec. Ciężki filar z szarego betonu z przyćmionym oświetleniem budził w nim niepokój. Muszę się stąd wynieść, pomyślał. Chcę być na ziemi. Stać w trawie i widzieć drzewa.

– Przeprowadzamy się na wieś, Kollberg?

Pies spojrzał mu w oczy.

– Nie rozumiesz co mówię, prawda? Mieszkasz w innym świecie. Mimo to dobrze nam razem, chociaż nie jesteś zbyt rozgarnięty.

Kollberg skwapliwie obwąchał jego dłoń. Sejer włożył rękę do kieszeni spodni i wyjął ciasteczko dla psa, o którym dawno zapomniał. Kollberg nie wiedział, za co ta nagroda, ale połknął ją i pomerdał z wdzięcznością ogonem.

– Najgorsze jest to, że nigdy się nie dowiem dlaczego – mruczał. – Co naprawdę między nimi zaszło? Co Halldis powiedziała albo zrobiła, że tak się przestraszył? Teraz oboje nie żyją i nie mogą nam nic wyjaśnić. Z drugiej strony, nie jesteśmy świadomi większości rzeczy, jakie dzieją się na świecie. Dziwne, że przechodzimy nad tym do porządku dziennego. Jakbyśmy przez całe życie czekali na jeszcze dalszą przyszłość, na coś zupełnie innego, co da się zrozumieć. A ty, ośle – spojrzał na psa – tylko czekasz na następny posiłek.

Gdy odwrócił się plecami do cmentarza i wracał do domu, w głębi serca poczuł ukłucie bólu.

Skarre był w dobrym humorze. Opalony, świeżo spod prysznic.

- Co się stało? – Sejer spojrzał na niego.
- Nic. Po prostu cieszę się życiem, to wszystko.
- Trudno nie zauważyć – stwierdził. – Masz jakieś wiadomości z laboratorium? Udało im się wreszcie znaleźć właścicieli odcisków?
- Odciski Errkiego były wszędzie, w całym domu. Dotknął nawet lustro. Ze śladami na motyce mają większe kłopoty, ale nie poddają się jeszcze.
- Spisałeś protokół z wczorajszego przesłuchania?
- Tu jest, szefie. – Wręczył Sejerowi kilka dokumentów w plastikowej teczce i przygryzł wargę. – Co się stanie z chłopakiem?
- Nic specjalnego. Garpe potwierdził, że to był wypadek. Pewnie Kannick zostanie w Guttebakken, a z tego, co mówią, to najlepsze rozwiązanie. Na pewno ostatnio nie brakowało mu przeżyć. Potrzebuje trochę spokoju i stabilizacji. Teraz wybieram się, żeby z nim porozmawiać. Chyba jest w nie najlepszej formie, ale mam cichą nadzieję, że dowiem się o Errkim czegoś, co umknęło Garpe'owi. Może coś nam wyjaśni?
- Skarre rzucił mu uważne spojrzenie.
- Małe szanse. To przecież tylko chłopiec, który na dodatek o mało nie zwariował z przerażenia.
- Dzieci są spostrzegawcze – upierał się Sejer.
- Niekoniecznie. Po prostu widzą inne rzeczy niż dorośli.
- A to może nam się przydać.
- Skarre zmarszczył brwi.
- Coś jest na rzeczy. Ciekawe co.
- Nie rozumiem.
- Mam wrażenie, że nie możesz się pogodzić z tym, co się zdarzyło. A to nie w twoim stylu.
- Po prostu lubię wyjaśniać sprawy do końca – rzucił szorstko Sejer.
- Wyglądasz na przemęczonego.
- Przez całą noc wszystko mnie swędziało! – Z tą dramatyczną informacją Sejer znikł w swoim gabinecie.

- Nazywasz się Morten Garpe?
- Tak.
- Ale wolisz, żeby nazywać cię Morgan?
- Moi przyjaciele, gdybym takich miał, nazywaliby mnie Morgan.

– Nie masz żadnych przyjaciół? Dlaczego więc nazywasz się Morgan?

– To brzmi dużo lepiej, nie sądzi pan?

W notatkach Skarrego nie znalazła się uwaga, że w tej chwili obaj wybuchnęli śmiechem.

– A więc, Morten, jesteś sam na świecie?

– Mam niewielu kumpli. Właściwie tylko jednego, a on siedzi w więzieniu. Plus siostra w Oslo.

– Za co siedzi ten kumpel?

– Za napaść z bronią w rękę. Ja prowadziłem samochód, którym uciekliśmy. Nie pisnął o mnie ani słowa. Pieniądze z napadu były dla niego.

– A więc od dłuższego czasu miał cię w garści, prawda?

– Tak.

– I chciałeś wreszcie z tym skończyć?

– Myślę, że teraz wlepią mi taką odsiadkę, że nie ma to już znaczenia.

– Masz rację, to nie ma znaczenia. O napadzie na bank pomówimy później. Opowiedz mi o Errkim.

Skarre zaznaczył, że Morgan zastanawiał się przez dłuższą chwilę, zanim przemówił.

– Opowiedział mi wszystko o swojej matce i o tym, co się z nią stało. Errki i ja jesteśmy spod znaku Skorpiona. Urodził się tydzień po mnie. Najlepsi i najgorsi ludzie to Skorpiony, wiedział pan o tym?

– Nie. Co to znaczy, że wszystko ci opowiedział?

Sejer podniósł wzrok znad raportu i pomyślał o specjalistach, którzy od lat próbowali różnych sztuczek, żeby wydobyć z Errkiego prawdę. A temu człowiekowi udało się to w kilka godzin.

– Czy pamiętał cokolwiek związanego z morderstwem Halldis Horn?

– Niewiele. Mówił, że krzyczała i groziła mu. Miał takie nieobecne spojrzenie, kiedy o tym mówił.

– Powiedział ci, że ją zabił? Czy przyznał ci się do tego?

– Nie. Popatrzył na mnie tymi swoimi dziwnymi oczami i powiedział: „Pewne rzeczy po prostu się dzieją”.

– Odniosłeś wrażenie, że jest agresywny?

– Widział pan mój nos, zanim go zabandażowali. Będzie naprawdę ładny, kiedy

odrośnie. Ale teraz nie robi mi to żadnej różnicy. Nic mnie nie obchodzi. Cieszę się tylko na myśl o wstrętnej gębie Tommy'ego, kiedy z celi obok będę walił w ścianę, a on zrozumie, że kasy nie ma i nie będzie.

– Nazywa się Tommy?

– Tommy Rein.

– Naprawdę?! – O czym rozmawialiście z Errkim, kiedy byliście w chacie?

– Wszystkiego nie pamiętam. Opowiadał mi tyle dziwnych rzeczy. Dużo rozmawialiśmy o śmierci. Czy myślał pan o tym, że kiedyś naprawdę umrzemy? Widzę, jak ludzie wokół mnie umierają, ale nie dopuszczam do siebie myśli, że i mnie to kiedyś spotka. Dzisiaj kilka razy próbowałem to sobie wyobrazić. Ale przypomina mi to jakieś pokręcone równanie, którego nie jestem w stanie pojąć. A pan to pojmuje?

– Pojmuję co?

– To, że pan umrze?

– Tak, pojmuję.

– W takim razie ze mną chyba jest coś nie tak.

– Nie martw się, prędzej czy później pogodzisz się z tym. Znam wielu ludzi starszych od ciebie, którzy jeszcze sobie z tym nie poradzili. Skąd Errki miał broń?

– Pytałem go o to. Wtedy powiedział coś dziwnego w stylu: „Jeżeli twój sąsiad pragnie mieć krowę, Bóg ześle ci wołu”.

– Jak bardzo się upił?

– Nie tak bardzo jak ja, ale dość słabo trzymał się na nogach.

– O czym rozmawiał Errki z Kannickiem?

– Prawie w ogóle się do siebie nie odzywali. Patrzyli na siebie jak psy. Młody o mało nie zwariował ze strachu. Prawie w ogóle nie odwracał się do Errkiego.

– Czy miałeś wrażenie, że Errki grozi chłopcu?

– Nie sędzę. Traktowaliśmy go dobrze, w każdym razie nic mu nie zrobiliśmy. Po prostu byliśmy pijani. Zanim przyszedł Kannick, żeglowaliśmy po pełnym morzu, że tak się wyrażę. Dziwna rzecz, ale po jakimś czasie miałem wrażenie, że chłopak jest zadowolony, że z nami jest. Uspokoił się. W pewnym sensie cała nasza trójka pasowała do siebie. Nikt nie miał ochoty nic robić. Po prostu czekaliśmy na was.

– Jak zareagował Kannick, kiedy zauważyłeś, że Errki nie żyje?

– Spanikował. Błagał i prosił, żebym mu pomógł.

– Pomógł mu zrobić co?

– Przekonać was, że to był wypadek.

- A to był wypadek?
- Zdecydowanie tak. Chłopak celował w drzwi. Nie wiedział, że jesteśmy w środku, ani że Errki właśnie w tej chwili będzie miał ochotę wyjść.
- Rozumiem. Co jeszcze?
- To znaczy?
- Czy proponował ucieczkę albo ukrycie ciała?
- Nie, nie. Zdecydowanie nie. Przekonałem go, żeby tego nie robić.
- Więc jednak zaproponował coś takiego?
- Ech, nie, nie naprawdę. Nie wiedział, co mówi. Był spanikowany. I trudno mu się dziwić, prawda? Ma szczęście, że ma dopiero dwanaście lat i według prawa jest nieletni.

Rozdział 22

Sejer usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi. Mimo że źle spał, nagle z niewiadomego powodu rozjaśniło mu się w głowie. Miał dziwne wrażenie, że nadeszła decydująca chwila. Czul to. Czas stanął w miejscu. Wyglądał przez okno samochodu, próbując znaleźć na zewnątrz coś, co wyjaśniłoby to uczucie. Wydawało mu się, że jest sparaliżowany i nie może się ruszać. To uczucie nie było nieprzyjemne, raczej nieznanne. Przyjrzał się swoim dłoniom leżącym na kierownicy. Każdemu pojedynczemu włoskowi na ich grzbiecie, cienkim liniami przecinającym kłykcie. Białym paznokciom, czystym i równym. Zegarkowi z małą złotą koroną na tarczy. W lusterku wstecznym napotkał własne spojrzenie. Patrzyła na niego twarz starsza, niż pamiętał, ale nadal bardzo czujna. Obudził go dźwięk klaksonu. Włączył bieg i przeciął rynek, mijając rzędy zaparkowanych aut.

Chłopiec wyprostował się. Lewą stopę przekreślił na bok, a prawą wystawił do przodu. Podniósł głowę i wysunął podbródek. Spuścił ręce i rozluźnił mięśnie. Wziął długi, głęboki wdech, a potem powoli wypuścił powietrze. Ostrożnie, prawie ukradkiem, obrócił głowę w lewo. Nie szybko, ale delikatnie, bardzo delikatnie. Zmrużył oczy i spojrzał na oddalone o trzydzieści metrów złote koło. Obraz powoli stawał się coraz ostrzejszy. Znowu wziął głęboki wdech i zatrzymał powietrze w płucach. Potężna klatka piersiowa wypełniła się i w tej samej chwili chłopiec podniósł łuk. Napiął cięciwę, zakotwiczył i wycelował. Mała czerwona kropka dotknęła dolnej krawędzi celu. Teraz chciał trafić w dziesiątkę. W tych wspaniałych chwilach, kiedy wszystko szło jak po maśle, udawało mu się. Strzała wyleciała z łuku. Cięciwa wydała cichy brzdęk, a potem, gestem tyleż eleganckim, co wyćwiczonym, Kannick opuścił łuk dokładnie w chwili, gdy strzała wbiła się w środek tarczy z głośnym trzaskiem. Wypuścił powietrze z płuc i poszukał w kołczanie następnej. Nie poruszał oczami, nie przesunął stóp. Założył strzałę na cięciwę. Chciał zaliczyć trzy dziesiątki z rzędu. Jeżeli będzie miał szczęście, druga strzała wyląduje tuż przy pierwszej i stuknie o nią. Znowu wziął oddech i zamknął oczy. Potem otworzył je i wpatrzył się w cel oraz w czerwone pióra pierwszej strzały widoczne pośrodku złotego koła.

Usłyszał hałas, ale starał się go zignorować. Dobry łucznik nie pozwala sobie nawet na chwilę dekoncentracji. Strzela skupiony. Hałas narastał. Nie podobało mu się to. Chciał dokończyć serię trzech strzałów. Zbliżał się samochód. Strzała numer dwa wyleciała z cięciwy. Ósemka. Stęknął z irytacją i odwrócił głowę. Na podwórzu pojawił się samochód

policyjny.

Kannick opuścił łuk i stanął w bezruchu. To był Sejer. Pewnie przyjechał tylko po to, żeby powiedzieć mu cześć, zapytać, co słyhać i czy dobrze spał. Był sympatyczny. Nie ma się czego bać.

Chłopiec uśmiechnął się.

– Dzień dobry, Kannick.

Sejer nie uśmiechał się. Wyglądał bardzo poważnie. Nie tak przyjaźnie, jak ostatnio, ale jakby go coś martwiło. Odwrócił się, żeby spojrzeć na tarczę.

– Trafiłeś w dziesiątkę – powiedział.

– Tak – potwierdził Kannick z dumą.

– Czy to trudne? – obrzucił błyszczący łuk ciekawym spojrzeniem, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Tak, dość trudne. Ćwiczę to od ponad roku. Trafiłbym w drugą, ale pana przyjazd mnie zdekoncentrował.

– Przepraszam. – Sejer spojrział w oczy chłopca z poważnym wyrazem twarzy. – Zabraliśmy ci łuk. A ty sobie tutaj ćwiczysz w najlepsze. Jak to wyjaśnisz?

Kannick wbił wzrok w ziemię.

– To łuk Christiana. Pożyczył mi go.

– Myślałem, że nie wolno ci trenować bez nadzoru osoby dorosłej.

– Margunn jest w łazience, a ja muszę ćwiczyć na mistrzostwa kraju – wyjaśnił ponuro.

– Wiem o tym, ale i tak muszę z nią porozmawiać. – Sejer skinął głową, najpierw ku budynkowi, a potem ku tarczy, której środek zrobiono z grubej tektury. Miał właśnie odebrać chłopcu jego jedyną pasję. Nie znosił takich chwil. Jednocześnie coś tykało w jego wnętrzu, jak bomba zegarowa tuż przed eksplozją. Czuł, że serce bije mu szybciej. Ten drobny szczegół, który właśnie zobaczył, mógł nic nie znaczyć, lecz równie dobrze mógł znaczyć wszystko. Starł się zapanować nad sobą.

– Ale mogę strzelać tutaj na wolnym powietrzu? – spytał Kannick jednocześnie błagalnym i obrażonym tonem. – Byle nie w lasach, prawda? Jeżeli mam mieć jakiegokolwiek szanse na zawodach, muszę trenować codziennie aż do ostatniej chwili.

– Kiedy są zawody?

Sejer nie poznał własnego głosu. Brzmiał ochryple i surowo.

– Za cztery tygodnie.

Kannick nadal stał gotowy do strzału. Nosił czarne mokasyny, rozmiar 9. Na

skórzanych podeszwach nie było zygzakowatego wzoru typowego dla butów sportowych. Spostrzeżenie to zaskoczyło Sejera. Wyglądały jak buty do garnituru i zupełnie nie pasowały do obciętych džinsów. Dwunastoletni chłopcy zwykle nosili adidas. Nadal zmagął się z dziwnym uczuciem wzbierającym w jego wnętrzu.

– Dobrze spałeś tej nocy? – zapytał uprzejmie.

Kannick miał zamęt w głowie. Głos policjanta był łagodny, ale spojrzenie zimne jak stal.

– Spałem jak kamień – odparł dzielnie. Kłamstwo sprawiło, że zakręciło mu się w głowie. Zbyt wiele się wydarzyło. Obudził się, kiedy weszła Margunn, żeby zmienić Philipowi pościel i musiał się starać, żeby oddychać równo i spokojnie. Jednocześnie bał się zasnąć. Prześladował go zły sen.

– A ja nie za dobrze – stwierdził beznamiętnie Sejer.

– Tak? – powiedział Kannick, coraz bardziej niespokojny. Nie był przyzwyczajony do wysłuchiwania zwierzeń dorosłych. Ale ten mężczyzna był inny.

– Chciałbym popatrzeć, jak strzelasz. Mogę? – zapytał.

Kannick zawahał się.

– W porządku. Ale teraz wypadłem z rytmu. Znaczy, mogę zepsuć strzał.

– Chciałem tylko zaspokoić ciekawość – wyjaśnił Sejer cicho. – Nigdy nie widziałem z bliska, jak ktoś strzela z łuku.

Obserwował Kannicka. Cała procedura – koncentracja, podnoszenie łuku, celowanie i wypuszczenie strzały – była pasmem pełnych wdzięku ruchów, nawet w wykonaniu chłopca tak otyłego, jak on. Łuk w fascynujący sposób nadawał formę bezkształtnej sylwetce. Kannick trafił w dziewiątkę i opuścił broń.

Sejer obrzucił spojrzeniem budynek, a potem chłopca.

– Zawsze nosisz rękawiczki, kiedy strzelasz? – spytał, skinieniem głowy wskazując na jego dłonie.

– To rękawice łucznicze – wyjaśnił Kannick. – Gdybym ich nie miał, cięciwa przecięłaby mi palce. Niektórzy używają skórzanego osłony, ale ja wolę rękawice. Tak naprawdę powinno się nosić jedną, na dłoni, która napina cięciwę. Ale dla symetrii noszę dwie i świetnie się to sprawdza. Wie pan – dodał rozpaczliwie – każdy łucznik ma swój własny styl. Na przykład Christian mruga raz, tuż przed strzałem.

– Są inne niż wszystkie. Mają po trzy palce? – spytał Sejer, przyglądając się rękawicom.

– Do naciągania cięciwy używa się tylko trzech palców. Kciuk i mały palec nie są

potrzebne.

– Rozumiem.

– Te są zapasowe. Mało używane i dlatego są trochę sztywne – wyjaśnił Kannick. –

Ale po jakimś czasie zmiękną.

– Nowe? – oczy Sejera zwęziły się w szparki. – Dlaczego włożyłeś nowe?

– Dlaczego? – Kannick zaniepokoił się. – No, dlatego że wyrzuciłem stare.

– Aha.

Sejer wbił wzrok w chłopca. Kannick spuścił głowę i patrzył na swoje dłonie, na trzy palce opięte cienką skórą. Rzemyki łączyły je z wąskim, zapinanym na rzep paskiem okalającym nadgarstek.

– A dlaczego je wyrzuciłeś?

– Dlaczego? – Kannick był coraz bardziej zdenerwowany. – A dlaczego nie? Były stare i zniszczone.

– Na pewno? – Sejer oddychał ciężko przez nos. – A gdzie je wyrzuciłeś?

– Nie pamiętam.

Nie wiedział, gdzie się podziąć z zakłopotania. Pot zalewał mu oczy. Co za piekielny upał. Reszta chłopców poszła pływać z Thorleifem i Ingą, ale on nie miał ochoty. W kąpielówkach czuł się koszmarnie, poza tym musiał trenować. Gdzieś tam czekał na niego puchar. Po raz pierwszy w życiu wygra ze wszystkimi innymi. Dlaczego Margunn nie wraca? Co się stało?

– Gdzie je wyrzuciłeś, Kannick?

– Do pieca, w którym palimy śmieci.

Zaczął nerwowo przebierać nogami.

– Poruszyłeś się.

– Cholera!

– Okłamałeś mnie, Kannick. Mówiłeś, że w lesie widziałeś Errkiego.

– Naprawdę go widziałem! Na własne oczy!

– Niezupełnie. Raczej Errki zobaczył ciebie. A to nie jest to samo.

Sejer mówił spokojnie, ale przychodziło mu to z coraz większym trudem.

– Powiem jedno. Wierzę ci, kiedy mówisz, że śmierć Errkiego była wypadkiem.

Morgan to potwierdził.

Przez chwilę na twarzy Kannicka odmalowało się uczucie ulgi.

– Ale wątpię, żebyś miał z tego powodu jakiegokolwiek wyrzuty sumienia.

– O co panu chodzi? – spytał zaniepokojony Kannick.

– Teraz, gdy Errki nie żyje, nie może nic powiedzieć. Uprzedziłeś go. Dlatego opowiedziałeś swoją wersję posterunkowemu. Zanim Errki zdążył zeznać, że ty to zrobiłeś, powiedziałeś Gurvinowi, że to on. Po czymś takim nikt nie uwierzyłby obłąkanemu Errkiemu.

W tej samej chwili podeszła do nich Margunn. Obrzuciła obu niepewnym spojrzeniem i nerwowo odchrząknęła.

– Czy coś się stało?

Sejer skinął głową. Margunn pobladła.

– Kannick – odezwała się wreszcie, jakby chciała czymś wypełnić straszliwą ciszę, mimo że nie musiała. – Wiesz, że nie wolno ci nosić tych mokasynów. Są dla Karstena na konfirmację. Gdzie masz swoje adidasy?

Kannick opuścił łuk. Serce skurczyło się gwałtownie i wysłało porcję gorącej krwi do głowy chłopca. Właśnie dopadła go przyszłość.

Wydarzenia mogły rozegrać się w następujący sposób: Kannick włączył się z łukiem po lesie. Ustrzelił wronę i miał właśnie wracać do domu, kiedy wpadł na pomysł, żeby zajrzeć do Halldis. Może widział, jak pielęgnuje trawnik odwrócona plecami do drzwi? Wśliznął się do środka i w chlebaku znalazł portmonetkę. Może miał szczęście, a może wiedział, że właśnie tam ją trzyma. Na palcach skierował się do wyjścia. Ku swemu przerażeniu zobaczył, że Halldis pojawiła się na schodach z motyką w dłoniach. Chłopak, który zwykle działał bez zastanowienia, wpadł w panikę. Pewnie mocowali się przez jakiś czas, aż wreszcie wyrwał jej motykę i broń była jego. Zamachnął się i uderzył. Nosił swoje trójpalczaste rękawice i dlatego zostawił niepełne ślady. Halldis upadła. Uciekł, zatrzymując się na chwilę przy studni, żeby obejrzeć się za siebie. Nagle między drzewami spostrzegł ciemną sylwetkę. Wiedział, że ktoś go zauważył. Popędził w dół, ale zgubił portmonetkę. Errki poszedł w stronę domu i zobaczył ciało Halldis. Potem przypuszczalnie poszedł do kuchni, pomyszkował, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało, dotykając drzwi i parapetów okiennych, zostawiając ślady sportowych butów. Na drodze znalazł portmonetkę, którą Kannick ze strachu upuścił. Wepchnął ją do kieszeni i poszedł dalej, przerażony tym, co się wydarzyło, do miasta, w poszukiwaniu towarzystwa innych ludzi. Tymczasem Kannick pobiegł do posterunkowego Gurvina i zawiadomił go o śmierci Halldis. Tam w górze kogoś zobaczył – co za dogodny zbieg okoliczności! Szalonego Errkiego. Co mówił Morgan?

Patrzyli na siebie nawzajem jak psy.

Sejer wyjął telefon komórkowy z kieszeni marynarki i wybrał numer.

Odebrał Skarre.

– Co się dzieje?

Inspektor rozejrzył się.

– Nic specjalnego.

Spojrzał z okna samochodu na okryte mgłą lasy. Gdyby tylko mógł wskoczyć prosto do morza, uciec jak najdalej od tego kurzu i upału.

– Czy ktoś do mnie dzwonił? – zapytał jakby mimochodem.

Skarre milczał. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny zaczął nabierać podejrzeń.

– Wyrażaj się bardziej precyzyjnie.

– O Boże, ktokolwiek.

– Nikt nie dzwonił – powiedział wreszcie Skarre.

– Okej.

Przez chwilę obaj milczeli.

– Stało się coś? – zapytał z kolei Skarre.

– To nie Errki zabił Halldis.

– No to super. Właśnie to chciałem teraz usłyszeć. I znów będziemy musieli zaczynać wszystko od nowa. Powiedz mi coś innego, nie jestem w nastroju do żartów.

– Ja nie żartuję. To nie on.

– Tak jest, szefie!

Zaległa kompletna cisza. Skarre zastanawiał się nad czymś.

– W porządku – odezwał się wreszcie. – Myślę, że zacznym rozumieć, do czego pijesz. Dzwoniła dziewczyna. Kasjerka ze sklepu Briggena. Przypomniała sobie o czymś tak ważnym, że natychmiast musiała mi o tym powiedzieć.

– I co ci powiedziała?

– Jeden chłopak z Guttebakken kilka razy jeździł na farmę Halldis razem z Oddemannem Briggenem. Pomagał mu. Domyślasz się, kto to był?

– Kannick – odparł Sejer.

– Tak. Zwykle dostawał wypłatę w czekoladzie. Mógł wiedzieć, gdzie trzymała portmonetkę.

Sejer skinął głową.

– A przy okazji, ktoś tu był.

– Wyrażaj się bardziej precyzyjnie.

– Doktor Struel.

– Naprawdę? Czego chciała?

– Nie mam pojęcia. Poprosiła o kartkę papieru i kopertę, żeby zostawić ci wiadomość.

Leży na twoim biurku.

Sejer zapuścił silnik. Myśli zawirowały mu w głowie.

– Jacob – powiedział wesoło. – Wiesz, co to znaczy, prawda?

– O co ci chodzi?

– Czeka cię skok ze spadochronem.

– Chyba masz rację.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

– Jakkolwiek wcale nie pochwalam zakładów. Cokolwiek postanowisz, nie ma dla mnie znaczenia. Nie stracę dla ciebie szacunku, jeżeli nie skoczysz.

– Ale z drugiej strony, twój szacunek dla mnie raczej nie wzrośnie, prawda?

– Już żywię dla ciebie najwyższy z możliwych.

– Żebyś wiedział, że skoczę.

– Wiara dodaje ci sił?

– Pewnie nie po raz pierwszy wystawię ją na prawdziwą próbę, ale chyba najwyższy czas, żebym znów to zrobił.

Sejer otworzył drzwi do swojego gabinetu i wszedł do środka. Na jego biurku, na podkładce z mapą świata leżała biała koperta. Dokładnie na środku Morza Śródziemnego, jak łódź pod białymi żaglami. Podniósł kopertę i wsunął palec pod skrzydełko. Ręce mu się trzęsły, gdy wyciągał z niej kartkę.

Skarre bezceremonialnie wpadł do środka. Zatrzymał się nagle na widok szefa, który z przejęciem wpatrywał się w biały papier.

– Z całym szacunkiem – spytał zakłopotany – co tu jest właściwie grane?